MYRCHOWIE NA SWOIM. KRZYSZTOF FEUSETTE „PODSŁUCHAŁ" ICH ROZMOWĘ

JANUSZ PALIKOT BIŁGORAJSKI CWANIAK JUŻ NIEPOTRZEBNY

CZY WŁADZA MOŻE SFAŁSZOWAĆ WYBORY? JANECKI ALARMUJE

WIEMY, JAKIEGO PREZYDENTA CHCĄ POLACY

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

42 (620) 2024
14–20 października 2024
CENA: 11,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY!

MEDIA UKRYWAJĄ PRAWDĘ O RZĄDACH TUSKA

ROK PO WYBORACH PROPAGANDA SUKCESU JEST W CORAZ WIĘKSZYM ROZJEŹDZIE Z PONURĄ RZECZYWISTOŚCIĄ I NIEPEWNĄ PRZYSZŁOŚCIĄ

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
9 772544 269403 42
Numer w sprzedaży do 21 X 2024 r.

plus

polsat box

Światłowód + Telewizja

od **19** zł /mies.

przez rok po rabatach

Od 13. mies. 70 zł/mies. z rabatami,
od 25. mies. 99 zł/mies. z rabatem.
Światłowód S – do 300 Mb/s,
Telewizja Pakiet S – 57 kanałów.

Pobierz ulotkę

Umowa na min. 24 mies.

Dotyczy prezentowanych ofert łączonych dla nowych Klientów na min. 24 mies. **Światłowód Plusa S** z rabatami (e-faktura, smartDOM i specjalny) 19 zł/mies. przez 12 mies., od 13. mies. 40 zł/mies. z rabatami (e-faktura i smartDOM), od 25. mies. 59 zł/mies. z rabatem (e-faktura). Rabaty mies.: e-faktura 10 zł, specjalny 21 zł, smartDOM 9 zł. Szczegóły w Regulaminie „Plus Internet Stacjonarny – oferta łączona" na plus.pl. Na obszarach o podwyższonych kosztach instalacji możliwa jest wyższa opłata abonamentowa. **Telewizja Polsat Box Pakiet S** przez pierwszy rok bez opłat, w drugim roku 30 zł/mies., potem 40 zł/mies. „Bez opłat" nie obejmuje innych pakietów dodatkowych, usług technicznych i opłaty jednorazowej za aktywację dekodera. Liczba kanałów uwzględnia kanały niegwarantowane. Min. prędkości 8 Mb/s dla kanałów HD i 25 Mb/s dla kanałów 4K na dekoder. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie na polsatbox.pl. **Aby skorzystać z rabatu** smartDOM, należy dotrzymać warunków tego programu i wyrazić zgodę na przekazywanie danych pomiędzy Cyfrowym Polsatem S.A. a Polkomtelem Sp. z o.o. Szczegóły w Regulaminie „smartDOM 5 – Telewizja, Internet, Telefon" na polsatbox.pl i plus.pl

eprasa.pl 4e935e4b41

Fot. Liudmyla Kazakova

List Siedmiu

Artyści i pisarze upominają się o ks. Olszewskiego

Odkąd ks. Michał Olszewski i dwie urzędniczki Ministerstwa Sprawiedliwości trafili do aresztu, mija ponad pół roku. Trzymanie w więzieniu ludzi przed orzeczeniem ich winy jest środkiem wyjątkowym i stosuje się go tylko w wypadku, jeśli inaczej nie da się przeprowadzić procesu.

Tymczasem ks. Olszewski jest podejrzany o to, że jego fundacja „nie spełniała warunków konkursu organizowanego przez MS" za czasów Zbigniewa Ziobry, a urzędniczki o to, jakoby wadliwie przeprowadziły ów konkurs.

Traktowanie tej sprawy jako groźnego przestępstwa zdumiewa każdego przytomnego i uczciwego człowieka. Przecież to, czy dany podmiot jest lub nie jest dopuszczony do konkursu, zależy właśnie od urzędników, a ich decyzja z natury rzeczy jest arbitralna, o czym nieraz mogliśmy się przekonać, zwłaszcza ostatnio.

Przez pierwszych 60 godz. po zatrzymaniu ks. Olszewski i aresztowane z nim urzędniczki byli z premedytacją dręczeni oraz upokarzani, i to w sposób, który jest uznawany za tortury przez międzynarodowe konwencje. Ich obrońcy ciągle nie mają dostępu do czynności procesowych. Kiedy obecny minister sprawiedliwości Adam Bodnar był rzecznikiem praw obywatelskich, oburzał się na stosowanie tzw. kajdanek zespolonych wobec mordercy dziecka. Dziś nie przeszkadzają mu tego typu szykany wobec ks. Olszewskiego i ministerialnych urzędniczek.

Niezależnie od działań prokuratury i służby więziennej organizowana jest wobec zatrzymanych kampania oszczerstw. Przedstawia się ich jako osoby skorumpowane, choć w toku śledztwa nie pojawił się nawet zarzut o przywłaszczenie sobie korzyści materialnych, nie mówiąc o dowodach. Prokuratura mówi o „przynależności do grupy przestępczej", co zakrawa na kpinę. Natomiast nigdzie nie pada informacja, że fundacja ks. Olszewskiego zbudowała ośrodek dla ofiar przestępstw.

Wszystkie te działania, a nade wszystko przedłużanie pobytu w więzieniu trójki nieskazanych osób, są w ewidentny sposób motywowane politycznie. Ta sytuacja budzi oburzenie niezależnie od takich czy innych przekonań co do meritum sprawy. Przypomina ona komunistyczne praktyki kryminalizowania przeciwników politycznych i wymuszania na nich zeznań.

Zwracamy się do współobywateli, by solidarnie zaprotestować przeciw temu prawnemu skandalowi, który urąga nie tylko obowiązującym kodeksom, lecz także normom życia społecznego, a którego ofiarami są polscy obywatele bez żadnych dowodów winy.

Żądamy natychmiastowego zwolnienia z aresztu ks. Olszewskiego i dwóch ministerialnych urzędniczek. Nie można bezczynnie patrzeć, jak na naszych oczach dręczy się ludzi bez udowodnionej winy i w nieodwracalny sposób niszczy się im życie.

***Jerzy Kalina**, artysta plastyk*
***Antoni Libera**, pisarz, tłumacz*
***Lech Majewski**, reżyser*
***Andrzej Nowak**, historyk*
***Jan Polkowski**, poeta*
***Wawrzyniec Rymkiewicz**, filozof, red. nacz. kwartalnika „Kronos"*
***Bronisław Wildstein**, pisarz, publicysta*

Reklama | 12/0324/F

eprasa.pl 4e935e4b41

SIECI spis treści

Fot. Mike Mareen/Shutterstock.com

38 Wojna za życia naszego pokolenia
Marek Budzisz

41 Patron na czasy kłamstwa i egoizmu
Maciej Walaszczyk

Fot. KPRM

44 Platforma o Scholzu: hipokryta i arogant
Jan Rokita

NA POCZĄTEK

5 **SYMETRYZM, CZYLI ŻABIA PERSPEKTYWA**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **MYRCHOWIE NA SWOIM**
Krzysztof Feusette

9 **CO MA WISIEĆ...**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **OBAJTEK JEST DOBRY NA WSZYSTKO**
Daniel Obajtek

13 **TOTALNE PRZEBUDZENIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA ANDRZEJA NOVÁKA-ZEMPLIŃSKIEGO**
Michał Korsun

16 **ROK OSZUSTÓW ZA NAMI**
Jan Pietrzak

16 **HISTORYCZNA NIESPRAWIEDLIWOŚĆ**
Arkadiusz Mularczyk

17 **CO TAKIEGO WIEDZĄ „ZŁOTE DZIECI" TUSKA**
Samuel Pereira

18 **ZMĘTLIKOWANY UMYSŁ**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **ZA TUSKA ŻYJE SIĘ GORZEJ**
Piotr Gursztyn

KRAJ

24 **JUŻ NIEPOTRZEBNY**
Marek Pyza

28 **OSTATNIE WOLNE WYBORY**
Stanisław Janecki

30 **TŁUSTE KOTY PO**
Dorota Łosiewicz

33 **PREZYDENCKI TARG**
Konrad Kołodziejski

36 **DLACZEGO MŁODZI NIE LUBIĄ PRAWICY?**
Goran Andrijanić

38 **WOJNA ZA ŻYCIA NASZEGO POKOLENIA**
Marek Budzisz

41 **PATRON NA CZASY KŁAMSTWA I EGOIZMU**
Maciej Walaszczyk

OPINIE

44 **PLATFORMA O SCHOLZU: HIPOKRYTA I AROGANT**
Jan Rokita

47 **WIELKOŚĆ ROSJI, CZYLI OGROM ZŁUDZEŃ**
Dariusz Matuszak

50 **INFORMACJA – KLUCZ DO BEZPIECZEŃSTWA!**
Stanisław Żaryn

52 **OŚMIOGWIAZDKOWY WSTYD**
Jerzy Szmit

HISTORIA

54 **LEGENDARNY „RÓJ" ODNALEZIONY?**
Z prof. Krzysztofem Szwagrzykiem rozmawia Stanisław Płużański

ŚWIAT

56 **PURPUROWA FALA**
Grzegorz Górny

58 **WROGOŚĆ WOBEC CHRZEŚCIJAN WZRASTA**
Z Anją Hoffmann rozmawia Aleksandra Rybińska

SIECI KULTURY

61 **W JAK WESTERN I WROOKLYN**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **RZEŹ NIEWINIĄTEK**
Robert Tekieli

65 **WOJNA CYWILIZACJI**
Robert Tekieli

66 **KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY**
Maciej Walaszczyk

PODRÓŻE

68 **FILMOWE SZLAKI: ADAM PIETKIEWICZ**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **NICOŚĆ**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **PANZERFAUST**
Aleksander Nalaskowski

73 **WIĘCEJ NIŻ SPORT**
Ryszard Czarnecki

74 **MÓZG, INTERNET I OBYWATEL PREMIER**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 4e935e4b41

BRONISŁAW WILDSTEIN

Symetryzm, czyli żabia perspektywa

W internetowym wystąpieniu w emocjonalnym tonie, ale spójnie i przekonująco, dziennikarz tłumaczy potrzebę niemieckich reparacji dla Polski. W uzasadniony sposób szydzi z tych, którzy kwestionują je, obawiając się zepsucia naszych dobrosąsiedzkich stosunków. Uderza w politykę obecnej koalicji, która wyrzekła się nacisków na Berlin w tej sprawie i... atakuje PiS, który podobno zajął się reparacjami dopiero w ostatniej kampanii wyborczej.

Nie jest to prawdą, gdyż politycy prawicy cały czas podkreślali ich potrzebę, a sporo czasu musiało zająć przygotowanie raportu w tej kwestii. Względy polityczne spowodowały opóźnienie radykalnego wystąpienia rządu polskiego do władz niemieckich, można dyskutować nad tą strategią, ale dotyczy to taktyki, nie pryncypiów. Te wyznaczają podstawowy spór w Polsce, w którym jedna strona wskazuje potrzebę reparacji, druga ją neguje. Dziennikarz tej różnicy nie dostrzega i nawołuje do nieufności wobec polityków jako takich i nacisków na nich zarówno w tej, jak i wszelkich innych sprawach.

Nie kwestionuję postulatu „politycznej nieufności" i potrzeby obywatelskiej presji, natomiast uznanie identyczności wszystkich polityków jest podejściem absurdalnym i samobójczym. Skoro wszyscy są siebie warci, to wybory oraz cała polityka przestają mieć znaczenie. Obojętne jest, kogo wskażemy jako swojego reprezentanta, nie ma sensu badać postaw osób publicznych, a wygrywają ci, którzy mają największe środki dotarcia do obywateli. *Status quo* zostaje utrzymane.

Różnice stopnia tak w polityce, jak i szerzej w życiu są rzeczą podstawową, ale akurat w kwestii reparacji (tak jak w wielu innych) nic ważyć nie musimy – różnica jest zasadnicza. Jeśli jej nie dostrzegamy przestajemy rozumieć, co dzieje się w życiu publicznym.

Ten sam dziennikarz mówi o powodzi. Wskazuje na zaniechania, błędy i przede wszystkim odwrócenie priorytetów ekipy Tuska, która zamiast walczyć z katastrofą, zajmuje się głównie piarem. Po czym jako morał usłyszymy, że... tak, domyślili się państwo, politycy tacy już są.

Przenoszenie na całość „klasy politycznej" nieprawości i idiotyzmów popełnionych przez reprezentację III RP jest stałą techniką stosowaną przez jej propagandę. Jeśli już nie sposób przemilczeć skandalu, za który odpowiada rząd Tuska funkcjonariusze FJM (Frontu Jedności Medialnej) na moment zawieszają tropienie kolejnych zbrodni PiS oraz Kaczyńskiego i z zadumą wzdychają nad problemami, jakich przysparzają nam „politycy".

Opisywany dziennikarz nie należy do FJM, a jednak nieświadomie reprodukuje tę strategię.

Inny publicysta (wręcz zaprzeczenie FJM) odnotowuje argumentację dzieci Zygmunta Solorza, które, chcąc zohydzić w oczach publicznych nową małżonkę swojego ojca, ogłaszają, że jest ona odpowiedzialna za „pisowski przechył Polsatu". „Wszystko wciągnięte zostaje w orbitę rywalizacji dwóch dominujących partii" – podsumowuje publicysta.

Nie przychodzi mu do głowy, że nie słyszymy oskarżeń o „peowskość", która ma dyskredytować kogoś w sferze publicznej, a „pisowskość" stała się obelgą w konsekwencji dekadami propagowanej kampanii nienawiści wobec partii Kaczyńskiego. W przypadku potomków Solorza nie mamy do czynienia z refleksem totalnego starcia politycznego, ale konsekwencją operacji dezawuowania określonych idei i ich reprezentantów.

Wspomnianym publicystom nie może przejść przez komputer oczywiste stwierdzenie, że w jakiejś sprawie PiS ma rację. Zostaliby wówczas oskarżeni o pisizm, a to znaczy publiczne odium.

Nie wiem, na ile są to wybory świadome. Wiem, że nawet ci, którzy przyznają rację PiS uzupełniają to zwykle stwierdzeniem, że była ona niepełna, nie wyciągnięto z niej konsekwencji, a zresztą Kaczyński mylił się tyle razy, że i ten wypadek należy potraktować z rezerwą.

Przykłady mogę mnożyć. Nie piszę o FJM, który stanowi ośrodek propagandy oligarchii i jej ideologii. Piszę o publicystach niezależnych, którzy jednak nie potrafią wyrwać się z kręgu stereotypów formatujących życie publiczne III RP, naszego rodzimego wcielenia demokracji liberalnej.

Istotnym tego elementem jest deprecjonowanie polityki. Emancypacyjna ideologia, która stanowi uprawomocnienie obecnego stanu rzeczy mieni się być wcieleniem racjonalności. Każdy problem musi mieć jednoznaczne rozwiązanie, a sformułować je najlepiej pod postacią zapisu prawnego. Polityka, czyli domena ważenia złożonych a częstokroć sprzecznych racji funkcjonuje na zasadzie uzgodnień, a więc na antypodach takiego podejścia. Współczesna mentalność chciałaby zastąpić ją paragrafami i algorytmami, które wyliczą profesjonaliści od każdego zagadnienia. To, że podejście takie odbiera obywatelom wolność i likwiduje demokrację, mało kto dostrzega. Przecież demokracja liberalna ufundowana jest na prawach człowieka, które *ad hoc* zdefiniują powołani do tego specjaliści.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4e935e4b41

Sygnalista nadaje

„To nie tak miało być!" – tak brzmi okrzyk tej części uśmiechniętej Polski, która zbyt wiele sobie obiecywała po powrocie Donalda Tuska do władzy. Hasło to wznoszą przedsiębiorcy, którym się nie poprawiło (a najczęściej pogorszyło) w ciągu ostatniego roku. Tak mówią naukowcy, wyrzucani z pracy w instytutach badawczych, którzy nie rozumieją, że ich obowiązkiem jest zwolnienie posad dla działaczy zasłużonych w walce o powrót demokracji i praworządności. Taki jest też głos słynnego demokratycznego mecenasa Jacka Dubois i kilku jego kolegów, znanych z walki o praworządność adwokatów. Mecenasi są przerażeni i oburzeni tym, że bodnarowska prokuratura źle potraktowała ich mandanta, i to postać tak wielką, jak ***Janusz Palikot***. Przecież nie może być tak, że osobistość jego formatu jest traktowana niemal jak jakiś pisowiec (na szczęście nieco łagodniej, bo areszt został wyznaczony na dwa miesiące).

Jak trafnie zauważył Jacek Dubois, jedynym wytłumaczeniem skandalu jest to, że w prokuraturze siedzą zakamuflowani ziobryści. Zdemaskowani przez prawnika są także źródłem niekorzystnych dla Palikota i mecenasa przecieków do „Gazety Wyborczej". Brzmi logicznie? Chyba tak, skoro tak uważa słynny adwokat.

A teraz dobre wiadomości: ***Marcin Kierwiński***, minister ds. rozmasowania niezadowolonych powodzian, obiecał wypłacić im 200 mln zł. Według jego zapowiedzi prawdziwa odbudowa terenów popowodziowych ma ruszyć na wiosnę przyszłego roku. Co do tej pory mają robić powodzianie? Tu też jest dobra wiadomość. Kierwiński poinformował na ostatnim posiedzeniu rządu, że szef resortu sportu Sławomir Nitras przeznaczył 400 mln zł na odbudowę zniszczonych przez powódź obiektów sportowych i turystycznych. Powodzianie nie muszą więc wracać do domów (do których zresztą nie da się wrócić) i mogą zająć się sportem. Zwłaszcza rozgrzewką, bo idzie zima.

Spore pieniądze – 17 mln zł – otrzymała też dolnośląska literatka Olga Tokarczuk na opracowanie gry na podstawie jednej z jej książek. To też ciekawa oferta dla narzekających na bezczynność powodzian.

Agnieszka Holland brutalnie atakuje Donalda Tuska. „Tusk mówi Błaszczakiem" – nie cofa się przed takimi oskarżeniami reżyserka. Tak, chodzi o tego Błaszczaka, Mariusza, z PiS. W świecie demokratów nie może być porównania gorszego niż do pisowca, więc powód ataku musiał być poważny. Otóż reżyserka Holland w odróżnieniu od literatki Tokarczuk nie otrzymała od rządu ani złotówki. A przecież na podstawie filmu „Zielona granica" też można zrobić grę. Projekt wydaje się obiecujący, zwłaszcza gdyby zostali do niego zaproszeni znani ze swych umiejętności białoruscy informatycy. Być może władza pójdzie po rozum do głowy i naprawi swój błąd. Skoro znalazło się 700 mln zł dla neo-TVP i 100 mln zł dla Sebastiana Kul-

Trwa nagonka na doktora prawa Myrchę i jego małżonkę magister Gajewską (studia doktoranckie jeszcze w toku). Skalę bezwzględności ukazuje to, że małżeństwo zostało skrytykowane nawet przez marszałeczka Sejmu Szymona Hołownię: „W mojej ocenie to nie jest kwestia samych dodatków mieszkaniowych, bo one posłom po prostu przysługują. Jest jedna rzecz w tej sprawie, która budzi moją poważną wątpliwość. To jest to oświadczenie pana posła Myrchy, że zameldował się w Warszawie wyłącznie dla celów podatkowych. To jest coś, z czym mam kłopot".

eprasa.pl 4e935e4b41

czyka (zbieżność nazwisk z Janem Kulczykiem nieprzypadkowa) z Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej, to może i dla pani Holland znajdzie się kolejne skromne 17 mln zł?

Prawicowi nienawistnicy komentują w internecie powyższe doniesienia zarzutami, że Donald Tusk postępuje odwrotnie niż Janosik – tzn. premier zabiera biednym i daje bogatym. Te zarzuty to czepialstwo, na dodatek absurdalne. Wiadomo, że podstawą społecznej gospodarki rynkowej, którą to zasadę mamy zapisaną w konstytucji, jest redystrybucja dochodów. A kto powiedział, że musi ona polegać na przekazywaniu środków od bogatych do biednych? To czysty dogmatyzm. W demokracji walczącej wszystko jest na odwrót, więc redystrybucja też będzie inna niż za czasów pisowskiego reżimu.

Zresztą nie zarzucajmy Tuskowi skąpstwa. Mówi przecież, że nie uznaje istnienia Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego i Rady Mediów Narodowych, a cały czas łoży pieniądze na te organy. Czy nie jest to przejaw szlachetnej szczodrości?

À propos Trybunału – jego sędziowie zachowali się bez wrażliwości społecznej. Wydali orzeczenie, według którego sejmowa komisja ds. Pegasusa powinna się rozwiązać. Czy sędziowie pomyśleli, że w ten sposób zlikwidowali jedyne miejsce, w którym ktoś chce słuchać prokurator Ewy Wrzosek? I jedyne miejsce, gdzie poseł Sroka jest traktowana w miarę poważnie?

Szczyt perfidii! I to między – zdawałoby się – przyjaciółmi. Czy ***Bartłomiej Sienkiewicz*** wkopał Donalda Tuska? W czasie swojego wystąpienia w Parlamencie Europejskim powiedział coś, czego raczej nie powinien był mówić. Chyba że nie zależy mu na dobrych relacjach z premierem. Tematem debaty było wprowadzenie przez Niemcy kontroli na granicach z innymi państwami unijnymi. „Polskie władze dowiedziały się o zamknięciu niemieckich granic w przeddzień wprowadzenia kontroli, i to z niemieckich mediów. Już samo to pokazuje skalę ryzyka dla strefy Schengen. To był pokaz arogancji" – paplał Sienkiewicz.

Ale jak to – Tusk dowiedział się o tym z mediów? Czy Sienkiewicz zapomniał słowa swojego premiera, że w Unii Europejskiej nikt go nie ogra? A może i on jest ukrytym w Platformie Obywatelskiej ziobrystą?

Ukrytym ziobrystą na pewno nie jest ***Paweł Kowal***. Gdyby nim był, to przecież nie robiłby z siebie takiego pajaca, jak czyni to od czasu przejścia na stronę PO. Otóż ten żarliwy neofita również zauważył nieeuropejską postawę IV Rzeszy: „Niemcy przestają troszczyć się o wspólnotę UE i zaczynają dbać jedynie o swoje własne, egoistyczne interesy".

A może to nie wkopywanie Tuska, lecz nowy zwrot Platformy? Tak jak było ze zmianą jej stosunku do Rosji albo imigrantów. Nie zdziwmy się więc, gdy w przejętej neo-TVP zobaczymy spot z Jarosławem Kaczyńskim powtarzającym zdanie: „Für Deutschland".

Nie lekceważmy też demonicznej siły prawicy. Jej zwolennicy bywają sfrustrowani, uważając, że PiS jest w złej kondycji. A tu trzeba czytać media liberalne, wtedy z miejsca wróci im humor. „Wydawało się niektórym, że PiS już spada na dno, za chwilę dotknie 20 proc., że bez telewizji, spółek, służb i prokuratury, wobec ogromu ujawnianych afer, rozpadnie się w pył. Ale tak się nie stało, partia Kaczyńskiego pokazała żywotność, nadal istniejące wpływy, swój kulturowy wymiar. Ktoś niedawno zażartował, że jest jak w horrorze: oni zawsze wstają" – przestrzega w tygodniku KC PZPR „Polityka" dyżurna para redaktorów politycznych Baczyński & Janicki. Upominają Donalda Tuska, aby wykazał się jeszcze większą maestrią (to można jeszcze większą?). I apelują, aby z tego powodu, że sytuacja jest skomplikowana, premier przeszedł „z fazy politycznego romantyzmu" przez „surowy realizm długiego czasu przejściowego" do „ponownego, masowego wzmożenia". Pięknie napisane, grafomania też może mieć swój urok.

A w PiS stawiają na młodość. Nawet tak bardzo, że prezes Jarosław Kaczyński żąda, aby w pierwszych ławach Sejmu zasiedli młodsi posłowie tej partii (zwłaszcza posłanki). Starsi mają się przesiąść do tyłu. Wniosek z tego, że największe szanse na to, aby zostać kandydatem prawicy w wyborach prezydenckich, zaczyna mieć pewien 41-letni historyk pełniący obecnie funkcję prezesa dużego, publicznego instytutu. A co do reszty, to i tak szefostwo nad wszystkim przejmie 55-letni były minister obrony, czyli Mariusz Błaszczak. Ktoś zapyta, czy aby to nie przeczy dążeniom prezesa do odmłodzenia partii? Ależ skąd. Kryteria są tu proste: skoro Kaczyński powiedział o 64-letnim wówczas Józefie Oleksym, że jest politykiem „starszo-średniego pokolenia", to widać, że Super Mario mieści się w kategorii młodszo-średniej.

Fot. Ludmyla Kazakova, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk, Fratria

eprasa.pl 4e935e4b41

Myrchowie na swoim

Kinga: Arkadiuszu?
Arkadiusz: A co tak oficjalnie?
Kinga: No dobrze, już dobrze, ty mój ministrze...
Arkadiusz: Wice.
Kinga: Ty mój Wicku...
Arkadiusz: „Wice", nie „Wicek"! Może „Wacek" jeszcze?!
Kinga: Dobrze, już dobrze, ty mój wicewacku, wiceministro ty moja...
Arkadiusz: Ministrze!
Kinga: No przecież mówiłeś, że wice!
Arkadiusz: Nie wytrzymam. Od rana dziennikarze dzwonią, a ty jeszcze nie wiesz, jak się zwracać do męża?
Kinga: Wiem, wiem, droczę się tylko, myrszuniu ty moja. A czy Arkadiusz nie przelałby jakiejś maleńkiej darowizny swojej Kini w mini?
Arkadiusz: Ile?
Kinga: Parę tysiaczków. Może być 40, jak ostatnio. Ojej, a ty nawet nie wiesz, co dziś kupiła Kinia Malinia dla swojego Belzebubka.
Arkadiusz: Znowu „Kamasutrę"?
Kinga: O nie, Kinia Minia wie, że Arkadiusz tamtą schował pod poduszką.
Arkadiusz: Tak lepiej wchodzi!
Kinga: Aleś ty dzisiaj rozbuchany. To ja ci kupuję do biura czwarty ekspres w ciągu dwóch lat, a ty gębę wydzierasz?!
Arkadiusz: Nic nie wydzieram, dopadli nas i tyle.
Kinga: Że co?
Arkadiusz: Że bierzemy kasę z Sejmu na wynajem mieszkania w Warszawie, a dom mamy pod nią.
Kinga: W budowie.
Arkadiusz: Jak w budowie, jak dzieci tam spały?! Trzy łóżeczka stoją!
Kinga: No, ale ja chcę tam jeszcze oczko wodne. Więc w budowie.
Arkadiusz: Oczko to my możemy teraz puszczać do Sinych Razem, bo im nic nie przeszkadza, ale normalni ludzie się burzą.
Kinga: I to jest ta typowa polska zawiść. „Ja nie mam odkurzacza, to nie pozwolę, żeby inny za państwowe dwa w roku kupował". Może stąd wyjedźmy?
Arkadiusz: Może trzeba będzie. Tylko gdzie my pracę znajdziemy?
Kinga: Fakt. Ty ze swoimi kompetencjami nie możesz liczyć na zbyt wiele.
Arkadiusz: A ty?
Kinga: Oj, nie bój się, coś bym znalazła. W szkole średniej byłam w samorządzie. Załatwiłam dla uczniów papier toaletowy, żeby nie musieli zeszytami. Fakt autentyczny.
Arkadiusz: Ale z psami wymiękłaś. Miały sr...ć na trawniku sejmowym i gó...o z tego wyszło. Też fakt autentyczny.
Kinga: Wymiękłam, bo się okazało, że kodziarze chcą się tam czołgać.
Arkadiusz: Za to specjalizacja gotowa. Napisz sobie na wizytówce: mam kupę roboty.
Kinga: Tak? Tak się będziesz do mnie przy dzieciach odzywał?! A kto doktora zerżnął?
Arkadiusz: Słucham?
Kinga: Kto rżnął doktora, a doktorat zerżnął? Wiesz, ile memów krąży o tej twojej karierze naukowej?
Arkadiusz: Czasu nie miałem. Redaktor Michalik więcej zerżnęła, a Giertych nadal ją cytuje.
Kinga: Też sobie konia ofiarnego znalazłeś.
Arkadiusz: Może trzeba będzie i po to sięgnąć?
Kinga: Aż tak nas dopadli?
Arkadiusz: O jeździe mówię. Zamiast samochodów trzeba było kupić konia albo bryczkę. Wiesz, ile najeździłaś kilometrówek w zeszłym roku?
Kinga: Nie wiem, bo nie jeżdżę.
Arkadiusz: Też nie wiem, ale dużo. Prawie połowę tego, co ja. A ja przecież miałem kampanię wyborczą.
Kinga: Ja nie miałam? Wiesz, co to jest trójka dzieci?
Arkadiusz: A ty wiesz, ile razy musiałbym za swoje tankować, żeby zdążyć do ludzi w terenie? Poza tym razem jeździliśmy. Tak jak razem wynajmujemy.
Kinga: Co? Nianie?
Arkadiusz: Mieszkanie w Warszawie.
Kinga: Ojej, ładne?
Arkadiusz: Piękne. I za darmo. Bo moje cztery koła z Sejmu i twoje cztery to razem daje osiem.
Kinga: Pokoi?
Arkadiusz: Jeszcze by tego brakowało. Nie rozumiesz, że teraz jesteśmy na cenzurowanym?
Kinga: W jakim sensie? Że nie można mówić, co się zrobiło?
Arkadiusz: Ja nic nie zrobiłem. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę, iż moja pozycja w rządzie...
Kinga: A kiedy ty tam miałeś jakąś pozycję? Jak cię Bodnar potrzebował, to do mediów posyłał i tyle.
Arkadiusz: Jak możesz? Kto mnie namówił, żebym kłamał o przedszkolu?
Kinga: Ja ci tylko powiedziałam, że musieliśmy się w Warszawie zameldować, żeby dzieci do przedszkola tam zapisać.
Arkadiusz: Ale nie musieliśmy! Praca w Warszawie wystarczyła!
Kinga: To nie wiedziałam. No, ale ja nie jestem w resorcie...
Arkadiusz: Co ma resort do tego?
Kinga: Że kłamiesz!
Arkadiusz: A ty jak krzyczałaś, że PiS równa się drożyzna, to mówiłaś prawdę? Widziałaś teraz ceny?
Kinga: Widziałam. Akurat piąty ekspres będzie za pół ceny.
Arkadiusz: Niczego na razie nie kupuj, musimy zacisnąć pasa.
Kinga: A łóżeczka dla dzieci?
Arkadiusz: Ile już mamy?
Kinga: No trójkę.
Arkadiusz: O łóżeczka pytam.
Kinga: Dokupię jedno i będzie dziesięć.
Arkadiusz: Wystarczy. Muszę biec do telewizji.
Kinga: A pozdrów tam Kinieczkę z ekranu.
Arkadiusz: Nie mogę. O domu marzeń będę opowiadał. A ty jedź do domu i trochę porozwalaj, żeby się do zamieszkania nie nadawał, jakby dziennikarze wpadli.
Kinga: A jak ten zegarek znajdą, co sobie na biuro nabyłam?
Arkadiusz: Powiesz, że inaczej byś na karmienie nie zdążała.
Kinga: Ale się porobiło.
Arkadiusz: A mogłem iść do totalizatora, normalnie, po kompetencjach.
Kinga: Niby jakich?
Arkadiusz: Jak jakich? Nie widzisz, jakiego my pecha mamy?
Kinga: Chodź, krawat Kinia zawiąże, to od razu Arkadiusz się rozchmurzy. Może powtórzymy?
Arkadiusz: Ale co?
Kinga: No o tych Trzech Królach. Żeby cię chociaż z tego nie zagięli.

Krzysztof Feusette

eprasa.pl 4e935e4b41

WIEŻA BAB

Co ma wisieć...

Mam nadzieję, że w ostatecznym rozrachunku to jednak Paulina Matysiak będzie triumfować, a Lewica zrozumie swój błąd

„Co się odwlecze, to nie uciecze", „co ma wisieć, nie utonie" – odgrażali się politycy Lewicy, gdy w pierwszych dniach października nie udało się odwołać posłanki partii Razem Pauliny Matysiak z sejmowej komisji infrastruktury. Przypomnijmy, że pierwsza próba zakończyła się niepowodzeniem, ponieważ PiS, Konfederacja i kilku posłów z partii Razem zdołali zerwać kworum. O próbie odwołania Matysiak dowiedziała się z sejmowego druku, bo nikt nie raczył jej o tym poinformować. W pamięć Polaków zapewne na długo wryje się obrazek Sejmu skandującego: „CPK, CPK, CPK", cieszącej się chwilowym zwycięstwem posłanki z Kutna i zszokowanego oraz wkurzonego tym faktem współprzewodniczącego Nowej Lewicy Włodzimierza Czarzastego.

W ubiegłym tygodniu podjęto kolejną próbę odwołania. Głosowanie pierwotnie miało się odbyć w środę, ale marszałek Sejmu Szymon Hołownia połapał się jeszcze przed głosowaniem, że brakuje kworum, m.in. dlatego, że rząd pracował na wyjeździe. Tak więc głosowanie przesunięto na czwartek. I wreszcie tego dnia na wniosek Lewicy, udało się dokonać zmian składów osobowych komisji sejmowych, m.in. odwołano z komisji infrastruktury posłankę Paulinę Matysiak. Ostatecznie w głosowaniu udział wzięło 233 parlamentarzystów – 231 było za uchwałą, nikt nie był przeciw, a wstrzymało się dwóch posłów. PiS i Konfederacja nie wzięły udziału w głosowaniu, a przed nim Paweł Jabłoński z Prawa i Sprawiedliwości grzmiał: „Przestańcie karać posłów merytorycznych za to, że dobrze pracują".

Po odwołaniu posłanki Marcin Horała komentował na platformie X: „Nadludzkim wysiłkiem, pełną mobilizacją, przełożeniem głosowania i ściągnięciem rządu z wizyty zagranicznej koalicji 13 grudnia udało się bohatersko pokonać jedną posłankę z Kutna, 231 głosami za. Brawo, oto sukces, oto horyzont ambicji".

Politycy Lewicy zarzucali Paulinie Matysiak m.in. to, że nie konsultowała z nimi stanowiska w trakcie prac komisji. Przewodnicząca klubu Lewicy Anna Maria Żukowska mówiła wcześniej PAP, że poseł Matysiak nie reprezentuje w tej chwili klubu, ponieważ jest zawieszona w prawach członka. Zdaniem Żukowskiej Matysiak jasno określiła, że bliżej jest jej do PiS niż do Lewicy.

A jaką naprawdę zbrodnię popełniła Paulina Matysiak? Wspólnie z Marcinem Horałą, posłem PiS. w czerwcu powołali ruch społeczny „Tak dla Rozwoju", który ma się skupić na wsparciu rozwoju inwestycji w CPK, elektrownie jądrowe czy polską armię. Tuż po tym Matysiak została zawieszona w prawach członka klubu Lewicy na trzy miesiące, a po upływie tego czasu zawieszenie ponowiono.

Jaki morał płynie z tej historii? Po pierwsze, nikogo na Lewicy ani w rządzącej koalicji nie obchodzi rozwój. Niby dlaczego ktoś ma mówić „tak" dla rozwoju, skoro sam premier mówi „nie" i ucina prorozwojowe projekty? Po drugie, nie wolno współpracować ponad podziałami, a już szczególnie z nikim z PiS, bo to matka wszelkich zbrodni. Przecież Tusk mówił, że Prawo i Sprawiedliwość to czyste zło, więc nawet dla przyszłości kolejnych pokoleń z nikim z tej partii nie wolno rozmawiać. A to, co premier opowiadał w kampanii o zakończeniu wojny polsko-polskiej, było tylko bajkami, zaś owa wojna wszystkim opłaca się politycznie, bo spolaryzowane społeczeństwo chętniej głosuje. Po trzecie, prawa kobiet Lewica ma wyłącznie na ustach. W realu jej kobietom nie wolno samodzielnie myśleć, ani podejmować żadnych inicjatyw, bo może się to skończyć zawieszeniem lub usunięciem z klubu lub partii. Po czwarte, tolerancja, o której tyle rozprawia Lewica, nie dotyczy jej posłanek, które współpracują z kimś z PiS. Po piąte, Paulina Matysiak stała się najbardziej rozpoznawalnym politykiem partii Razem i Lewicy w ogóle. A to nie może się podobać ani Adrianowi Zandbergowi, ani Magdalenie Biejat, ani Annie Marii Żukowskiej, ani Włodzimierzowi Czarzastemu. Mam nadzieję, że w ostatecznym rozrachunku to jednak Paulina Matysiak będzie triumfować, a Lewica zrozumie swój błąd. Mam też nadzieję, że rozmowa ponad podziałami dla dobra Polski będzie jeszcze kiedyś możliwa. I oby wtedy nie było na to za późno.

Dorota Łosiewicz

Falklandy ciągle dzielą

Wielka Brytania i Argentyna zawarły umowę regulującą ich wzajemne relacje wokół Falklandów. Porozumienie zostało skrytykowane przez argentyńską wiceprezydent Victorię Villarruel. Jej zdaniem umowa jest korzystna wyłącznie dla Brytyjczyków, a Argentynie zaproponowano jedynie „okruchy".

Porozumienie zawarto podczas spotkania szefów dyplomacji obu państw w trakcie niedawnego Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Przewiduje ono m.in. przywrócenie połączeń lotniczych z Argentyny na Falklandy, współpracę w zakresie ochrony łowisk na południowym Atlantyku oraz organizację wyjazdów krewnych na groby poległych żołnierzy argentyńskich znajdujące się na wyspach. Jak ogłoszono we wspólnym komunikacie ministrów, zawarta umowa poprawi stosunki dwustronne.

Innego zdania jest jednak wiceprezydent Argentyny Victoria Villarruel. Uważa ona, że porozumienie jest „sprzeczne z interesami narodu argentyńskiego". „Czy [Brytyjczycy] mają nas za głupców? Dostają materialne, konkretne i natychmiastowe korzyści, a jednocześnie oferują nam okruchy jako emocjonalne pocieszenie i osłabienie naszej zdolności negocjacyjnej" – stwierdziła Villarruel. Jej stanowisko stoi w sprzeczności z polityką Javiera Milei, który dążył do uregulowania sporu wokół Falklandów. Victoria Villarruel wywodzi się z wojskowej rodziny i skupia wokół siebie środowiska konserwatywne oraz nacjonalistyczne. W przeszłości dochodziło już do jej sporów z Mileiem, m.in. w kwestiach gospodarczych. Prezydent nie może jej jednak lekceważyć ponieważ popiera ją stosunkowo liczna grupa wyborców.

Krytyczne słowa na temat porozumienia z Brytyjczykami pokazują, jak silne emocje wzbudza kwestia Falklandów, nazywanych w Argentynie Malwinami. Wyspy zostały odkryte w XVI w. przez Anglików. Potem przechodziły z rąk do rąk: oprócz Anglików zarządzali nimi Francuzi i Hiszpanie. Od początku XIX w. Argentyna rościła sobie prawo do archipelagu, ale Wielka Brytania zajęła wyspy w 1833 r., usuwając stamtąd nielicznych argentyńskich osadników. Krótka wojna stoczona między obydwoma krajami w 1982 r. zakończyła się kapitulacją Argentyny i kosztowała życie 649 żołnierzy po stronie argentyńskiej, 255 – po brytyjskiej oraz 3 mieszkańców wysp.

Podczas referendum ogłoszonego na wyspach w 2013 r. przytłaczająca większość mieszkańców (99,8 proc.) opowiedziała się za dotychczasowym statusem Falklandów i ich przynależnością do Wielkiej Brytanii. Jednak dla Argentyńczyków – na co wskazują słowa Victorii Villarruel – przyszłość wysp pozostaje sprawą otwartą.

Konrad Kołodziejski

Argentyna

Śluby z duchami

Irlandia

W Irlandii można wyróżnić trzy rodzaje ceremonii ślubnych: cywilne, świeckie i religijne. Tych pierwszych udzielają urzędy stanu cywilnego. Są to akty państwowe, pozbawione odniesień religijnych. Z kolei śluby świeckie są organizowane przez instytucje światopoglądowo i demonstracyjnie odżegnujące się od jakichkolwiek wierzeń, np. Stowarzyszenie Humanistyczne, skupiające głównie ateistów i agnostyków. Śluby religijne (katolickie, protestanckie, muzułmańskie, buddyjskie itp.) odbywają się natomiast w miejscach publicznego kultu.

W ostatnim czasie w ostatniej z wymienionych kategorii można zaobserwować znaczące zmiany. Otóż drastycznie spadła liczba zawieranych małżeństw katolickich. O ile w 1994 r. było ich aż 91,4 proc., o tyle w 2023 r. już tylko 34,3 proc. (w Dublinie zaledwie 9 proc.).

Zarazem pojawiła się i rozkwita nowa tradycja – ślubów religijnych o nieokreślonej duchowości, organizowanych przez takie organizacje jak np. Irlandzka Unia Spirytualistyczna. W ub.r. z usług takich podmiotów skorzystało 16 proc. par, które stanęły na ślubnym kobiercu. Podczas ceremonii zaślubin odwołują się one do rozmaitych duchów, w tym zmarłych przodków, do bożków i boginek, a także bliżej niesprecyzowanych sił nadprzyrodzonych. W ostatnich latach powstało nawet wiele instytucji religijnych i związków wyznaniowych, których jedyną aktywnością jest aranżowanie ceremonii ślubnych, np. grupa FuturFaith swój pierwszy ślub zorganizowała w 2021 r., a w ub.r. miała na koncie już 78 takich imprez. Z kolei Entheos w 2023 r. udzielił 623 ślubów, a więc znacznie więcej niż anglikański Kościół Irlandii – 242.

Wspomniane wyżej zjawisko pokazuje, że człowiek nie może się obyć bez wymiaru duchowego. Wielu katolików, którzy porzucają Kościół, stara się zaspokoić swoje pragnienie transcendencji w inny sposób. Angażują się zatem w pogańskie wierzenia, które zdobywają coraz większą popularność w naszym zsekularyzowanym i rzekomo racjonalnym stuleciu.

Grzegorz Górny

Fot. BERNARDO BOUCHO/Shutterstock.com, Shutterstock

eprasa.pl 4e935e4b41

Hiszpania

Turystyczna klęska urodzaju

Hiszpania to od dawna jeden z najpopularniejszych kierunków turystycznych na świecie. Jednak przeżywa z tego powodu coś w rodzaju klęski urodzaju z poważnymi skutkami społecznymi. W sierpniu na ulicach najpopularniejszych miast turystycznych w Hiszpanii, takich jak Malaga, Kadyks, Sewilla, a także na Majorce, Wyspach Kanaryjskich i Balearach, protestowały dziesiątki tysięcy ludzi, domagając się ograniczenia masowej turystyki i ponownego przemyślenia modelu biznesowego, który doprowadził do wzrostu cen nieruchomości i wysiedlenia rdzennych mieszkańców miast.

Szacuje się, że do końca br. Hiszpanię odwiedzi ok. 90 mln osób, co stanowi dwukrotność liczby jej ludności. Tylko tego lata kraj odwiedziło 21,8 mln obcokrajowców, co oznacza wzrost o 7,3 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym. Wiąże się to oczywiście z przychodami branży, które wzrosły o 17,6 proc., przekraczając w ciągu pierwszych ośmiu miesięcy roku kwotę 86,7 mld euro.

Z problemami zmaga się jednak lokalny biznes, przeciążona jest infrastruktura komunikacyjna, a najwięcej problemów trapi mieszkalnictwo, ponieważ rozprzestrzenianie się krótkoterminowego wynajmu wywołało na rynku ogromny wzrost cen. W Maladze wybuchł nawet „bunt naklejek" polegający na przyklejaniu na tablicach z ogłoszeniami dla turystów wlepek z hasłami: „Kiedyś mieszkała tu rodzina" lub „Wracaj do domu".

Niezwykle dochodowy handel apartamentami turystycznymi poważnie ograniczył dostępność mieszkań, wypędzając rdzennych mieszkańców z historycznych obszarów miejskich i niszcząc ich normalne życie. Ludzie pracujący w branży turystycznej nie mogą sobie pozwolić na wynajem mieszkań, a np. na Ibizie, nie mając innego wyboru, mieszkają w furgonetkach, przyczepach kempingowych i namiotach. Dlatego coraz powszechniejsze, nawet w branży turystycznej, staje się przekonanie, że sytuacja osiągnęła punkt krytyczny. Już teraz burmistrz Barcelony zapowiedział, że do 2029 r. miasto zakończy wynajem apartamentów turystom, nie przedłużając licencji dla 10 tys. nieruchomości.

Z podobnymi problemami jak Hiszpania zmaga się również Grecja, gdzie miejscowa ludność została sprowadzona do pełnienia funkcji usługowych wobec przybyszy z bogatszej części Europy. Turystyka, która miała być szansą dla południa kontynentu, stała się dziś formą eksploatacji krajów tego regionu.

Maciej Walaszczyk

Fot. Radu Bercan/Shutterstock.com, wikipedia

Powrót „handlarza śmierci"

Rosja

Wiktor But, rosyjski handlarz bronią, który dwa lata temu, w grudniu 2022 r., został wymieniony za amerykańską koszykarkę Brittney Griner, wrócił do swojej działalności.

Jak informuje dziennik „The Wall Street Journal", latem br. przedstawiciele jemeńskich Huti, którzy terroryzują statki wpływające do Zatoki Adeńskiej oraz ostrzeliwują Izrael, próbowali negocjować w Moskwie zakup kolejnych partii broni. Według danych amerykańskiego wywiadu w grę wchodziły dostawy karabinków AK-74, rakiet przeciwpancernych Kornet i systemów obrony przeciwlotniczej. W trakcie negocjacji kontraktu o szacowanej wartości 10 mln dol. na spotkaniu miał się pojawić i zaoferować swoje pośrednictwo Wiktor But.

Informacje ujawnione przez amerykański dziennik są bardzo niewygodne dla administracji Bidena, która była krytykowana za wypuszczenie z więzienia groźnego przestępcy, który nie okazał skruchy i ostentacyjnie popierał agresywną politykę Putina. Wypowiadając się wówczas na ten temat Jake Sullivan, doradca ds. bezpieczeństwa narodowego, powiedział, że rząd Stanów Zjednoczonych dokonał oceny ryzyka związanego z uwolnieniem Buta i doszedł do wniosku, że „jest ono akceptowalne". W świetle ostatnich informacji na temat aktywności Rosjanina te oceny wydają się jednak nadmiernie optymistyczne, a jego działalność może świadczyć o nasilającej się dywersyjnej akcji Moskwy dążącej do zwiększenia liczby ognisk zapalnych w świecie.

Zanim Wiktor But został wypuszczony z amerykańskiego więzienia, spędził w nim 11 lat, odsiadując 25-letni wyrok; amerykańscy agenci służb specjalnych podający się za przedstawicieli antyrządowej partyzantki kolumbijskiej aresztowali go w 2008 r. w Manili. Po powrocie do Rosji But, nazywany w Stanach Zjednoczonych „handlarzem śmierci", związał się z nacjonalistyczną formacją LDPR i z jej ramienia został deputowanym do lokalnego przedstawicielstwa w Uljanowsku. Rzecznik Kremla Dmitrij Pieskow odmówił komentarza na temat powrotu Wiktora Buta do handlu bronią.

Marek Budzisz

eprasa.pl 4e935e4b41

Obajtek jest dobry na wszystko

Spółki Skarbu Państwa gremialnie notują straty, ograbiając Skarb Państwa z podatków (wpływy z CIT spadły o prawie jedną czwartą), właścicieli akcji z majątku i dywidendy, a pracowników pewności zatrudnienia. Z medialnego kapelusza natychmiast wyjmują rzekome powiązania Obajtka z Hezbollahem (i nie ma znaczenia, że dowodem jest anonimowa notatka, w której nie zgadza się nic – łącznie z nazwiskiem hezbollahowego łącznika).

ORLEN pogrąża się w kryzysie. Wyniki spadają, inwestycje stoją, a sfrustrowani pracownicy tracą nadzieję na przyszłość. Polskojęzyczne media od razu odmieniają przez wszystkie przypadki nazwisko Obajtka i łączą je ze słynnym już 1,6 mld zł, które obecna ekipa na własne życzenie (oby chwilowo) straciła.

Inflacja ostro w górę? Drożyzna atakuje portfele Polaków i zjada ich oszczędności? Znów płacimy więcej za jedzenie, ogrzewanie i prąd? Prorządowe portale od razu skwapliwie tłumaczą, że to dlatego, że rok temu Obajtek za tanio sprzedawał benzynę.

Fala grupowych zwolnień przetacza się przez miasta i miasteczka, pozbawiając utrzymania nieraz całe rodziny? To dlatego, że Obajtek sprzedawał benzynę za drogo – od razu tłumaczy to samo dziennikarskie gremium, które jeszcze przed chwilą oskarżało Obajtka o zaniżanie cen. Bywa, że obydwa artykuły można znaleźć obok siebie.

Poczta Polska jest na skraju upadku i nie opłaca składek ZUS, a niektóre szkoły publiczne nie płacą nauczycielom ani ZUS, ani pensji? Zaraz mamy kolejny artykulik z bajdurzeniem o Obajtkowych zębach (prywatne ubezpieczanie medyczne, obejmujące często też stomatologię, jest właściwie standardem w wielu polskich firmach, i to niezależnie od stanowiska).

Kolejne szpitale w zapaści finansowej przestają leczyć pacjentów i wstrzymują operacje – niezwłocznie przykrywamy to przypomnieniem wydumanych milionowych wydatków z kart kredytowych Obajtka (ciągle czekam aż ktoś wreszcie ujawni wyciągi – okaże się, jaka to prawda).

Rządząca obecnie ekipa jest jak zbiorowy król Midas, tylko na odwrót. Czego się nie dotknie, to zepsuje. Porażka godni wpadkę, błąd błędem pogania, a każdy kolejny kryzys starają się przykryć medialnie tym samym – Obajtkiem

Inwestycje przemysłowe w Polsce hamują, a kolejni międzynarodowi inwestorzy ogłaszają wycofanie swoich pieniędzy i projektów z kraju nad Wisłą? Nie mijają 24 godziny i sprzyjające obecnej władzy media rozpisują się o nieudanym rzekomo projekcie Olefin. Oczywiście wskazując na winę Obajtka.

Od czasu do czasu wraca też kwestia kontenerów Obajtka dla zewnętrznych pracowników tymczasowych przy inwestycjach, chociaż odkąd premier Tusk obiecał, że postawi identyczne powodzianom – jakoś rzadziej.

Za kreowanymi cynicznie przekazami mającymi odwrócić uwagę zwykłych ludzi podąża wierna ekipa Silnych Razem, którzy do znudzenia powielają w sieci niesprawdzone i kłamliwe informacje. A na każde merytoryczne zarzuty wobec rządzących nieudaczników odpowiadają przewidywalnymi obelgami.

Są jednak wyjątki – katastrofalne skutki rządowych błędów w trakcie powodzi próbowano przypisać nie Obajtkowi, a bobrom. Tego nie łyknęli nawet Silni Razem, więc bobry ocaleją, a winnych dopiero się szuka. Winnych również tego, że nowy pełnomocnik premiera zapowiedział, że odbudowa może zacznie się na wiosnę, a lokalni przedsiębiorcy pomstują, że nie dostali obiecanej pomocy i zbankrutują. Tego nie da się przypisać bobrom. Czekam, aż wymyślą, dlaczego to wina Obajtka.

I tak to się kręci – gospodarczy okręt Polska tonie, a załoga z kapitanem na czele zamiast go ratować biega po pokładzie z Obajtkiem na ustach i wynikami wątpliwych audytów w garści. Gdyby nie było prawdziwe, byłoby nawet śmieszne.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 4e935e4b41

Totalne przebudzenie

Marta Kaczyńska-Zielińska

Ubiegający się o reelekcję prezydent Donald Trump chce zatrzymać szalejącą w Stanach Zjednoczonych i promieniującą na cały świat ideologię woke. Zdecydowana deklaracja kandydata na najwyższy urząd światowego mocarstwa to szansa na uratowanie naszej cywilizacji przed koleją odsłoną totalitaryzmu.

Woke, w tłumaczeniu na język polski „przebudzenie", nie posiada ścisłej definicji. Można wyszczególnić pewne determinanty widoczne u osób odwołujących się do wspominanej ideologii. Podnoszenie ponad wszystkie inne atrybuty człowieczeństwa tożsamości rasowej i płciowej oraz koloru skóry, a także potrzeba pozycjonowania ludzi w skomplikowanych hierarchiach „ucisku" i kierowanie się zasadą niedyskryminacji. Działania podejmowane w ramach „przebudzenia" kontestują zasady logiki, rozumu i posiadają fundamentalne znaczenie dla zachodniej cywilizacji zasadę prawdy obiektywnej. „Przebudzeni" wykazują zamiłowanie do tego, co nielogiczne i emocjonalne jako bardziej autentyczne i realne w porównaniu z rzeczywistym doświadczeniem. Ma się liczyć subiektywnie odczuwana prawda, a nie obiektywy stan rzeczy. Ten bowiem ma przestać istnieć jako argument powoływany we wszelkich relacjach międzyludzkich, bo przecież wszystko, co nas otacza, ma być względne i uwarunkowane subiektywnym odczuciem. O ile nie zostanie zakwalifikowane jako mowa nienawiści, której zamkniętej definicji nie ma.

Przykładów wokeizmu jest mnóstwo. Pierwszorzędne znaczenie ma poprawnie polityczny język, m.in. pełen feminatywów, jak pokraczne ministerki, niepoważnie brzmiące prezydentki, czy bezosobowych zwrotów, jak zdumiewające, słynne w zeszłorocznej kampanii wyborczej aktywiszcze. Na Zachodzie język zaczyna być szczególnie ściśle kontrolowany i egzekwowany, podobnie jak w czasach komunizmu. Wydawca nieżyjącego już Roalda Dahla, brytyjskiego autora książek dla dzieci, zmienił w swoich publikacjach setki słów, aby uczynić je poprawnymi politycznie. Cenzorzy usunęli także słowo „czarny", opisujące nawet rzeczy. „W Fantastycznym Panu Lisie" opis traktorów mówiący, że „obie maszyny były czarne", został wycięty. W dyskusji, która rozgorzała na platformie X (d. Twitter) wiele osób zamieściło cytat z „Roku 1984" George'a Orwella: „Każda dokumentacja została zniszczona lub sfałszowana" – mówi główny bohater powieści. „Każdą książkę przepisano, każdy obraz przemalowano, zmieniono nazwę każdego posągu, ulicy i budynku, zmieniono każdą datę".

W edukacji, od jej wczesnego etapu aż po uniwersytet, wszystko powinno być przesiąknięte poprawnie politycznym przesłaniem – od zabawek, filmów animowanych, gier po podręczniki, od kultury masowej, poprzez sport aż po kulturę wysoką. Literaturę, teatr i sztukę ocenia się pod kątem poprawności politycznej, parytetów i wszelkiej niedyskryminacji, a nie piękna i autentyczności. W przeciwnym razie ludzie posiadający zdolność krytycznego myślenia odrzucą indoktrynację. Jeśli mimo podejmowanych działań prewencyjnych tacy się jednak znajdą, to z pomocą przychodzą odpowiednio sformułowane przepisy prawa, np. akt prezydenta Joe Bidena umożliwiający rywalizację mężczyzn w konkurencjach sportowych przewidzianych dla kobiet i odwrotnie czy ustawy mające zapobiegać tzw. mowie nienawiści. Dotychczasowa praktyka wskazuje, że powoływanie się na mowę nienawiści ma służyć przede wszystkim lewackiemu mainstreamowi, a chrześcijanie są odzierani (albo, jak wyraził się jeden z frontmanów obecnej partii rządzącej, „opiłowywani") z godności. To zjawisko charakterystyczne dla ideologii totalitarnych, które zawsze były szczególnie antychrześcijańskie, chcąc całkowicie zawładnąć rozumieniem sensu ludzkiej egzystencji.

Totalitaryzm charakteryzuje się wysiłkami zmierzającymi do całkowitego przekształcenia każdego aspektu życia społeczeństwa, w tym życia kulturalnego. Dzisiaj wokeizm też na nowo pisze teksty, opowiada historię świata, burzy pomniki, zwalnia ludzi z pracy, tropiąc i każąc za wszelkie przejawy „myślozbrodni".

REKLAMA

17/0924/F

eprasa.pl 4e935e4b41

Walizka Andrzeja Nováka-Zemplińskiego

malarza, honorowego prezesa Domus Polonorum

Moja podróż przez życie silnie przeplata się z malarstwem i końmi. W dzieciństwie, gdy odwiedzałem moich stryjów w ich majątkach w Tarnawie i Glanowie, poznałem życie dworu, choć w ograniczonej skali, ale z końmi, stajniami i wozowniami. To właśnie tam stawiałem pierwsze artystyczne kroki. Mój stryj, który był profesorem Wydziału Architektury Politechniki Krakowskiej, tworzył świetne akwarele i z nim malowałem konie podczas żniw. I właśnie te piękne zwierzęta zdominowały całe moje życie.

Choć na ASP nie były one raczej dobrze widziane, na moje szczęście moimi profesorami byli Michał Bylina i Ludwik Maciąg – obaj koniarze. Dzięki temu nawet z „końmi" mogłem pokazać się na Akademii, co zostało uznane za dużą ekstrawagancję jak na owe czasy. Po zrobieniu dyplomu zacząłem indywidualnie studiować dawną sztukę malarską, żeby nauczyć się warsztatu niedocenianego na wyższych uczelniach artystycznych. Tematycznie wróciłem oczywiście do koni i do dziś jestem im wierny. Cała moja klientela – najwięcej z USA i krajów arabskich – to nie tylko właściciele i hodowcy koni, lecz także miłośnicy tradycji i dawnej estetyki.

WOZOWNIA W TUŁOWICACH

Stworzyłem unikatowy w skali kraju i na dzisiejsze możliwości zbiór pojazdów konnych. 24 egzemplarze, które dzięki pracom konserwatorskim są przywracane do dawnej świetności, godnie reprezentują tradycję polskiego dworu, który z wielką zaciekłością był niszczony przez tzw. władzę ludową. W wozowni wielokrotnie gościłem polskie i zagraniczne grupy turystyczne, wycieczki szkolne, a także słuchaczy uniwersytetów trzeciego wieku.

eprasa.pl 4e935e4b41

KUFER

Do przewożenia sztywnych nakryć głowy, takich jak cylindry, kapelusze i meloniki. W XIX w. takich kufrów używano powszechnie. Ponieważ były skórzane i nie straszne były im deszcze, miejsce dla nich przewidziano na zewnątrz pojazdów konnych w specjalnych uchwytach.

GLANÓW

Dom w Glanowie, który w 1950 r. uwiecznił znany w krakowski malarz Stanisław Dąbrowski. W tamtym czasie ogród był niesamowicie ukwiecony, bo stryjenka była miłośniczką róż i miała ich wspaniałą kolekcję.

„ŻYCIE WOKÓŁ KONI"

To tytuł albumu wydanego przez Muzeum Ziemi Sochaczewskiej, gdzie miała miejsce wystawa moich prac. Ponieważ moje obrazy niezbyt dobrze sprawdzają się w galeriach, a ich miejscem docelowym są pomieszczenia mieszkalne, jako tło dla wystawy ustawiono stare meble kojarzące się z wnętrzem dawnego dworu.

OJCIEC

Zdjęcie autorstwa mojego dziadka Jana Nováka w czasie podróży z Glanowa do Miechowa. Czteroletni chłopiec na zdjęciu to mój ojciec, który, jak zauważył mój przyjaciel, jest „bardzo zainteresowany siłą pociągową".

KIEŁZNA

Wbrew pozorom nie mam natury kolekcjonera. Broń czy obrazy są wyłącznie programem estetycznym dekorującym ściany. Ale takie podstawowe elementy jak końskie kiełzna, kawaleryjskie i zaprzęgowe, musiały się znaleźć w domu koniarza.

OBLĘŻENIE DWORU W GLANOWIE

15 sierpnia 1863 r. mały oddział Aleksandra Krukowieckiego schronił się i przez cztery godziny bronił przed atakami Moskali. Po licznych stratach Rosjanie odstąpili i się wycofali. Dwa miesiące później dzięki francuskiemu korespondentowi ten epizod z powstania styczniowego został opisany i zilustrowany drzeworytami na łamach francuskiego tygodnika „L'Illustration".

ZEGAR PODRÓŻNY

Ośmiodniowy, czyli po jednokrotnym nakręceniu mógł pracować ponad tydzień. Dzięki specjalnemu pierścieniowi można go było mocować w powozach, samochodach czy jachtach.

KAMPINOS

Prezent od mojego najmłodszego syna – Andrzeja juniora. Choć z wykształcenia jest architektem, robi świetne studia pejzażowe. Ten przedstawia drogę w Puszczy Kampinoskiej, którą bardzo często pokonywałem konno. Uważniejszy obserwator zauważy na piasku nie tylko ślady końskich kopyt...

FLO

„Kokardy". Pamiątki po różnych końskich spotkaniach, głównie konkursach zaprzęgowych i hubertusach, czyli jesiennych biegach myśliwskich, w których startowałem co roku. Ponieważ ja i mój koń Rosik mamy swoje lata, już tego nie robimy.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, materiały archiwalne bohatera wywiadu

eprasa.pl 4e935e4b41

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Rok oszustów za nami

Jan Pietrzak

Alkoholowy influencer, prorządowy celebryta zwany Palikotem został aresztowany. To jedna z niewielu pozytywnych wiadomości dochodzących w ostatnich tygodniach ze sfer tuskatorskich. Prawdopodobnie zostanie wypuszczony za kaucją. Jak twierdzą wtajemniczeni, został użyty do odwrócenia uwagi opinii publicznej od dużo groźniejszych kreatur. W tym środowisku wszystko jest możliwe, żadnej plotki nie można wykluczyć. Ferajna nazywana przewrotnie elitą pokazuje, w którą stronę stacza się nasz kraj pod wpływem mocodawców ze wschodu i zachodu. Komisja ds. badania wpływów rosyjskich została rozpędzona. Komisja ds. badania wpływów niemieckich nie zdążyła powstać. „Uzasadnione podejrzenie oszustwa dużej wartości", za co podobno zamknięto Palikota, pasuje do wielu oszustów o znacznie większej wartości.

Mija rok rządów koalicji październikowej, której sztandarowym hasłem jest „demokracja walcząca". Przed rokiem, przed wyborami, nie mówili o żadnej walce. Mówili o praworządności, o uśmiechniętej Polsce i o tym, że „nic, co dane, nie będzie odebrane". Doprawdy, można się uśmiać do rozpuku! A to dopiero rok ich rządów. Co będzie za trzy lata? Jeden wielki rozpuk oraz (uwaga – padnie kolokwializm niespotykany na tych łamach) ogólna rozpierducha! Do tego najwyraźniej zmierza „ostatnie pokolenie" osobników wyhodowanych w III RP.

Na szczęście żyje jeszcze pokolenie przedostatnie, do którego samowolnie się zaliczam, które wie, co robić. Ujawnimy to w stosownej chwili, mając na uwadze słowa Donalda Trumpa: kochamy Polskę, kochamy Polaków. Są wielcy, silni, mądrzy!

Zapraszam na „moje zakazane piosenki" 17 i 22 X. Scena Stygmat, pl. Grzybowski 3/5, godz. 19

Historyczna niesprawiedliwość

Polska jako największa ofiara II wojny światowej poniosła niewyobrażalne straty ludzkie i materialne. Miliony naszych rodaków zginęły, a nasz kraj został zniszczony. Jednak paradoksalnie to właśnie Polska została postawiona w sytuacji, w której musi finansować utrzymanie miejsc pamięci po niemieckich obozach koncentracyjnych, takich jak Auschwitz–Birkenau, Treblinka, Sobibór i dziesiątki innych, w tym obozów pracy przymusowej i miejsc represji.

Wojciech Konończuk, Dyrektor Ośrodka Studiów Wschodnich, zwrócił niedawno uwagę na to, że w ostatniej dekadzie budżet tylko ośmiu polskich instytucji działających w byłych niemieckich obozach śmierci wynosił 1,16 mld zł. To ciężar, jaki ponosi dziś polskie państwo. Takich miejsc w Polsce są dziesiątki, jeśli nie setki. Jak to jest więc możliwe, że kraj, który doświadczył tak ogromnej tragedii z niemieckich rąk, ma teraz ponosić koszty związane z upamiętnieniem przodków, którzy zostali ofiarami zbrodni przeciwko ludzkości? To pytanie zadaję sobie nie tylko ja, ale myślę, że także wielu Polaków. Wydaje się przecież naturalne, że powinniśmy być wspierani w utrzymaniu tych miejsc przez spadkobierców twórców tej tragedii, a nie obarczani dodatkowym ciężarem finansowym.

W odpowiedzi na tę oczywistą niesprawiedliwość postanowiłem wystąpić z pytaniem do Komisji Europejskiej. Wykorzystując zapisy przegłosowanej w 2019 r. rezolucji Parlamentu Europejskiego w sprawie znaczenia europejskiej pamięci historycznej, w której wzywa się KE, aby skutecznie wspierała projekty dotyczące pamięci historycznej i pamięci o przeszłości w państwach członkowskich, zapytałem o stanowisko Komisji w sprawie ubiegania się o finansowanie utrzymania miejsc pamięci zbrodni totalitarnych z II wojny światowej przez tych, którzy wprowadzali te totalitaryzmy. Dlaczego to ofiara ma ponosić całkowity koszt? Liczę na to, że instytucje europejskie czują odpowiedzialność za zachowanie pamięci o historycznych zbrodniach. To nie tylko kwestia moralna, lecz także fundamentalna sprawa dla przyszłości jedności Europy. Utrzymanie miejsc pamięci nie powinno obciążać jedynie tych, którzy zostali skrzywdzeni.

Nasza historia to nie tylko zbiór dat i faktów – to również pamięć o cierpieniu i ofiarach. Wspieranie Polski w tej kwestii stanowi krok w stronę uznania naszej historii i wartości, jakie ze sobą niesie. Wierzę, że ta inicjatywa skłoni instytucje europejskie do refleksji i działania na rzecz sprawiedliwości. Liczę, że w efekcie uda się wywrzeć presję na tych, którzy winni ponosić koszt swojej polityki sprzed lat. Nie możemy pozwolić, aby pamięć o ofiarach była obciążona dodatkowym ciężarem. To nasz obowiązek jako społeczeństwa, aby bronić prawdy historycznej i zapewnić, że pamięć o przeszłości będzie chroniona dla przyszłych pokoleń.

Arkadiusz Mularczyk

Fot. Tutek Media

Co takiego wiedzą „złote dzieci” Tuska

Samuel Pereira

Kiedyś Sławomir Nowak był nazywany „złotym dzieckiem” Donalda Tuska, ale zniknął. Dziś mamy kolejne „złote dzieci”: Kingę i Arkadiusza. Kwintesencja plaformerskiej drogi politycznej, determinacja, cynizm i brak skrupułów. To ostatnie wyszło na jaw w ostatnich dniach, gdy dowiedzieliśmy się, że postanowili skorzystać z bardzo intratnej możliwości dwóch dopłat jednocześnie na jedno mieszkanie w Warszawie. W swojej nieposkromionej hipokryzji zdecydowali się na to, mimo że przez ostatnie lata sami chętnie wskazywali palcem rzeczywistą i urojoną pazerność władzy.

Sprawa wywołała spore oburzenie wśród internautów i śmiem twierdzić, będzie poważnym problemem dla tej ekipy. O ile można zrozumieć, że młoda para chciała skorzystać z dostępnych im przywilejów, o tyle okoliczności i sposób, w jaki to zrobiono, budzi wiele wątpliwości. Również wśród uśmiechniętych wyborców, którzy (o zgrozo) dali się nabrać na narrację o lepszych standardach itd. Biedactwa – wystarczyło nie zapomnieć albo dowiedzieć się, jak było za pierwszego Tuska. Wtedy to nie mieliby złudzeń.

W czasach, kiedy tak wiele osób zmaga się z problemem dostępu do mieszkań, „normalsom”, czyli wyborcom niechętnie optującym za którąkolwiek ze stron, taki ruch może się wydawać co najmniej nieodpowiedni. Kolejnym elementem, który wzbudził emocje, była sprawa rozliczania tzw. kilometrówek za podróże służbowe. Tu nie ma żartów, bo tłumaczenie Arkadiusza Myrchy, że dużo mu się „zebrało”, bo intensywnie jeździł w trakcie kampanii, wskazuje na możliwość jej nielegalnego finansowania, ponieważ wydatki posła na przejazdy samochodem są pokrywane z przysługującego ryczałtu tylko w przypadku podróży związanych z wykonywaniem mandatu poselskiego. Czy to możliwe, że prawnik Myrcha tego nie wiedział?

Warto zauważyć, że Donald Tusk, polityczny ojciec Kingi i Arka, na początku postanowił przemilczeć sprawę. A może to cisza przed burzą? Polityka to gra, w której liczą się nie tylko czyny, lecz także wiedza o innych. Może Tusk nie reaguje, bo wie, jak dużo wiedzą jego „złote dzieci”?

Romska kultura też się zmienia

Z tancerką Natalią Szmidt rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Jak czułaś się na planie filmu „Wrooklyn Zoo”?

Natalia Szmidt: Od najmłodszych lat miałam kontakt ze sceną, jestem oswojona z widownią i kamerą, ale nigdy nie uczyłam się, jak grać. I długo nie zdawałam sobie sprawy, jak dużym przedsięwzięciem jest ten film.

Co było najtrudniejsze w aktorskim zadaniu?

Huśtawka nastrojów. Czasami ciężko było znaleźć w sobie potrzebne emocje, a bardzo chciałam, żeby były prawdziwe.

Opowiedz o swojej bohaterce.

Zagrałam Zorę, młodą Romkę, która chce się wyrwać ze swojego zamkniętego środowiska. Na jej drodze pojawia się „Kosa”, chłopak na deskorolce, z zupełnie innymi wartościami niż te, które wyniosła z rodziny. To spotkanie przynosi im miłość i wolność. Kiedyś w romskiej społeczności było tak, że ojciec wybierał męża dla córki i nie było dyskusji, ale wszystko idzie do przodu, romska kultura też się zmienia.

Czujesz się romską ambasadorką?

Trochę tak. Jestem wdzięczna, że miałam okazję reprezentować tę społeczność. To wiele dla nas znaczy.

Kim jest dla ciebie Don Vasyl (właściwie Wasyl Szmidt)?

To mój wujek. Od najmłodszych lat zabierał mnie na koncerty. To dzięki niemu stanęłam na scenie i to on bardzo popychał mnie do przodu. Pomysł zagrania w filmie spodobał się wszystkim w rodzinie. Wiem, że nie wszyscy jeszcze widzieli „Wrooklyn Zoo”, ale myślę, że się udało.

eprasa.pl 4e935e4b41

TRENDY I OWĘDY

Zmętlikowany umysł

Ryszard Makowski

Aktualna rzeczywistość kipi emocjami i żadne fakty nie są w stanie tego zmienić. Rząd ewidentnie zawiódł przy powodzi, ale odzyskał wiarygodność, zmuszając producenta do wycofania z rynku wygodnych w użyciu saszetek z alkoholem. Czesiek został kategorycznie wysłany z posiedzenia Rady Ministrów i natychmiast załatwił sprawę. I to wystarczyło opinii publicznej. Nikt już nie deliberuje nad tym, że „koordynację działań związanych z odbudową obszarów dotkniętych powodzią w 2024 r." powierzono politykowi, któremu alko-tubka nie wadzi. Żarty, że świetnie się zna na zalaniu, wręcz smucą.

Choć trudno wymienić jedną pożyteczną rzecz autorstwa tej władzy, a lista tych złych jest długa i przerażająca, Koalicja Obywatelska wiedzie prym w sondażach. Wariant demokracji, która się tu panoszy, przypomina wzorce białoruskie z inklinacją do północnokoreańskich. I większości to nie przeszkadza!

Jak w tej sytuacji PiS ma wygrać wybory prezydenckie? Przy uchu prezesa trwa pewnie spore zamieszanie. Jarosław Kaczyński od 4,5 roku nie rozmawiał z obecnym prezydentem (swoim nominatem), więc nie dziwi głębokie zastanowienie na Nowogrodzkiej. Najgorsze jest jednak to, że kontrolowany mętlik medialny zdecydowanie faworyzuje antypis. Ktoś, kto walczy w Warszawie z krzyżami w przestrzeni publicznej, powinien być bez szans w rywalizacji. A tu niespodzianka! Zwolennicy grillowanego arbuza à la łosoś zapewniają mu silną pozycję. Podśpiewując: „Wolność kocham i rozumiem, wolności oddać nie umiem" pchają nas do utraty niepodległości. Grają larum, więc może być trudno pokonać „zmętlikowany umysł".

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, JAKUB MACIEJEWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa medialna

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO: TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00) PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

PBC POLSKIE BADANIA CZYTELNICTWA

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR x4, RYSUNEK MICHAŁ KORSUN, SHUTTERSTOCK/ BRANISLAVPUDAR, GRAEME DAWES

Przepraszamy pana dr. Macieja Korkucia za omyłkowe zilustrowanie wywiadu z nim niewłaściwym zdjęciem. Redakcja

eprasa.pl 4e935e4b41

Fot. Materiały prasowe

Franczyzobiorcy Żabki wspierają lokalne społeczności w ramach programu „Dobre Życie"

Sieć sklepów Żabka zawsze jest blisko lokalnych społeczności, czując się ich częścią, a jej franczyzobiorcy chcą mieć realny wpływ na poprawę jakości życia w swoim najbliższym otoczeniu. Dlatego Grupa Żabka utworzyła specjalny program grantowy „Dobre Życie", skierowany do przedsiębiorców prowadzących sklepy pod szyldem sieci, którzy mają pomysł na aktywność prospołeczną i chcą wdrożyć ją w życie. Gra miejska, warsztaty malarstwa abstrakcyjnego, zajęcia z jogi na plaży czy warsztaty teatralne to tylko niektóre inicjatywy franczyzobiorców, które zostaną zrealizowane jeszcze tej jesieni

W br. przy wsparciu Stowarzyszenia Centrum Promocji i Rozwoju Inicjatyw Obywatelskich PISOP Grupa Żabka uruchomiła program grantowy „Dobre Życie", który ma na celu wesprzeć lokalne inicjatywy społeczne franczyzobiorców sieci. Żabka od lat jest blisko mieszkańców, a zgodnie z przyjętą strategią zaangażowania społecznego Grupa Żabka aktywnie angażuje się w działania mające na celu integrację lokalnych społeczności.

Zgłoszenia do pierwszej, pilotażowej edycji programu „Dobre Życie" wpływały do końca czerwca 2024 r. Następnie komisja złożona z przedstawicieli Grupy Żabka, Rady Franczyzobiorców i Stowarzyszenia Centrum PISOP (partnera merytorycznego konkursu) wybrała siedem inicjatyw, które najlepiej wpisały się w założenia programu i przyznała granty w wysokości do 7 tys. zł na realizację projektów.

– Wybierając spośród inicjatyw zgłoszonych przez naszych franczyzobiorców, braliśmy pod uwagę takie wartości, jak m.in. wykorzystanie potencjału lokalnych społeczności, oryginalność projektów, ich realny wpływ na poprawę jakości życia ludzi mieszkających w najbliższym otoczeniu franczyzobiorcy, a także to, na ile wskazane działania wpisują się w strategię Grupy Żabka. Z obserwacji pierwszych inicjatyw, które wystartowały, wynika, że cieszą się one dużym zainteresowaniem mieszkańców – mówi Katarzyna Przewęzikowska, menedżerka ds. relacji zewnętrznych i CSR.

Wśród zwycięskich inicjatyw znalazły się:

- „Warsztaty malarstwa abstrakcyjnego" dla mieszkańców Ustronia Morskiego.
- Integracyjna impreza plenerowa w Głubczycach dla mieszkańców osiedla oraz 30 rodzin z dziećmi ze Stowarzyszenia Rodziców Dzieci Niepełnosprawnych „Tacy Sami".
- Warsztaty teatralne pt. „Międzypokoleniowy zawrót głowy", podczas których seniorzy i dzieci wspólnie przygotują występ na scenie Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Bystrzycy Kłodzkiej. Tematem przedstawienia będzie odmienne postrzeganie świata przez dzieci i seniorów.
- Akcja „Chwyć w swoje ŁAP-ki serduszko od żabki", w ramach której podopieczni placówek wykonali dziergane, zielone serca, które ukryto w różnych zakątkach gminy. Zabawa miała na celu wsparcie Domu Pomocy Społecznej oraz Świetlicy Socjoterapeutycznej w Łapach.
- Doposażenie ratowników Stowarzyszenia Cywilnych Zespołów Ratowniczych z Psami STORAT z Rzeszowa w ramach projektu „Bezpieczni z Żabką". Ponadto Stowarzyszenie przygotuje cykl spotkań dla lokalnej społeczności, podczas których zaprezentuje umiejętności psów oraz omówi zasady bezpieczeństwa na szlakach górskich.
- Projekt „Żabka przyjazne miejsce dla sąsiadów" zakładający poprawę estetyki okolicy Lasku Marcelińskiego w Poznaniu, który znajduje się na szlaku wycieczek rowerowych i pieszych.
- Cykl coniedzielnych spotkań na plaży nad jeziorem Lipno w Stęszewie pt. „Joga na plaży z Żabką".

Niektóre projekty już się odbyły, pozostałe zostaną zrealizowane jesienią. Jeszcze w br. Grupa Żabka planuje uruchomić nabór wniosków do drugiej edycji programu grantowego.

Więcej informacji o franczyzie z Żabką: https://www.zabka.pl/franczyza

Artykuł sponsorowany | 12/0524/F

eprasa.pl 4e935e4b41

Za Tuska żyje się gorzej

Ani jeden wskaźnik dotyczący jakości życia Polaków nie jest lepszy niż za rządów prawicy. Radość budzą te, które się nie pogorszyły, ale nie ma ani jednego, którym władza mogłaby się chwalić, że poprawił się w ciągu 11 miesięcy rządów Donalda Tuska

PIOTR GURSZTYN

Wiadomość z początku października: Polacy wycofują rekordowe sumy pieniędzy z Pracowniczych Planów Kapitałowych. Utworzone w 2019 r. PPK mają być finansową gwarancją tego, że przyszłe emerytury nie będą na głodowym poziomie. A tu nagle w drugim kwartale obecnego roku został odnotowany rekord w wycofywaniu wkładów. I to mimo że ludzie, którzy zabierają pieniądze, tracą dopłatę wpłaconą przez pracodawcę i Skarb Państwa. Uczestnicy PPK wypłacili ponad 500 mln zł, a w pierwszym kwartale – 460 mln.

Cytowany przez jeden z portali gospodarczych (Strefa Biznesu grupy Polska Press) analityk stwierdził, że wycofywane pieniądze służą „uzupełnieniu domowych budżetów". Czyli, mówiąc prościej, ludziom zaczyna brakować pieniędzy na bieżące wydatki, więc łatają dziury oszczędnościami emerytalnymi. A oprócz tego, że żyje się biedniej, doszedł jeszcze jeden powód masowego wycofywania środków: nieufność. Do władzy wrócił Donald Tusk, autor znacjonalizowania w 2014 r. środków emerytalnych zgromadzonych w OFE. Niby PPK tym się różni od OFE, że to zasoby prywatne, ale w dobie „demokracji walczącej" nawet zwolennicy obecnej władzy nie są pewni, czy znienacka nie zostaną zmienione reguły.

Wiadomość z końca września: 40 proc. Polaków zadeklarowało, że w ciągu ostatniego roku pogorszyła się ich sytuacja materialna, a tylko 22 proc. stwierdziło, że jest im lepiej pod względem finansowym. Badanie było wykonane na zlecenie Związku Przedsiębiorstw Finansowych w Polsce i Instytutu Rozwoju Gospodarczego Szkoły Głównej Handlowej. W tej samej ankiecie padło pytanie o przyszłość. I tu odpowiedź była podobna – 40 proc. przewiduje, że będzie im gorzej, 23 proc. ma nadzieję, że się poprawi. W obu pytaniach najwięcej negatywnych odpowiedzi padło w grupie wiekowej 30–49 lat, czyli pokoleniu ludzi najbardziej aktywnych zawodowo, którzy jednocześnie są rodzicami.

Takich negatywnych doniesień jest więcej. Pozytywnych nie ma w ogóle. Skończył się czas ekonomicznego optymizmu i zakupowego szału, który cechował ośmiolecie rządów prawicy. Co ciekawe, ludzie bardziej pozytywnie oceniali swoją kondycję materialną i perspektywy na przyszłość nawet w dwóch wyjątkowo trudnych okresach – w czasie pandemii i w momencie rosyjskiej agresji na Ukrainę. Okres covidowego przymusowego zamknięcia w czterech ścianach to czas masowych zakupów internetowych. Także remontów oraz ulepszeń domów i mieszkań, w których musieliśmy spędzać tyle czasu. A ponadto run na zakup domów z ogródkami i działek rekreacyjnych, które stały się bardzo pożądane w tamtym klaustrofobicznym czasie. Wybuch wojny to okres nadzwyczajnej szczodrości Polaków dla napadniętego sąsiada. Ludzie nie bali się wydawać wielkich pieniędzy na pomoc dla uchodźców i zakup wszystkiego, czego potrzebowała walcząca Ukraina.

ZAPOWIEDZI LICZNYCH ZWOLNIEŃ

W roku 2024 wszystko siadło. Bezrobocie – statystycznie ujmując – jest relatywnie niskie. Jednak

eprasa.pl 4e935e4b41

opinia publiczna została zmrożona zapowiedziami licznych zwolnień grupowych. Po kilka tysięcy pracowników mają zwolnić państwowe spółki PKP Cargo i Poczta Polska. Dla każdego jest oczywiste, że gdyby miały one kłopoty za rządów prawicy, to ówczesny premier – Beata Szydło czy Mateusz Morawiecki – stawałby na głowie, aby je ratować. Szczególnie pod względem ochrony miejsc pracy. Dzisiejsza władza ma inne priorytety, na dodatek znajduje się pod osłoną medialną, więc redukowani pracownicy nie usłyszą wyrazów współczucia, lecz „uzasadnienia", że kończy się epoka wspierania państwowych molochów.

Można rzec, że zwalniani pracownicy mają pecha. Bo gdyby redukcje dotknęły ich za rządów Prawa i Sprawiedliwości, to staliby się tematem numer jeden wszystkich mediów. Nie tylko tych zajmujących się gospodarką (gdzie zresztą też nie są jedynkowym tematem). Bez trudu można sobie wyobrazić codzienne łączenia mainstreamowych stacji telewizyjnych z miejscami, gdzie doszło do masowych zwolnień. Lajfy reporterów, wywiady ze zrozpaczonymi jedynymi żywicielami rodzin. A jeszcze lepiej żywicielkami, bo nie ma lepszego sposobu na rozbudzenie emocji niż ukazanie matki przerażonej tym, że nie zarobi na utrzymanie swych dzieci. Teraz tego nie ma. Informacje na temat pogarszającej się sytuacji gospodarczej dozowane są w kontrolowany sposób.

MEDIALNA GRA

Nie można powiedzieć, że np. w takiej „Gazecie Wyborczej" nie ma informacji gospodarczych czy społecznych niekorzystnych dla obecnego rządu. Zdarzają się stosunkowo często, więc ktoś może polemizować z tezą, że rząd Tuska znajduje się pod osłoną mediów liberalnych. Ale prawda jest taka, że krytyczne teksty ukazują się w częściach gospodarczych tych mediów, nie są eksponowane tak, aby dotarły do czytelników, którzy nie mają zwyczaju czytania informacji ekonomicznych. Czyli nie docierają do większości odbiorców. Sposobem na manipulację jest też to, że nie dopuszcza się do tego, żeby rezonowały. To znaczy nie są komentowane przez głównych publicystów danego medium, redakcje nie zbierają opinii zewnętrznych u osób, które uważają za autorytety. Niekorzystne dla rządu doniesienia nie są też powtarzane. Nie mają kontynuacji, co byłoby oczywistym działaniem, gdyby gazeta, portal lub telewizja chciała nagłośnić jakiś temat. Niemiłe newsy mają mieć żywot motyla. Umrzeć po jednym dniu, co jest o tyle łatwe, że bombardowana przeróżnymi informacjami i bodźcami opinia publiczna ma często bardzo krótką pamięć. Dodajmy do tego epatowanie jej drugorzędnymi sensacjami, co też jest celowym odwracaniem uwagi. Plus rozwadnianie komentarzami o rzekomym PiS-owskim rozpasaniu finansowym i rozdawnictwie pieniędzy, ze szczególnym atakiem na 800+, jako rzecz znienawidzoną przez wielu wyborców obecnej władzy.

> Wiadomość z końca września: 40 proc. Polaków zadeklarowało, że w ciągu ostatniego roku pogorszyła się ich sytuacja materialna, a tylko 22 proc. stwierdziło, że jest im lepiej pod względem finansowym

To ostatnie jest o tyle istotne, że prawdopodobnym kierunkiem działania Tuska będzie gra na podziały społeczne. W myśl zasady „dziel i rządź". Masowe zwolnienia i cięcie świadczeń socjalnych najbardziej dotkną uboższą część społeczeństwa. A nie jest to trzon elektoratu Koalicji Obywatelskiej. Napuszczanie bogatszych na biedniejszych, przy wsparciu orkiestry medialnej, może być metodą spacyfikowania niezadowolonych. Dla Tuska byłoby to wygodne – umyłby ręce, że to nie on jest tym, który tłamsi społeczne niezadowolenie.

Skoro teraz rządzący nie wykazują się inicjatywą w ratowaniu państwowych spółek, to tym bardziej nie będą reagowali na zwolnienia w firmach prywatnych. A ta seria jest bardzo długa – np. w Płocku Levi Strauss zwolnił 800 pracowników, w Bielsku-Białej trzy firmy – ponad 700 ludzi, ABB w Kłodzku – 800 osób (jeszcze przed powodzią), a w Słupsku Scania 700 zwalnia osób.

GAŚNIE OPTYMIZM KONSUMENTÓW

W tej sytuacji nie jest dziwne, że także ci, którzy nie tracą pracy, zaczynają oszczędzać. I tu zdarzyła się rzecz bardzo charakterystyczna – jesienią ub.r., a także w pierwszych miesiącach tego, dominowały doniesienia o wysokim poziomie tzw. optymizmu konsumentów. Ludzie deklarowali, że masowo ruszą na zakupy. Aż tu nagle ukazały się statystyki z czerwca: „Czerwcowe dane o sprzedaży detalicznej były niższe od prognoz. Konsumenci część dochodów przeznaczają na oszczędności" – donosił jeden z portali ekonomicznych (Bankier.pl). Najświeższe informacje potwierdzają, że to trwały trend. Badania CBOS, ośrodka podległego rządowi, pokazują, że rośnie liczba ankietowanych deklarujących ograniczanie wydatków. A według danych NBP Polacy starają się „odbudować" swoje oszczędności, czyli nie wydają na bieżące zakupy.

Jak interpretować tę zmianę? Duża część Polaków uwierzyła wyborczym deklaracjom Donalda Tuska, że „nic, co dane, nie zostanie zabrane". Wygląda na to, że spora grupa obywateli, idąc do wyborów, kierowała się następującą motywacją: warto wybrać nową władzę, bo ta nie zabierze tego, co dawał PiS, a na dodatek dołoży coś nowego. Ale na wiosnę – bo wtedy nastąpiło załamanie wskaźnika optymizmu konsumenckiego – zauważyli, że ich kalkulacja była błędna, a nowa władza nie potrafi lub nie chce zadbać o ich dobrobyt.

A CENY ROSNĄ

Trzeba tu przypomnieć o jeszcze jednym – minister klimatu i środowiska Paulina Hennig-Kloska obiecywała, że po

eprasa.pl 4e935e4b41

Fot. Shutterstock

uwolnieniu cen energii elektrycznej jej miesięczny koszt nie wzrośnie więcej niż o 30 zł. Każdy wie, że stało się inaczej – rachunki są większe nawet o kilkaset złotych. Podobnie zdrożały opłaty za gaz, a nawet wodę. W ogóle za rządów Tuska nie spadły żadne ceny, łącznie z obiecywaną przez niego benzyną za 5,19 zł za l. Żadna zapowiedź wyborcza w tej kwestii nie została spełniona. Oszustwo jest tym większe, że jednym z głównych wątków politycznej propagandy Platformy przed 15 października 2023 r. było natrętne oskarżanie prawicy o odpowiedzialność za wysokie ceny detaliczne.

800+ NIE DLA KAŻDEGO

W przyszłym roku poważną część społeczeństwa czeka kolejna bolesna zmiana. 1 lipca br. weszły w życie nowe przepisy w sprawie wypłacania 800+ i wyprawki szkolnej. Zaczną obowiązywać po zakończeniu obecnego roku obrachunkowego, czyli od czerwca 2025 r. Oznacza to, że 800+ i wyprawka przestaną być świadczeniem powszechnym. Zacznie je wypłacać ZUS jako pomoc społeczną rodzinom poniżej określonego przez władzę kryterium dochodowego. A tu rząd Tuska będzie mógł dowolnie zdecydować, jaki procent rodzin wypadnie z tego programu. Ma zresztą doświadczenie w tej sprawie, bo po 2007 r. w ten sam sposób Platforma skasowała ówczesne świadczenie na dzieci, czyli „becikowe".

> Masowe zwolnienia i cięcie świadczeń socjalnych najbardziej dotkną uboższą część społeczeństwa. A nie jest to trzon elektoratu Koalicji Obywatelskiej

Przyjęty ostatnio przez gabinet Tuska dokument pt. „Średniookresowy plan budżetowo-strukturalny na lata 2025-2028" jest jawną zapowiedzią tego, że jedynym pomysłem tej ekipy na problemy gospodarki będzie wyciskanie pieniędzy z obywateli. Nie ma przecież już mowy o realizacji obietnic wyborczych takich, jak 60-tysięczna kwota wolna od podatku. Nie będzie żadnej waloryzacji świadczeń społecznych i to mimo ciągłego wzrostu cen. Pójdą za to w górę opłaty za energię, bo w dokumencie jasno stoi, że „tarcze ochronne" będą likwidowane. Nie zdziwmy się też, gdy wzrosną podatki lub pojawią się całkiem nowe – jak przebąkiwany tu i ówdzie „podatek wojenny".

NA NIEMIECKIE POTRZEBY

Dlaczego tak się dzieje? Przecież żadna władza nie chce być niepopularna. Nie będzie podcinać gałęzi, na której siedzi. Początkowo zdawało się, że nie będzie biedniej. Jeszcze w kwietniu minister finansów Andrzej Domański mówił, że „budżet wygląda całkiem dobrze". Co się zatem stało?

eprasa.pl 4e935e4b41

Na prawicy popularna jest odpowiedź, że to efekt tego, iż Tusk chce sprowadzić Polskę do roli podporządkowanego Niemcom podwykonawcy. Blokada inwestycji strategicznych z CPK na czele wskazuje na słuszność tej diagnozy. Premier buńczucznie zapowiadał, że w Unii nikt go nie ogra, tymczasem nie widać, aby prowadził wobec niej asertywną politykę. A asertywność wobec Unii jest tym samym, co prowadzenie podmiotowej polityki wobec Niemiec. Rezygnacja z prowadzenia jej na równych, partnerskich relacjach odbija się na wynikach gospodarczych, co widać po bardzo konkretnym i bliskim nam przykładzie.

Ostatnio przez media zajmujące się gospodarką przewinęły się doniesienia o tym, że poziom życia Polaków zrównał się z dobrobytem Czechów. A uwzględniając siłę nabywczą, a nie wskaźniki nominalne, nawet przewyższył. To rzeczywiście epokowe zdarzenie, bo przez stulecia Czechy były znacznie zamożniejsze od Polski. W 2009 r. Międzynarodowy Fundusz Walutowy wpisał je – jako pierwszy kraj naszego regionu – do kategorii państw najwyżej rozwiniętych. My zostaliśmy w kategorii drugiej. Teraz czeska opinia publiczna i tamtejsze media zadają sobie pytanie, co się stało, że dawna „Szwajcaria Europy Środkowej" została prześcignięta przez sąsiada, którego Czesi ze sporą dawką pogardy zawsze uważali za naród wiecznych biedaków. Odpowiedzi pada kilka – pierwsza jest taka, że polski rząd i bank centralny w bardziej skuteczny sposób reagowały w czasie pandemii (a to laurka dla aktywnej polityki gospodarczej rządów prawicy). Druga odpowiedź dotyczy spraw systemowych – Czechom szkodzi zbyt mocne uzależnienie ich gospodarki od Niemiec. Głęboki kryzys niemieckiego przemysłu, w tym jego technologiczne zapóźnienie, uderza w takie kraje, jak Czechy, które wybrały drogę niemieckiej montowni i posłusznego podążania w kierunku wyznaczonym przez Berlin. Ta odpowiedź mocno odnosi się i do nas – okazuje się bowiem, że dużo bardziej opłacalna była szarpanina z Niemcami za rządów prawicy niż uległa wobec nich postawa Donalda Tuska.

METODY TUSKA

Następny powód to mentalność premiera i jego otoczenia, czyli dawny KLD-owski leseferyzm. Poczta Polska bankrutuje? Trudno, widać się nie opłaca. Establishment da sobie radę bez poczty. Jest nim także wygłodzenie tysięcy „zasłużonych" działaczy po ośmiu latach spędzonych w opozycji. Obsada kierowniczych stanowisk w państwowych spółkach i instytucjach sprowadziła się do masowej wycinki kompetentnych menedżerów. Widać to po ORLENIE, którego wskaźniki runęły w tym roku, więc obecna władza, gdyby chciała, nie miałaby skąd czerpać środków na działania ratunkowe, jakby to zrobiła prawica.

> Duża część Polaków uwierzyła wyborczym deklaracjom Donalda Tuska, że „nic, co dane, nie zostanie zabrane". Wygląda na to, że spora grupa obywateli, idąc do wyborów, kierowała się następującą motywacją: warto wybrać nową władzę, bo ta nie zabierze tego, co dawał PiS, a na dodatek dołoży coś nowego

Donald Tusk deklarował, że nie lubi wizji i jest w tym konsekwentny. Jego praca w rządzie to nieprzesadnie aktywne administrowanie, publiczna ekspresja osobistych idiosynkrazji i w ostateczności reaktywne rozwiązywanie nadarzających się problemów. Ten styl udziela się wszystkim ministrom. Nikt z nich nie próbuje wyjść poza rolę bezbarwnego tła dla dominującego nad wszystkimi hegemona. Ministrowie są tylko Czesławami traktowanymi przez Tuska jak chłopcy na posyłki. Inicjatywa z ich strony nie istnieje. Tu też mamy kontrast z rządami prawicy. Oskarżanemu o tyrańskie skłonności Jarosławowi Kaczyńskiemu nie zarzucano przecież sterowania z tylnego siedzenia. Ministrowie Zjednoczonej Prawicy mieli w istocie ogromną swobodę w swojej pracy i wykazywali się inicjatywą bez obaw, że zostaną za to ukarani.

Widać, że chleba nie będzie. Kolejne niedawne doniesienie – między styczniem a lipcem dochody z podatku CIT spadły o 23,5 proc. Jeśli nie ma chleba, to będą igrzyska, co jest dobrze znaną metodą Tuska. Ona jednak nie jest już tak skuteczna, bo coraz częściej negatywnie oceniają ją nawet komentatorzy życzliwi obecnej ekipie.

Igrzyska w postaci aresztowania kolejnych polityków związanych z prawicą mają swoje ograniczenia. Po pierwsze, wiążą się z prawnymi trudnościami nawet wtedy, gdy łamane są przepisy. Po drugie, opinia publiczna coraz mniej się tym ekscytuje. Po trzecie wreszcie, zaczyna je negatywnie oceniać. Spada liczba ludzi oczekujących tego, co Donald Tusk lubi najbardziej, czyli rozliczania PiS. Sondaż z początku sierpnia (dla „Dziennika. Gazety Prawnej") pokazuje, że tylko 16,4 proc. ankietowanych uważa rozliczenia za rzecz kluczową dla rządu. 51,4 proc. odpowiedziało, że oczekuje od Tuska, aby skoncentrował się na walce z rosnącymi cenami i wysokimi rachunkami. Zresztą takie kwestie, jak budowa CPK czy elektrowni atomowej, zostały wskazane przez więcej ludzi niż sprawa rozliczeń (23,4 i 23,2 proc.). W innym badaniu ponad połowa Polaków negatywnie oceniła słowa Tuska o konieczności łamania prawa w celu „przywracania praworządności".

Nie będzie chleba, igrzyska też już nie działają. Co zatem zrobi Tusk? Może jeszcze wziąć ludzi za twarz i ich zakneblować, aby nie było słychać, iż są niezadowoleni. W Polsce po 1989 r. nikt tego jeszcze nie próbował, więc wszystkim wydaje się to niemożliwe. Ale zawsze jest tak, że ktoś musi być pierwszy. I wtedy nagle się okazuje, że to możliwe.

eprasa.pl 4e935e4b41

Już niepotrzebny

Na naszych oczach upada mit Janusza Palikota jako świetnego biznesmena. Nigdy nim nie był. Ale jedna jego inwestycja okazała się doskonała. Kupienie Donalda Tuska dało mu na pewien czas status politycznej gwiazdy i utorowało drogę do oszustw, jak twierdzi prokuratura, na szeroką skalę

Z jednej strony to człowiek inteligentny i oczytany, filozof z wykształcenia i zawodu (kiedyś). Przez długi czas uważany za utalentowanego biznesmena, który brawurowo rozpędza kolejne interesy i mnoży zyski. Z drugiej stanowi uosobienie wszystkiego, co najgorsze w działalności publicznej. Ponosi dużą odpowiedzialność za sprowadzanie debaty publicznej do rynsztoka, stosowanie nienawiści jako metody politycznej, a nawet otwarcie drzwi do parlamentu bandytom.

Kocha zwracać na siebie uwagę, dlatego nie uznaje granic – ani ekscentryczności, ani chamstwa. Te dwa pojęcia często mu się zresztą myliły. Zawsze dbał, by było o nim głośno. Lecz aktualny rozgłos może być ostatnim, bo Janusz Palikot musi się liczyć z długą – nawet 20-letnią – odsiadką.

WYDAWCA TUSKA

Szeroka opinia publiczna poznała go w 2005 r., gdy wstąpił do Platformy Obywatelskiej i zaczął pojawiać się u boku szefa partii, który wówczas dążył do prezydentury. Wiarygodne świadectwo z tamtego okresu znajdujemy w książce Pawła Piskorskiego „Między nami liberałami": „Cała Polska była oblepiona Donaldem. [...] To było oczywiście poza jakimikolwiek wydatkami na kampanię wyborczą. Wydanie książki nie jest rzeczą drogą, ale było coś więcej. Ta książka [wydana przez Palikota – przyp. red.] miała ogromną kampanię promocyjną. Było mnóstwo billboardów promujących tę książkę. A zwłaszcza – autora. A to już są znacznie większe pieniądze. [...] To wszystko szło poza oficjalnym strumieniem pieniędzy kampanijnych. Tuskowi taka promocja w środku walki wyborczej bardzo pomogła. [...] Wtedy Palikot był już w Platformie i zaczynał mieć znaczenie, bo po prostu sponsorował Donalda. Palikot na platformowym

MAREK PYZA

dworze odgrywał wtedy istotną rolę, bo jako najzamożniejszy stawiał kolacje i to Donaldowi bardzo pasowało".

Donald Tusk przegrał tamte wybory prezydenckie (ta zadra siedzi w nim do dziś), ale Palikot ugrał swoje. Najzwyczajniej w świecie kupił sobie względy Tuska, zdobył mandat poselski i stał się tajną bronią lidera PO. To, czego nie wypadało powiedzieć przewodniczącemu, mówił on. Zawsze gotów do wywołania kolejnego skandalu, by przykryć kłopoty wizerunkowe swego patrona.

A to określał Jarosława Gowina „katolicką ciotą", a to zarzucał prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu chorobę alkoholową, a poseł Grażynie Gęsickiej – polityczną prostytucję. Dwoje ostatnich zginęło później w katastrofie smoleńskiej, lecz Palikota to nie otrzeźwiło. Dwa miesiące po tej tragedii zasłynął powiedzeniem: „Największym wilkiem polskiej polityki jest Jarosław Kaczyński. [...] Bronisław Komorowski pójdzie na polowanie na wilki, zastrzelimy Jarosława Kaczyńskiego, wypatroszymy i skórę wystawimy na sprzedaż w Europie". Było to jedno z najohydniejszych zagrań w polskiej polityce, ale nie przeszkadzało to walczącemu o prezydenturę Komorowskiemu. Nie odsunął on Palikota od sztabu.

W sierpniu 2010 r. Dominik Taras, wychowanek Palikota, zorganizował nocną manifestację na Krakowskim Przedmieściu, w czasie której pijana młodzież urządziła obrzydliwy antyreligijny spektakl, wymierzony również w pamięć o ofiarach katastrofy. Sam Palikot obwiniał na zmianę Jarosława i Lecha Kaczyńskich (a najchętniej obu naraz) o spowodowanie tragedii. Sugerował również, że prezydent był pijany na pokładzie tupolewa.

Dał się również zapamiętać z zapalenia skręta na marszu wolnych konopii, przyniesienia do studia TVN24 świńskiego łba (miał to być prezent „dla mafii, jaką jest PZPN") czy wymachiwania na konferencji prasowej atrapą pistoletu w jednej, a atrapą penisa w drugiej ręce (był to happening komentujący aferę z gwałtem w lubelskiej komendzie policji).

Liczyło się tylko jedno – by o jego ekscesach było jak najgłośniej. Idealne wypełnienie zasady: cel uświęca środki.

RUCH NA BAKIER Z PRAWEM

Nic dziwnego, że biłgorajski cwaniak przyciągał podobne postacie.

Gdy rozstał się z Tuskiem, upojony rosnącą własną popularnością stworzył nowy szyld z sobą w roli głównej – stowarzyszenie Ruch Poparcia Palikota. Szybko przekształciło się ono w partię Ruch Poparcia, a gdy tej ostatniej zajrzało w oczy widmo wykreślenia z rejestru (z powodu niezłożenia sprawozdania finansowego), powołał nową – Ruch Palikota.

Na czele stowarzyszenia stała Katarzyna I. Nazwisko skracamy, bo po kilku latach kobieta usłyszała zarzuty m.in. wystawiania lewych faktur i prania brudnych pieniędzy. Wszystko w związku z działalnością fundacji Moja Dominikana, która miała zajmować się pomocą dzieciom w Polsce oraz... na Karaibach. Proces trwa, a my sięgamy do wypowiedzi Katarzyny I. z 2011 r., gdy nie współpracowała już z Palikotem (kandydowała do Sejmu z list SLD), a zeznawała przeciwko niemu w procesie wyborczym. Opowiadała, że stowarzyszenie miało setki tysięcy długów i zaciągało nowe z założeniem, że albo

Fot. PAP

eprasa.pl 4e935e4b41

będą one uregulowane po wyborach pieniędzmi z budżetu, albo rozwiąże się stowarzyszenie i w ogóle nie trzeba będzie płacić.

Kilka miesięcy później w jednym z wywiadów ujawniła, że Palikot cynicznie wznosił sztandar LGBT+. Ostrzegała Roberta Biedronia (ten był wówczas jedną z gwiazd tworzącego się Ruchu): „Panie Robercie, panie pośle, jest pan narzędziem". Opisując kulisy tworzenia list wyborczych Palikota, przywołała słowa lidera: „Mówił wprost – przepraszam, zacytuję: »Pedał na pokładzie ze znaną twarzą? Nie ma nic bardziej cennego, bo jesteśmy chronieni cały czas. I wszędzie, gdzie jest zadyma, wysyła się pedała«".

W 2011 r. wprowadził do parlamentu 40 posłów. Cóż to była za zbieranina! Znalazł się w niej nie tylko gej Biedroń, lecz także transseksualna Anna Grodzka, Wanda Nowicka, ówczesna wicemarszałek Sejmu, która w tamtym czasie częściej niż z własnych pomysłów musiała się tłumaczyć z działalności swojego syna – zdeklarowanego komunisty, czy Łukasz Gibała (wieczny kandydat na prezydenta Krakowa). A to dopiero początek.

Wojciech Penkalski miał w swojej biografii 27 miesięcy spędzonych w więzieniu. Skazywano go trzy razy: za „wspólnie i w porozumieniu pobicie człowieka kijem bejsbolowym i uderzanie go nogami po całym ciele", za „grożenie świadkowi w celu zmiany zeznań" oraz za „pobicie i grożenie bronią w celu wymuszenia rozporządzenia mieniem w wysokości 3 tys. zł". Palikot stanął za Penkalskim murem: „W Polsce trudno być przyzwoitym człowiekiem i nie zaliczyć pudła!". Teraz za kratami ma możliwość poznania całej masy „przyzwoitych" ludzi.

W Sejmie Penkalski najbliżej kumplował się z Arturem Dębskim, importerem z Chin różnego rodzaju badziewia do sklepów „wszystko po 5 zł". Później zasłynął m.in. handlem podrabianymi torebkami marek Louis Vuitton czy Burberry, co zaprowadziło go na ławę oskarżonych.

Małgorzata Marcinkiewicz, inna poseł Ruchu, też robiła interesy ze Wschodem, ale bliższym. Od połowy lat 90. handlowała drewnem, a kontrahentów znalazła w Rosji, Mołdawii, Kazachstanie, Uzbekistanie, na Białorusi i Ukrainie. W 2016 r. została skazana przez Sąd Rejonowy w Jaśle na dwa lata pozbawienia wolności (z warunkowym zawieszeniem) oraz grzywnę m.in. za przywłaszczenie i doprowadzenie skarbu państwa do niekorzystnego rozporządzenia mieniem.

W tym samym klubie był też Roman Kotliński – wydawca skrajnie antyklerykalnego pisma „Fakty i Mity", któremu nadał rozgłos wywiadami z Grzegorzem Piotrowskim, mordercą bł. ks. Jerzego Popiełuszki. W 2019 r. Kotliński został skazany na 10 lat więzienia m.in. za podżeganie do zabójstwa byłej żony, nielegalne posiadanie broni i przywłaszczenie pieniędzy. W ub.r. wyszedł na wolność, ale w międzyczasie został skazany na 4,5 roku więzienia za przywłaszczenie pieniędzy i posiadanie pornografii dziecięcej. Drugi zarzut uchylił sąd II instancji, więc obecnie Kotliński czeka na ponowne rozpoznanie sprawy.

Nic dziwnego, że tej kamaryli patronował Jerzy Urban. Wspierał ją w czasie kampanii, gościł na wieczorze wyborczym. Posłowie Ruchu nazywali Goebbelsa stanu wojennego swoim autorytetem.

O Palikocie mówili zaś: nasz przywódca. Niektórzy, jak poseł Marek Stolarski, szli dalej: „Na pewno jest guru dla mnie. Nie określę go jako mojego kolegi, ale uważam, że się znamy. Uważam, że lubi mnie i szanuje moje poglądy".

Fot. PAP

> Samozwańczy „król TVN" dziś robi z siebie naiwną ofiarę, ale i jemu, i jego stacji Palikot zawdzięcza wiele. Był czas, że nie wychodził ze studia przy Wiertniczej. To TVN24 zbudowała jego rozpoznawalność. To zaś dało mu rozpęd do kolejnych interesów, niekoniecznie uczciwych

MILIONY DŁUGÓW

Wieść gminna niesie, że guru Palikot wżenił się w bogatą rodzinę i dlatego na przełomie lat 80. i 90. mógł zacząć się sprawdzać w biznesie. On sam twierdził, że pierwszy teść, owszem, pomagał mu w interesach, ale nigdy nie przekazał większych środków na inwestycje. Według byłego polityka drogę do poważnych pieniędzy wydeptał sobie

eprasa.pl 4e935e4b41

Fot. Bartosz KRUPA/East News

sam – najpierw sprzedając palety (jeszcze w 1989 r.) Baltonie, a niedługo później – kontrahentom z Niemiec i Holandii.

Później poszło jak z płatka. Kolejne lata to mnożenie zysków, podbijane nowe branże (zwłaszcza alkoholowa, a także np. wydawnicza) i obecność na liście 100 najbogatszych Polaków z majątkiem liczonym w setkach milionów złotych.

Aż ciężko uwierzyć, że gdy w 2011 r. wchodził ze swoim Ruchem do Sejmu, był najbardziej zadłużonym posłem. Jego zobowiązania sięgały 10 mln zł.

Dziś trudno je porachować. Tylko w dwóch głównych spółkach Palikota wierzytelności wobec 4 tys. osób wynoszą blisko 340 mln zł, a do tego trzeba doliczyć jeszcze co najmniej kilkadziesiąt milionów w mniejszych podmiotach. Dlaczego więc zarzuty, które postawiła mu prokuratura, dotyczą oszustw na „tylko" 70 mln? Bo przedmiotem tego śledztwa jest ledwie część biznesów naszego (anty)bohatera.

Półtora roku temu Palikot został skazany wespół m.in. z Jakubem Władysławem Wojewódzkim na grzywny w wysokości 70 tys. zł za reklamowanie alkoholu w internecie. Ten ostatni po wyroku odcinał się od ekswspólnika (razem wprowadzali na rynek piwo z dodatkiem konopi) i przepraszał za uwiarygadnianie Palikota, z którym wciąż łączyły go wtedy relacje biznesowe.

> Można zaryzykować tezę, że gdyby nie pociąg Tuska do pieniędzy Palikota, ten ostatni nie zrobiłby takiej kariery, a tysiące ludzi być może nie straciłyby oszczędności

Wspólne alkoholowe przedsięwzięcie obu skandalistów bez wątpienia utorowało byłemu wiceszefowi klubu PO drogę do skoku na kasę kilku tysięcy Polaków. Można wysoko unosić brwi w geście zdumienia, iż tysiące ludzi – w tym najpopularniejsi polscy sportowcy – dały się złapać na kolejną piramidę finansową. Ale skoro nawet Justyna Kowalczyk zdecydowała się powierzyć Palikotowi setki tysięcy złotych, jak się dziwić przeciętnemu człowiekowi, który zainwestował w ładnie opakowany produkt?

To efekt długich lat promowania tej postaci. Samozwańczy „król TVN" dziś robi z siebie naiwną ofiarę, ale i jemu, i jego stacji Palikot zawdzięcza wiele. Był czas, że nie wychodził ze studia przy Wiertniczej, u Moniki Olejnik gościł co kilka dni. To TVN24 zbudowała jego rozpoznawalność. To zaś dało mu rozpęd do kolejnych interesów, niekoniecznie uczciwych. Podobną rolę odegrała „Gazeta Wyborcza", która hołubiła tego politycznego bandytę, ciesząc się jego sukcesem wyborczym w 2011 r. w słynnym tytule: „Palikot nam się udał".

Nawet jeśli komuś nie pachniał brzydko polityczny *modus operandi* Palikota, nie mógł nie czuć ciągnącego się za nim smrodu przekrętów.

Dziś wiemy o aresztowaniu i ciężkich zarzutach za regularne oszustwa. Wcześniej kary nakładał nań UOKiK. Ale wątpliwości pojawiły się już wokół finansowania przez tzw. słupy (studentów, emerytów) jego kampanii wyborczej z 2005 r. Ostatecznie śledztwo dwukrotnie umarzała prokuratura w czasie pierwszych rządów Donalda Tuska.

NA WSZYSTKO PRZYMYKANO OKO

Dlaczego więc dziś zalicza tak spektakularny upadek? Ile jest prawdy w spekulacjach, że to zemsta Tuska, któremu po odejściu z PO Palikot zalazł za skórę? W książce „Kulisy Platformy" napisał o obecnym premierze: „Było w nim ewidentnie coś z bohaterów jego ulubionych lektur o małych tyranach greckich z czasów Sokratesa, Platona czy Herodota, którzy mieli w zwyczaju na przykład mordować wszystkich swoich synów zaraz po urodzeniu". Innym razem mówił, że widzi w Tusku fascynację Putinem. Padały słowa: bezwzględność, kontrolowana agresja, nihilizm, cynizm, impulsywność, chwiejność, chamskie oblicze.

Bez wątpienia dzięki szczerości (tej nie można mu odmówić) Palikota dowiedzieliśmy się więcej o samym premierze. Lecz chyba lepiej dla wszystkich, by tego nie wiedzieli, ale i nie musieli oglądać plugawych spektakli biłgorajczyka wprowadzonego na salony przez szefa PO. Można zaryzykować tezę, że gdyby nie pociąg Tuska do pieniędzy Palikota, ten nie zrobiłby takiej kariery, a tysiące ludzi być może nie straciłyby oszczędności.

eprasa.pl 4e935e4b41

Ostatnie wolne wybory

Skoro „demokracja walcząca" dopuszcza dowolne łamanie prawa, wybory mogą zostać zawieszone lub będą masowo fałszowane

STANISŁAW JANECKI

W pierwszą rocznicę wyborów parlamentarnych 15 października 2023 r., które powołały do życia koalicję 13 grudnia, można powtórzyć za Pamelą Delaney (autorką sztuki granej m.in. w warszawskim Teatrze Współczesnym): „Lepiej już było". I choć dotyczy to właściwie wszystkich aspektów życia, „lepiej już było" w kwestii dla demokracji najważniejszej, czyli wolnych wyborów. W politycznej przyszłości nie tylko będzie gorzej, lecz wręcz beznadziejnie. Co najmniej kilkanaście przesłanek wskazuje na to, że wybory 15 października 2023 r. były ostatnią wolną elekcją w III RP.

Następne (prezydenckie w maju 2025 r.) nie będą już wolne, gdyż rząd Donalda Tuska i jego parlamentarne zaplecze w praktyce unieważniły konstytucję z 1997 r., a zakotwiczone w ustawie zasadniczej instytucje są albo kwestionowane (Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy, Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji, Krajowa Rada Sądownictwa), albo uznawane za nielegalne. Jeśli ekipa Tuska i Bodnara „zniosła" art. 7 konstytucji (zasada legalizmu) i skorzystała z tego „zniesienia", przejmując prokuraturę krajową czy media publiczne, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przejąć wybory, czyli zorganizować je i przeprowadzić tak, by wygrała je koalicja 13 grudnia albo któryś z jej kandydatów na prezydenta RP. Koncepcja „demokracji walczącej" Tuska umożliwia ubezwłasnowolnienie dowolnego organu państwa i delegalizację dowolnego podmiotu, co oznacza, że wybory można „ustawić", a potem uzasadnić „prawem takim, jak my je rozumiemy". Oznacza to ogromne możliwości fałszowania wyborów oraz eliminowania konkurencji. Także na poziomie samorządów będących bezpośrednim organizatorem elekcji stwarza się setki możliwości fałszowania wyników, czyli postępowania takiego jak w wypadku komunistów organizujących referendum 30 czerwca 1946 r. oraz wybory parlamentarne 19 stycznia 1947 r.

Już przed wyborami 15 października 2023 r. obecna władza, a wtedy opozycja, zapowiadała możliwość nieuznawania oficjalnych wyników wyborów, zaś w przyszłości może je dowolnie „ustawiać". A zacznie od wyborów prezydenckich w 2025 r.

JAK W ROSJI

Od powrotu do polskiej polityki w 2021 r. Donald Tusk mówił o zamiarze liczenia głosów po swojemu i zapowiadał nieuznanie innego wyniku niż ten ustalony przez jego ludzi, z tymi z Komitetu Obrony Demokracji na czele. I powinien to być wynik korzystny dla Tuska. W reakcji na to 22 września 2022 r. Jarosław Kaczyński stwierdził: „Nasi przeciwnicy mówią: »Wygramy wybory, ale jeśli przegramy, to znaczy, że będą sfałszowane«. To znaczy, że sami chcą fałszować. Wybory organizują samorządy. A kto ma najwięcej samorządów? No oni niestety, zwłaszcza w dużych miastach". Obecna eurodeputowana Kamila Gasiuk-Pihowicz mówiła wtedy: „Tak się składa, że to władza zawsze ma narzędzia do tego [fałszowania wyborów]".

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4e935e4b41

W 2022 r. w Fundacji im. Stefana Batorego powstało opracowanie (firmowane przez dr. Marcina Waleckiego, byłego dyrektora Departamentu Demokratyzacji OBWE/ODIHR), w którym znalazł się taki wniosek: „Państwowa Komisja Wyborcza może, choć nie musi, stać się przestrzenią do prowadzenia walki politycznej, ale też bronią wykorzystywaną przez rządzących". Już w wytycznych z 2016 r. Biuro Instytucji Demokratycznych i Praw Człowieka (instytucja OBWE) oraz Komisja Wenecka stwierdziły, iż „nadużywanie zasobów administracji, zwanych także zasobami publicznymi, stanowi dzisiaj jedno z najważniejszych i stale powracających wyzwań [...]. Jest to ustabilizowane i rozpowszechnione zjawisko w wielu państwach europejskich". Platforma Obywatelska rządziła przez ostatnie osiem lat przed powstaniem wytycznych.

Po przejęciu władzy przez koalicję 13 grudnia trzeba się liczyć z masowym łamaniem prawa wyborczego, bowiem „demokracja walcząca" może uznać przepisy Kodeksu wyborczego za sprzeczne z potrzebami takiej formy „demokracji" i nie będzie reagować na ewidentne przestępstwa wyborcze, które w tej sytuacji będą bezkarne (PKW, w której większość mają obecnie rządzący, mogłaby przegłosowywać dowolne postanowienia). Po 13 grudnia 2023 r. obecna władza złamała już tyle artykułów konstytucji i przepisów zawartych w ustawach i kodeksach, że może uznać, iż od odpowiedzialności, także karnej (i to z art. 127 i 128 Kodeksu karnego, gdzie grozi kara nawet dożywotniego więzienia), może ją ochronić tylko utrzymanie władzy. Wszelkimi sposobami, czyli zgodnie z zasadami „demokracji walczącej", a więc także przez nieorganizowanie wyborów lub ich fałszowanie. Obecna władza jest w stanie tak naciskać na PKW (już po wyborach 15 października 2023 r., były ogromne naciski, by odebrać PiS dotację i subwencje), by ta unieważniła część głosów, odebrała bierne prawo wyborcze dowolnemu kandydatowi (tak się dzieje w Rosji i na Białorusi), unieważniła dowolne listy wyborcze. Absolutnie wyobrażalne i realne jest „ustawienie" wyników wyborów prezydenckich w 2025 r. tak, żeby dopełnić niedemokratyczny system.

WIELKIE UNIEWAŻNIANIE

Nielegalna (nieuznawana za sąd) ma być Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, potwierdzająca legalność i ważność wyborów. A podstawą tego mają być orzeczenia Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej oraz Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Tyle że one nigdy i w żadnym państwie nie mają bezpośredniego wpływu na rozwiązania ustrojowe, a ich orzeczenia nigdzie nie działają automatycznie. Wyroki międzynarodowych trybunałów nie wchodzą do krajowego obrotu prawnego. Jak to ujął prof. Mariusz Muszyński, specjalista prawa międzynarodowego (i sędzia Trybunału Konstytucyjnego), „są zwykłymi aktami stosowania prawa międzynarodowego, które trzeba po prostu wykonać. Obowiązek ich wykonania jest konsekwencją zgody państwa wyrażonej w traktacie międzynarodowym powołującym taki trybunał". Oznacza to konieczność działania państwa (jego organów), a nie automatyzm skutku trybunalskiego wyroku. Ten „stanowi jedynie impuls (przesłankę) otwierający w określonych warunkach możliwość wznawiania wcześniej prawomocnie zamkniętego krajowego postępowania". A jeśli wyrok trybunału dotyczy „problemu z zakresu obowiązującego prawa, potrzebne jest działanie ustawodawcy (zmiana ustawy), a czasem nawet ustrojodawcy (zmiana konstytucji)". Czyli nawet po takim wyroku w Polsce nadal obowiązuje konstytucja, której przepisy są prawnym fundamentem Sądu Najwyższego. Nadal obowiązuje też ustawa o SN. Wyroki jakiegokolwiek międzynarodowego trybunału nie są żadną formą delegalizacji organu państwa (Sądu Najwyższego) czy jego części (Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN) ani nie eliminują jego orzeczeń. Mamy tylko rozbieżność stanu prawnego w prawie międzynarodowym i prawie krajowym. Ale z tym można żyć, i to długo. Gdyby natomiast „międzynarodowe" wyroki miały bezpośrednie skutki, Polska byłaby rządzona nie przez demokratycznie wyłonione władze, lecz z zewnątrz przez „międzynarodowych funkcjonariuszy". Obecnie rządzącym zapewne by to nie przeszkadzało, ale z demokracją nie ma to nic wspólnego.

> Wybory prezydenckie w maju 2025 r. już nie będą wolne, gdyż rząd Donalda Tuska i jego parlamentarne zaplecze w praktyce unieważniły konstytucję z 1997 r.

Unieważnienie Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego jest oczywistą bzdurą ustrojową i prawną, ale uznanie tego ma ogromne znaczenie, skoro to ta izba zatwierdza wyniki wyborów i decyduje o ich ważności. Unieważnienie jest po to, żeby o ważności wyborów przesądzały wyłącznie uchwały PKW, w której większość ma obecna władza. I tylko to by wystarczyło, żeby wybory nie mogły być uznane za wolne i zgodne z prawem. Przecież w takiej sytuacji PKW przy zielonym stoliku sprawowałaby funkcje zarezerwowane wyłącznie dla Sądu Najwyższego.

Jeśli rząd Tuska i jego parlamentarne zaplecze kierują się zasadami (właściwie brakiem zasad) „demokracji walczącej", bardzo realny jest taki scenariusz rozwoju sytuacji w Polsce, w którym wybory 15 października 2023 r. były ostatnimi wolnymi w III RP. Wszystko, co stanie się po tej dacie, byłoby zamrożeniem niedemokratycznego *status quo*, gdyż nie znajdzie się większość chcąca przygotować i przyjąć nową konstytucję, zaś istniejąca może być dowolnie naginana i zawieszana, co przecież dzieje się prawie codziennie. A opozycja nie mogłaby liczyć na realną kontrolę wyborów w Polsce przez międzynarodowe organizacje, skoro od kilku lat współpracują one z obecnie rządzącymi i akceptują wszelkie formy łamania prawa – kierując się albo mniejszym złem, albo większym dobrem, albo lojalnością wobec „swoich", którzy odpowiednio się odwdzięczają. Pierwsza rocznica wyborów 15 października może więc być też pierwszą rocznicą ostatnich wolnych wyborów w III RP.

eprasa.pl 4e935e4b41

Kinga Gajewskia i Arkadiusz Myrcha

Fot. Andrzej Wiktor x2

Tłuste

DOROTA ŁOSIEWICZ

O „zaradności" tej pary słyszała już chyba cała Polska. Wszystko z powodu pobieranego przez nich ryczałtu z Kancelarii Sejmu na opłacenie wspólnego mieszkania w stolicy. Gajewska dostaje 4 tys. zł, Myrcha –3750 zł. Łatwo policzyć, że razem mają na lokum 7750 zł z pieniędzy podatników.

NIC ZDROŻNEGO

Partyjna koleżanka pary tak broni polityków: „Ani Kinga Gajewska, ani Arkadiusz Myrcha nie łamią prawa – powiedziała eurosposłanka Koalicji Obywatelskiej Kamila Gasiuk-Pihowicz na antenie Polsat News. – To pięcioosobowa rodzina z trójką dzieci, pracująca. Trudno, żeby wynajęli kawalerki w mieście, może jeszcze w innych dzielnicach. Tak się jednak składa, że dzieci chcą mieszkać z mamusią i tatusiem. Ja absolutnie w tej sytuacji nie widzę niczego zdrożnego".

Problem w tym, że Gajewska i Myrcha sami się już pogubili w wyjaśnieniach i chyba nie do końca wiedzą, gdzie mieszkają. Raz słyszymy, że nie w Warszawie, więc biorą 7750 zł dopłaty na

eprasa.pl 4e935e4b41

mieszkanie w stolicy, a innym razem dowiadujemy się, że mieszkają w Warszawie ze względów podatkowych, a dzięki temu dziecko ma miejsce w publicznym przedszkolu. Rzućmy okiem na te tłumaczenia.

„Każdemu posłowi spoza Warszawy przysługuje prawo do ryczałtu na wynajem mieszkania lub mieszkania w hotelu. Wynajmujemy z mężem w Warszawie jedno dwupokojowe mieszkanie, umiejscowione w pobliżu Sejmu, żłobka i przedszkola dzieci" – tłumaczyła mediom Gajewska. Posłanka KO wyznała też, że para musi dopłacać trzecią część czynszu z własnej kieszeni. Czyli za wynajem płacą aż 12 tys. Choć ceny warszawskich mieszkań nie są niskie, to jednak ta kwota wystarcza na luksusowy apartament. Gajewska wypowiedziała się też na temat wspólnego domu pod Warszawą: „Pod Warszawą budujemy dom, przeprowadzimy się do niego, kiedy budowa będzie ukończona".

Do owego domu wrócimy za chwilę, na razie zwróćmy uwagę na pismo, które pojawiło się w internecie, a które zostało skierowane do Komisji Etyki Poselskiej „w związku z wątpliwościami dotyczącymi [...] oświadczenia o stanie majątkowym złożonego za 2022 r.". Wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha przyznaje w nim, że został warszawskim podatnikiem, by zapewnić dzieciom miejsca w publicznych placówkach. „Wyjaśniając wątpliwości powstałe po kontroli oświadczenia majątkowego, stwierdzam: Moje stałe miejsce zamieszkania (także meldunek) jest w [...]. Z uwagi na obowiązki poselskie dużą część roboczych dni spędzam w Warszawie. Aby zapewnić dzieciom miejsce w publicznych placówkach wychowawczych, musiałem zostać podatnikiem w Warszawie. Zatem warszawskie miejsce zamieszkania jest na potrzeby czysto podatkowe" – czytamy. Tak więc wiceminister Myrcha wskazuje Warszawę jako swoje miejsce zameldowania, a skoro tak, to nie należy mu się dodatek mieszkaniowy. Ta kwestia zaniepokoiła także marszałka Sejmu Szymona Hołownię: „Moją poważną wątpliwość budzi oświadczenie posła Arkadiusza Myrchy, że zameldował się w Warszawie wyłącznie do celów podatkowych".

Dom, o którym wspomina jego małżonka, zlokalizowany jest w podwarszawskim Błoniu, 37 minut drogi samochodem od Sejmu i już stoi. Co więcej, wygląda na zamieszkany, co sprawdzili dziennikarze Telewizji Republika. Małżeństwo polityków było tam widywane w weekendy wraz z dziećmi. Gajewska narzekała kiedyś w Radiu ZET, że para mieszka „na 3 domy, 3 łóżeczka, 3 krzesełka", a 800+ starcza jej tylko na pieluchy i mleko. Jakoś nie współczuję.

– Państwo Kinga Gajewska i Aleksander Myrcha dzielnie prowadzą wojnę ze zdrowym rozsądkiem i z podstawowymi zasadami etycznymi. Jedna ze stacji radiowych poinformowała, że na klubie Donald Tusk ostrzegł ich, że muszą uważać, ponieważ są pod ostrzałem mediów i opinii publicznej. Nie powiedziano im, żeby zachowywali się uczciwie, tylko muszą się pilnować, by ich zachowanie nie wychodziło na jaw. A Polacy są bardzo poirytowani faktem, że małżeństwo polityków doi dwa dodatki mieszkaniowe – komentuje Radosław Fogiel, poseł PiS.

koty PO

Gdy rządziła Zjednoczona Prawica, chętnie stali na straży skromności czy przyzwoitości i atakowali „tłuste koty" PiS oraz tzw. PiS-ancjum. Gdy jednak koalicja 13 grudnia doszła do władzy, o wszystkim zapomnieli i szybko sami stali się symbolem „tłustych kotów" PO. Oto historia małżeństwa Kingi Gajewskiej i Arkadiusza Myrchy

SUPERZEGAREK I CZTERY EKSPRESY

Wściekłość internautów jest tym większa, że gdy rządziła Zjednoczona Prawica, Gajewska często i chętnie punktowała Prawo i Sprawiedliwość. „PiS zafundował Polakom największy rząd w historii Polski. Największy i najdroższy. Zobaczcie te nazwiska. 114 ministrów i wiceministrów. Kosztują nas krocie. Nie dostaliśmy ani grosza, ale etaty są" – atakowała wówczas. Gdy okazało się, że obecny rząd mocno przerósł kadrowo swojego poprzednika, stare nagranie zniknęło z konta pani poseł.

Gajewska często mówiła też o „tłustych kotach" PiS, a polityków Kukiz'15 tak piętnowała za korzystanie z dodatku mieszkaniowego z pieniędzy Kancelarii Sejmu: „Chciałam wam powiedzieć więcej o tej partiokracji, o której mówił Paweł Kukiz. On walczy wszędzie z tą partiokracją, natomiast zapomniał, że sam razem z marszałkiem Sejmu, czyli panem Tyszką, też z Kukiza, bierze pieniądze z Kancelarii Sejmu po to, żeby wynajmować swoje warszawskie mieszkanie. Warszawskie mieszkanie może wynajmować tylko poseł, który nie mieszka w Warszawie, a oni mieszkają w Warszawie. Pobierają razem ok. 30 tys. zł rocznie na jednego posła. To już im nie przeszkadza w tym wyłudzaniu pieniędzy". Dziś pani Gajewska najwyraźniej nie widzi już problemu wyłudzania pieniędzy.

eprasa.pl 4e935e4b41

– Ta sytuacja jest wyjątkowo obrzydliwa, bowiem osoby, które promowały się na transparentności, na atakowaniu poprzedniego rządu za jego liczebność, nawet nagrywano w tym celu filmiki, całe show było robione, i teraz te osoby wchodzą po pierwsze w skład jeszcze większego rządu i gdzie się da, pełnymi garściami czerpią apanaże, jakie tylko mogą uzyskać. Co więcej, nie zamierzają tego zmieniać ani nawet przeprosić. To dlatego Kukiz'15 mówi o tym, że trzeba zmienić ordynację wyborczą i system wyboru posłów, tak by dało się do parlamentu wprowadzać normalnych ludzi, a nie pajaców i politycznych kuglarzy. Potrzebujemy w polityce ludzi, którzy robią to, o czym mówią – uważa Jarosław Sachajko z Kukiz'15.

To nie koniec problemów pary polityków. Zirytowani i zaciekawieni internauci zaczęli wertować oświadczenia majątkowe oraz wydatki na biura poselskie polityków z ostatnich lat i znaleźli tam sporo niespodzianek. Dodajmy, że zgodnie z ustawą z 9 maja 1996 r. o wykonywaniu mandatu posła i senatora parlamentarzyści otrzymują ryczałt na prowadzenie biura poselskiego, który wynosi 22 200 zł miesięcznie. Okazuje się Gajewska i Myrcha poszaleli na to konto.

Posłanka KO kupiła do swojego biura poselskiego ekskluzywny zegarek Apple Watch za 1429 zł oraz dwa odkurzacze, w tym jeden samobieżny za 2 tys. zł. A wiceminister sprawiedliwości w poprzedniej kadencji Sejmu kupił do swojego biura poselskiego aż cztery ekspresy do kawy. Jak wynika z dokumentów, po jednym zakupiono w 2020 r. i 2021 r., zaś dwa w 2022 r. Tak szybko się psuły? Jakoś nie wierzę.

Po tym, jak zaczęły wyciekać kolejne kompromitujące informacje dotyczące pary polityków, w oświadczeniu majątkowym Kingi Gajewskiej nagle pojawiły się dopisane odręcznie informacje o darowiznach. Patryk Słowik z Wirtualnej Polski ujawnił, że 7 października br. posłance przypomniało się, że dostała od rodziców darowiznę w postaci domu w budowie, a od męża 40 tys. zł.

Internauci zwracali także uwagę na astronomiczne kwoty kilometrówek pobranych przez małżeństwo polityków. Według jednego z nich para musiałaby przez kilka lat codziennie pokonywać 100 km, by wykorzystać pobrane na paliwo środki. Ponadto Arkadiusz Myrcha wydawał z pieniędzy biurowych ponad 70 tys. zł rocznie na „doradztwo internetowe" kancelarii prawnej. To mocno rozbawiło internautów, bowiem poseł sam z jest wykształcenia doktorem prawa. I tak w następnej kolejności pod lupę trafił doktorat wiceministra.

DOKTORAT JAK LICENCJAT

W kwietniu br. Arkadiusz Myrcha obronił swoją pracę doktorską pt. „Postępowanie ustawodawcze" na Uniwersytecie SPWS. Jego promotorem był prof. Marek Chmaj, a recenzentami Radosław Grabowski, Ryszard Balicki i Sławomir Patyra.

> Problem w tym, że Gajewska i Myrcha sami już się pogubili w wyjaśnieniach i chyba nie do końca wiedzą, gdzie mieszkają. Raz słyszymy, że nie w Warszawie, więc biorą 7750 zł dopłaty na mieszkanie w stolicy, a innym razem dowiadujemy się, że jednak mieszkają w Warszawie

Użytkownik platformy X (d. Twitter) Adam Wodeham tak podsumował pracę naukową wiceministra: „Doktorat wypromował Marek Chmaj, którego nie trzeba przedstawiać. Tytuł rozprawy brzmiał: »Postępowanie ustawodawcze« (co samo w sobie jest humorystyczne: to tak, jakby doktorat z matematyki nosił tytuł: »Analiza funkcjonalna«, a z filozofii – przykładowo – »Rachunek zdań«). We wstępie autor deklaruje, że kolejne rozdziały zawierają opisy tego czy tamtego – ustawa wymaga tymczasem, by doktorat był oryginalnym rozwiązaniem problemu badawczego. W przypadku Myrchy o oryginalności nie można mówić, bo w rozprawie problemu badawczego w ogóle nie postawił!".

Michał Piegzik – ten sam, który nagłośnił sprawę doktoratu Jacka Bartosiaka, tak skomentował pracę naukową Arkadiusza Myrchy: „Zmusiłem się do przeczytania tego doktoratu i to nawet nie jest magisterka. To licencjat rozbudowany do 170 stron, bez głębszej refleksji i wkładu do nauki. To wstyd, że w Polsce powstają takie doktoraty. Moi studenci piszą lepsze prace zaliczeniowe".

„Gazeta Wyborcza" opublikowała zaś komentarze prawników na temat tej sprawy. I tak Michał Sopiński z Uniwersytetu Warszawskiego ocenił, że „większość tekstu nieoznaczonego przez autora jako cytat to 1:1 omówienia poszczególnych przepisów prawnych, gdzie jedyną zmianą bywa zmiana składniowa czy leksykalna (*vide*: język prawny a język prawniczy). Aż chyba otworzę kilka pozycji bibliograficznych i losowo porównam z tekstem" – komentował. W podobnym tonie wypowiedział się Tomasz Kamiński z Uniwersytetu Łódzkiego. „Doktorat na taki ogólny temat to jakby w stosunkach międzynarodowych napisać pracę pt. »Protokół dyplomatyczny«. Jak promotor mógł do tego dopuścić? Czemu recenzenci to puścili? A jeszcze przecież komisja doktorska i rada dyscypliny to widziała" – czytamy w „GW".

Zaś użytkownik platformy X Adam Wodeham zauważył, że recenzenci pracy dostali niedawno polityczne awanse, m.in. do PKW i rady nadzorczej PGE.

Tak kończy się hipokryzja polityków „uśmiechniętej Polski". Ale jak mówi przysłowie: „Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie". Coś mi mówi, że sprawa jest rozwojowa, bo internauci nie odpuszczą, a „PO-zancjum" politycznej pary przylgnie do nich na długo, jak słynny „pogłos" do byłego szefa MSWiA Marcina Kierwińskiego czy wojna wypowiedziana bobrom do Donalda Tuska.

eprasa.pl 4e935e4b41

Prezydencki targ

Badania wskazują, że Polacy wcale nie pragną na najwyższym stanowisku w państwie niepoważnego trefnisia ani modnego gogusia. Chcieliby raczej człowieka, który zdoła przywrócić elementarny ład prawny i spokój. PiS ma odpowiednich kandydatów, ale Platforma nie podjęła jeszcze decyzji, kto odegra w niej rolę „męża stanu”

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Na warszawskim Służewcu zapachniało niedawno wielkim światem. Wielką Warszawską na torze wyścigów konnych obserwował Rafał Trzaskowski wraz z żoną. Projektant mody Jacob Dale zachwycał się w „Super Expressie” kreacją polityka Platformy: „Prezydent Warszawy dobrał idealny zestaw na tę okazję. Założył kaszkiet dopasowany idealnie do całości! Marynarka była rewelacyjna. Kolorystyka, jak i krój całego kompletu pasowały nie tylko na tę okazję, ale również do panujących trendów jesiennych. Żona Trzaskowskiego postawiła na kolory i również idealnie sobie poradziła. Śmiało można powiedzieć, że prezydent Duda nie ma aż takiego stylu i to Trzaskowski wypada zawsze lepiej, z dużym wyczuciem. Gdyby Andrzej Duda został zaproszony, z pewnością pojawiłby się w nudnym granatowym garniturze” – zadrwił projektant (podobno bardzo znany).

Zachwyty nad kreacją Trzaskowskiego połączone z delikatnym szyderstwem wobec urzędującego prezydenta wskazują, że nie o modę tu chodzi, ale o politykę. A mówiąc wprost – o urabianie wyborcy przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi. Popatrzcie, jaki ten Trzaskowski jest światowy, a jego małżonka to wymarzona pierwsza dama. Nie przyniesie nam wstydu tak jak Duda czy jego następca z PiS – słyszymy przekaz.

Człowiek – choć odrobinę inteligentny – nie powinien dać się złapać na tego rodzaju dyrdymały, które słyszymy już od kilku dekad. Jak jednak pokazały ostatnie wybory do Sejmu, podczas głosowania ludzie niekoniecznie kierują się zdrowym rozsądkiem i intelektem. Więc czym?

Przede wszystkim czymś, co można nazwać atmosferą medialną. A więc wmawianiem wyborcom, że czarne jest białe i odwrotnie. W ten sposób nawet ewidentny głupiec, manipulant lub leser wyrasta na krynicę mądrości, uczciwości i pracowitości. Z kolei ten, kto posiada te pożądane przymioty charakteru, jest bezlitośnie oblewany szambem lub wyśmiewany. O wyniku wyborów przesądza więc zwykle nie jakość kandydata, lecz panująca wokół niego atmosfera medialna.

> Powódź, drożyzna, zapaść gospodarki i służby zdrowia mają dziś twarz Tuska. Z takim bagażem ciężko by mu było walczyć o najwyższe stanowisko w państwie

IDEALNY PREZYDENT

Jest to zjawisko o tyle zadziwiające, że wyborcy – gdy ich spytać o cechy idealnego kandydata na prezydenta – odpowiadają całkiem rozsądnie. Właśnie o to zapytano ludzi w trakcie wrześniowego badania CBOS, przy czym można było wskazywać na więcej niż jedną cechę głowy państwa. I tak 87 proc. ankietowanych uważa, że prezydent powinien stać na straży konstytucji i dbać o praworządność. Kolejną spośród najbardziej pożądanych cech była umiejętność wzniesienia się ponad podziały polityczne („prezydent wszystkich Polaków” – taką opcję wskazało 79 proc.), następnie znajomość problemów zwykłych ludzi (78 proc.). Na znacznie dalszych pozycjach znalazły się kwestie światopoglądowe: 64 proc. badanych chciałoby prezydenta o poglądach liberalnych („człowiek nowoczesny”), a 61 proc. – o konserwatywnych („strażnik tradycji”). Głowę państwa w roli obrońcy wszelkich mniejszości widzi zaledwie 48 proc. ankietowanych.

Wyniki sondażu wskazują więc, że Polacy wcale nie pragną na najwyższym stanowisku w państwie niepoważnego trefnisia ani modnego gogusia. Tym, co najbardziej przebija z tych badań, jest wyraźne pragnienie zakończenia niekończącej się bijatyki w polskiej polityce i znalezienie człowieka, który będzie się kierował interesem państwa oraz zdoła przywrócić elementarny ład prawny i spokój. Mówiąc krótko, ludzie oczekują od przyszłego prezydenta stabilności, przewidywalności i rozwoju, a nie organizowania igrzysk i zabawy.

Właściwie można powiedzieć, że takie postawienie sprawy powinno eliminować z gry wyborczej głównych aktorów obecnej sceny politycznej, a w szczególności

eprasa.pl 4e935e4b41

koalicję rządową i jej szefa Donalda Tuska. On sam zdaje sobie chyba z tego sprawę, bo ostatnio zrobiło się znacznie ciszej wokół jego ewentualnego startu w wyborach prezydenckich. Nic więc dziwnego, że z kapelusza wyjęto Rafała Trzaskowskiego ubranego w „idealny kaszkiet" i „rewelacyjną marynarkę". Teraz trzeba tylko przekonać ludzi, że to właśnie on jest odpowiedzią na ich potrzeby.

Oczywiście trudno będzie zrobić z Trzaskowskiego, aktywnego politycznie od wielu lat, człowieka świeżego, który jak nikt inny rozumie potrzeby Polaków i stoi ponad podziałami. Wystarczy jednak inny zabieg – wmówienie wyborcom, że jego główny przeciwnik, ten z PiS, jest znacznie gorszy. Nie tylko w kwestii ubrań i stylistyki, lecz także we wszystkich pozostałych.

TRZASKOWSKI CZY SIKORSKI?

Rafał Trzaskowski lepiej nadaje się do tego celu niż Donald Tusk. Zapewne nieprzypadkowo od ostatnich wyborów prezydenckich pozostawał nieco w cieniu, jeśli nie liczyć corocznych imprez promocyjnych w postaci Campusu Polska Przyszłości, które miały skupić wokół niego młodych wyborców i sprawiać wrażenie otwartości na szeroką dyskusję z ludźmi. Mówiło się nawet o konfliktach Trzaskowskiego z Tuskiem. Dziś może to zostać przedstawione jako atut. Spierał się z premierem, a więc jest człowiekiem niezależnym, odważnym i nieuwikłanym. To tylko kwestia czasu, jak tego rodzaju „osiągnięcia" wyjdą „na jaw" w którymś z mediów.

Jeszcze niedawno wydawało się – sam byłem tego zdania – że start Tuska w przyszłorocznych wyborach nie podlega dyskusji. Wiadomo, że miał na to ochotę, byłoby to bowiem ukoronowaniem jego kariery politycznej. Tyle że Tusk, doświadczony porażką w 2005 r., nigdy nie wystartuje w wyborach prezydenckich, nie mając całkowitej gwarancji, że je wygra. Teraz, po blisko roku od powrotu do władzy, ta perspektywa się oddala. Notowania Platformy są niespecjalnie porywające jak na partię, która niedawno objęła rządy. Powódź, drożyzna, zapaść gospodarki i służby zdrowia mają dziś twarz Tuska oraz jego niekompetentnej ekipy. Z takim bagażem coraz trudniej będzie mu walczyć o najwyższe stanowisko w państwie. Oczywiście premier potrafi kokietować wyborców, naciągać ich i nimi manipulować, ale na to potrzeba więcej czasu – na razie wszyscy dobrze pamiętają o jego 100 konkretach, z których nic nie wyszło. Trzeba więc szukać innego rozwiązania.

Rafał Trzaskowski wydaje się – przynajmniej na razie – faworytem. Ale nic nie jest jeszcze przesądzone. Bo oto mówi się o aspiracjach Radosława Sikorskiego, które pozostają niespełnione, od kiedy w 2010 r. musiał ustąpić na rzecz Bronisława Komorowskiego. Sikorski podobnie jak Trzaskowski również bardzo oszczędnie udziela się publicznie. Piastuje dość bezpieczną funkcję szefa dyplomacji (a zatem nie odpowiada, przynajmniej wprost, za fatalną sytuację w kraju) i od czasu do czasu powie coś, co może się spodobać wyborcom spoza bańki Platformy, np. o ofiarach zbrodni wołyńskiej. To także ma świadczyć o niezależności Sikorskiego i podkreślać jego dystans wobec oficjalnie prowadzonej polityki. Inna rzecz, że prawdopodobnie odzwierciedla to rzeczywiste poglądy ministra, który nigdy nie krył się ze swoim sceptycyzmem wobec Ukrainy.

> Trudno będzie zrobić z Trzaskowskiego człowieka, który rozumie potrzeby Polaków i stoi ponad podziałami. Wystarczy jednak wmówić wyborcom, że jego przeciwnik z PiS jest znacznie gorszy

Możemy więc przyjąć, że w obliczu prawdopodobnej (choć jeszcze chyba nieprzesądzonej) rezygnacji Tuska z udziału w wyborach prezydenckich, w grze pozostanie Trzaskowski i Sikorski. To oczywiście może się jeszcze zmienić, ale na razie na horyzoncie nie widać innych pretendentów.

Kto z nich ostatecznie wystartuje? Tutaj wiele zależy zarówno od tego, kogo wystawi PiS, jak i od tego, która grupa wyborców okaże się dla Platformy cenniejsza i bardziej obiecująca. Czy ta liberalna (wtedy Trzaskowski), czy ta bardziej konserwatywna (wówczas Sikorski)? Przy czym bardziej chodzi tu o potencjalną drugą turę, w której kandydat PO prawdopodobnie zmierzy się ze swoim rywalem z PiS. Pytań jest wiele, np. na kogo przerzucą swoje głosy wyborcy Sławomira Mentzena z Konfederacji. Doświadczenie ostatnich wyborów prezydenckich uczy, że zwolennicy tej partii nie mają oporów przed poparciem Trzaskowskiego. Mimo to Sikorski byłby dla nich znacznie bardziej atrakcyjny. Sztabowcy Platformy będą musieli przeprowadzić jeszcze wiele symulacji i badań, ale na tym etapie nie ma żadnych gwarancji, że się sprawdzą.

WIATR W ŻAGLE

Wiele niewiadomych stoi również przed PiS. Partia ta ogłosiła już, że swojego kandydata przedstawi publicznie w Święto Niepodległości 11 listopada. Wizerunkowo to dobry termin, bo jednoznacznie wskazuje, do jakich wartości będzie się odwoływał kandydat obozu patriotycznego. Jednocześnie jest to duże ułatwienie dla PO, bo partia Tuska pozna swojego rywala wcześniej i dzięki temu będzie mogła dostosować do niego własną strategię wyborczą.

Stosunkowo wczesny termin prezentacji kandydata PiS świadczy też o tym, że partia poszła za głosem większości swoich wyborców i postanowiła wybrać kogoś z młodszego pokolenia polityków. Mówi się, że w grze pozostaje jedynie czterech: Karol Nawrocki, Zbigniew Bogucki, Tobiasz Bocheński i Marcin Przydacz. Startując z kampanią już w listopadzie, będzie więcej czasu na promocję kandydata.

Podobny schemat działania zastosowano przed wyborami w 2015 r., gdy Andrzej Duda zdołał pokonać Bronisława Komorowskiego, który był tak pewien swojego zwycięstwa, że zlekceważył swojego mało wówczas znanego rywala. Duda wygrał świeżością, intensywnością kampanii oraz brakiem uwikłania w dotychczasową politykę.

eprasa.pl 4e935e4b41

Wydaje się, że dziś PiS chce powtórzyć ten manewr. I ma na to spore szanse. Są jednak dwie przeszkody, których nie było 10 lat temu. Po pierwsze, obecna sytuacja jest skrajnie odmienna. W 2014 r. Platforma była zużyta siedmioletnią władzą. Została przy tym porzucona przez Tuska, który pojechał robić karierę w Brukseli, i znajdowała się w defensywie. Andrzej Duda dostał więc wówczas wiatr w żagle.

Dziś ten wiatr nie wieje jeszcze w tym samym kierunku. Platforma, choć zużywa się w szybkim tempie, ma jeszcze stosunkowo krótki staż rządów, a przy tym łamie wszelkie zasady, mając pełne poparcie swoich patronów z Berlina i Brukseli. Kandydat PiS idzie więc na zderzenie z całym aparatem obecnej władzy.

Po drugie, dziś kandydat obozu patriotycznego jest osamotniony w znacznie większym stopniu niż przed dekadą. Jego przeciwnik to nie tylko PO, lecz także pozostałe partie – z Konfederacją włącznie – oraz unijna oligarchia. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że po dotarciu do drugiej tury antypisowski front odtworzy się w pełnej mocy.

To zagrożenie byłoby zapewne mniejsze, gdyby wybory prezydenckie odbywały się w nieco późniejszym terminie – za dwa lub trzy lata, gdy władza Tuska zużyje się w większym stopniu.

JEDYNA ALTERNATYWA

Nie oznacza to jednak, że kandydat PiS stoi na straconej pozycji, zwłaszcza że notowania obozu patriotycznego wciąż utrzymują się na wysokim poziomie. Przede wszystkim wiele zależy od tego, kto będzie tym kandydatem i jakie akcenty będą dominować w jego kampanii wyborczej. Poza tym PiS znajduje się w opozycji i nie odpowiada za politykę obecnego reżimu. Kandydat tej partii ma więc tę przewagę nad większością rywali, że nie jest uwikłany w geszefty władzy i pozostaje całkowicie niezależny od niej, a co za tym idzie, bardziej wiarygodny od pozostałych.

Nie da się tego powiedzieć choćby o kandydacie Konfederacji Sławomirze Mentzenie, którego formacja, będąc formalnie w opozycji, całkiem nieźle funkcjonuje w obecnym układzie władzy. Trudno niekiedy uniknąć wrażenia, że Mentzen byłby wręcz wymarzonym rywalem dla dzisiejszego reżimu. Niezbyt groźny nie tylko z powodu relatywnie niewielkiego poparcia, lecz przede wszystkim dlatego, że jego postulaty w najmniejszym stopniu nie zagrażają interesom rządzącej oligarchii.

Ludźmi z samego środka układu są Szymon Hołownia i Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, o której mówi się jako o potencjalnej kandydatce Lewicy. Nie wnoszą do polskiej polityki żadnej nowej jakości, wręcz przeciwnie – utrwalają jej obecny niski poziom i reprezentują liberalny establishment. Można mieć nadzieję, że część wyborców Polski 2050 nie popełni więcej błędu, jakim było głosowanie na tę formację w 2023 r. w nadziei, że jej lider stanie się społecznie wrażliwą alternatywą dla Tuska.

Niewykluczone, że część zawiedzionych wyborców pozostanie w domach lub będzie szukać innych, bardziej egzotycznych kandydatur. W tym kontekście pojawia się niekiedy szef BBN Jacek Siewiera, który, jak się zdaje, ma duże ambicje polityczne, choć jego start jest raczej mało prawdopodobny. Taki ruch oznaczałby bowiem odbieranie głosów kandydatowi obozu patriotycznego, a chyba nie o to chodzi. Niezbyt klarowne są również poglądy Siewiery na wiele kluczowych dla prawicy spraw, takich jak choćby aborcja.

Co ciekawe, jeśli chodzi o prawicę, to znacznie lepszymi notowaniami wśród jej wyborców cieszy się założyciel internetowego Kanału Zero dziennikarz Krzysztof Stanowski, który, jak wynika z sondażu SW Research dla portalu rp.pl, mógłby otrzymać 8,5 proc. głosów prawicowego elektoratu (Siewiera – 5 proc.), w większości młodych (25–34 lata) i najmłodszych wyborców (18–24 lata).

W praktyce oznacza to, że kandydat PiS jest jedyną poważną alternatywą dla PO. Każdy, komu nie po drodze z rządzącą dziś ekipą, powinien o tym pamiętać. W przeciwnym razie Tusk i jego partia wezmą wszystko, a obecny układ zostanie zabetonowany na długie lata.

eprasa.pl 4e935e4b41

Dlaczego młodzi nie lubią prawicy?

Co powodowało, że hasło „osiem gwiazdek" było takie popularne wśród młodych? To główny temat panelu zorganizowanego w ramach kongresu Polska Wielki Projekt, który odbył się w Warszawie 27–29 września

GORAN ANDRIJANIĆ

Do panelu pt. „Co zrobimy z Polską?", który poprowadził prof. Andrzej Zybertowicz, zostali zaproszeni m.in. Filip Łapiński, koordynator i autor projektu badawczego „Archipelag polskości" Fundacji Polska Wielki Projekt, Magdalena Kadziak, studentka teologii na UKSW i członkini Rady KEP, Kacper Kita, publicysta i analityk, oraz Patryk Spaliński, działacz społeczny i student.

Młodzi paneliści zmierzyli się z tematem, jak ich pokolenie widzi przyszłość polityczną i społeczną Polski. A dokładniej, dlaczego w ostatnich wyborach parlamentarnych znaczna część młodego społeczeństwa nie była zainteresowana programem Prawa i Sprawiedliwości oraz, jak zdefiniował na początku panelu prof. Zybertowicz, dlaczego obóz Zjednoczonej Prawicy, który miał więcej zasobów materialnych niż opozycja, dał się ograć w tej sprawie.

„Jarosław Kaczyński powiedział kilka lat temu, że aby zdobyć władzę, trzeba odczytać społeczną falę i wykorzystać jej prąd. Można teraz powiedzieć, że ci, którzy są dziś przy władzy, lepiej odczytali falę i konkretne nastroje społeczne niż środowisko Zjednoczonej Prawicy. Elementem tej fali na pewno był sposób myślenia młodego pokolenia. Jednym z jego narzędzi mobilizacyjnych, które pomogło go odsunąć od środowiska PiS, na pewno było hasło ośmiogwiazdkowe" – powiedział Zybertowicz. Wyjaśnił, że chce z tego panelu zrobić rodzaj badania socjologicznego i zadać młodym panelistom pytanie, które może zabrzmieć trochę „ostro" – ostrzegł.

„Chciałbym, żebyście wystąpili w roli rzeczników myślenia młodego pokolenia, niekoniecznie waszego myślenia, i odpowiedzieli mi na pytanie: Dlaczego chcieliście nas zaj...ać, nas, starych polityków z obozu niepodległościowego?", zapytał prof. Zybertowicz, prosząc panelistów, aby unikali akademickiej narracji i wypowiadali się od serca, szczerze i bez barier.

POTRZEBA BUNTU I KOMPLEKSY

„Ja w 2020 r. krzyczałem właśnie takie hasła, a miałem wtedy 18 lat. Dzisiaj już ich nie krzyczę, ale cofnę się o te cztery lata", odpowiedział Spaliński i kontynuował: „Krzyczałem te hasła przede wszystkim z powodu sprawy aborcji. Chodziłem na te wszystkie protesty, bo nie znosiłem polskiej polityki. Nie chodziło o to, że specjalnie kochałem lewicę oraz PO, ale nie podobała mi się III RP. Nie podobało mi się to, że nie będzie mnie stać na mieszkanie albo że może będę musiał pracować na czarno. Nie podobało mi się to, że nie mamy w Polsce wystarczająco dobrej infrastruktury, z powodu czego nie mogę żyć i studiować w moim rodzinnym Lubinie, ale muszę mieszkać we Wrocławiu, płacąc komuś kilka tysięcy złoty za mieszkanie", mówił Spaliński, dodając, że potrzeba buntu jest naturalna w młodym pokoleniu.

„Po ośmiu latach rządu PiS większość młodych ludzi, nawet tych z prawicowymi poglądami, miało już trochę dość tej władzy", stwierdził Kacper Kita, dodając, że mówi z perspektywy ogólnej, niekoniecznie własnej: „Cały ten toporny propagandowy przekaz stał się dla nich męczący. Np. ten z głównego wydania Wiadomości TVP. Ta toporność, walenie

Fot. Polska Wielki Projekt

eprasa.pl 4e935e4b41

w inne partie, traktowanie odbiorców jak idiotów, brak finezji".

Zgodziła się z nim Magdalena Kadziak, dodając: „Jestem z pokolenia urodzonego w Unii Europejskiej, tego, które mogło bez kłopotów podróżować, które doświadczyło otwartość idei Unii i dobrze zna Zachód. W części tego pokolenia na pewno istnieje kompleks polskości,

idea o Europie Środkowej jako regionie, który nie jest wystarczająco otwarty i postępowy. Ten kompleks na pewno miał wpływ na antypisowskie sentymenty. Myślę, że ten bunt, który w nastolatkach jest naturalny, w jakiś sposób przekuwał się na ten sentyment" – mówiła.

SIŁA MEDIÓW

W czasach wczesnego PiS Filip Łapiński był na jednym proteście w obronie „wolnych sądów". Opowiadając na pytanie Zybertowicza o tym, jakie panowały tam emocje, przyznał, że wyczuł „autentyczną troskę o stan porządku prawnego, który dał się wtedy obudzić".

„Czy w obliczu tego, co się teraz dzieje w resorcie sprawiedliwości, obecna opozycja ma szansę znowu obudzić tego typu troskę?" – zapytał moderator.

„Nie i są ku temu dwa powody. Po pierwsze, to już było wgrane. Po drugie, ta gra jest nierówna, bo jedna strona ma mocniejsze instrumenty do obudzenia społecznego oburzenia w formie mediów, a druga nie. To powoduje, że obozowi dziś rządzącemu było łatwiej sprzedać hasło o zagrożonej demokracji, nawet jeśli ono, jest teraz bardziej prawdziwe. Zagrożenie demokracji może naprawdę być autentyczne, ale jeśli nie istnieje jako fakt socjologiczny, nie ma wpływu na ludzi" – mówił Łapiński.

„Dotyka pan podstawowego błędu popełnianego przez wszystkich polityków na całym świecie" – odpowiedział Zybertowicz. „Myślą oni, że jeśli wiedzą, jakie są fakty, mają rację i mogą na tym budować swoje działanie. Natomiast w demokracji, a także w reżimach autorytarnych, zawsze toczy się gra z wyobraźnią społeczną i faktami socjologicznymi" – wyjaśniał profesor, po czym zapytał prelegentów, co według nich zadecydowało o tym, że obóz ZP nie zauważył, jak mocne stało się hasło „osiem gwiazdek".

KIEDYŚ ZMĄDRZEJĄ

„Dwie kadencje jakiejkolwiek władzy rozleniwia" – odpowiedział Spaliński. „Większość polityków PiS, z którymi rozmawiałem, nie potrafiło zrozumieć, że 2015 r. się skończył. Socjoekonomiczna sytuacja kompletnie się zmieniła, a Polacy mieli inne problemy, na które oni nie mieli odpowiedzi".

„Obóz rządzący nie chciał przyjąć do świadomości, że jest odbierany jako władza, wobec której można mieć negatywne emocje. Ludzie, którzy całe swoje życie byli w opozycji, doszli do władzy i dalej myśleli o sobie jak o opozycjonistach, którzy zmagają się z siłami zła" – stwierdził Kacper Kita.

Łapiński zauważył, że w obozie „dobrej zmiany" istniał nie tylko brak zdolności do komunikacji z młodym pokoleniem, lecz także brak woli, by go podjąć. „Woli, żeby w ogóle zrozumieć, co się dzieje i jakoś na to odpowiedzieć. Zdarza mi się nawet dziś spotykać z opiniami w obozie patriotycznym, że młodych nie ma co rozumieć, że młode pokolenie jest zbiornikiem nieracjonalnych emocji. Jedyną szansą jest to, że oni zmądrzeją i zaczną nas słuchać" – mówił.

W odpowiedzi prof. Zybertowicz stwierdził, że wokół PiS „zbudowano obciach" w tym sensie, że wśród młodych ludzi niepopularne jest przyznawanie się do sympatii do tej partii lub sprzeciwianie się retoryce „ośmiu gwiazdek". „Jak się konstruuje obciach wokół kogoś?" – zapytał profesor panelistów.

„Każdego można wykpić, ale kluczowe wydaję mi się to, że dany obiekt musi pokazać, że ma dystans do siebie. Jeśli ten obiekt nie ma tej zdolność, narasta społeczna chęć jego wykpienia" – odpowiedział Kita, podając jako ilustrację jeden bardzo bolesny przykład. „Jest to relacja wobec Jana Pawła II. Mówienie o nim jako wielkim Polaku młodym ludziom, którzy nie mieli szans, żeby go zapamiętać, jest naturalną przestrzenią, żeby z niego wykpić. I tak powstały memy, w których Jan Paweł II jak Godzilla przeciska się między budynkami, bo jest taki »wielki«. Dla młodszych ludzi Jan Paweł II jest postacią historyczną i należało mówić im o papieżu coś konkretnego. Dlaczego dla starszych był on rzeczywiście ważny? Wydaje mi się, że tym, czego brakowało, jest systematyczna mowa o tym, dlaczego takie wartości jak rodzina i patriotyzm są ważne i dlaczego warto je szanować".

„Jaki przekaz powinien być skierowany do młodych ludzi, dzięki któremu można efektywnie bronić tradycyjnych wartości?" – zapytał dyskutantów prowadzący.

„Trzeba mówić o tym, co wartości takie, jak patriotyzm naprawdę dają" – stwierdził Spaliński, deklarujący się jako przedstawiciel „lewicy patriotycznej", i wspomniał o przykładzie Centralnego Portu Komunikacyjnego. „Z motywu patriotycznego, z czegoś, co ma być ponad podziałami, my budujemy coś, co jest wielkie i co zostanie z nami. Budujemy w Polsce takie lotnisko, z którego będzie można lecieć wszędzie. Nie potrzebujemy już jechać na lotniska na Zachodzie, bo mamy swoje, polskie lotnisko, za którym idzie mocna infrastruktura. Jeśli zbudujemy CPK, wszyscy będziemy mieli łatwiejsze życie. Patriotyzm musi być czymś więcej niż pustymi frazesami" – konkludował Spaliński.

Postawa obozu patriotycznego wobec młodych wyborców i sposoby zdobywania ich przychylności są od dawna przedmiotem różnych dyskusji. W tym panelu wypowiadali się o tym problemie ci, którzy wiedzą o nim najwięcej: młodzi ludzie, którzy dobrze życzą Polsce i z nadzieją patrzą na jej przyszłość.

eprasa.pl 4e935e4b41

Wojna za życia na

Na otwarcie roku akademickiego we wrocławskiej Akademii Wojsk Lądowych gen. Kukuła powiedział: „Wszystko wskazuje na to, że jesteśmy tym pokoleniem, które stanie z bronią w ręku w obronie naszego państwa. I nie zamierzam ani ja, ani myślę żaden z was, przegrać tej wojny". Jego słowa wywołały polityczną burzę

MAREK BUDZISZ

Niektórzy byli wojskowi i politycy obecnej koalicji krytykowali wystąpienie szefa Sztabu Generalnego zgodnie z zasadą, że lepiej nie mówić Polakom nieprzyjemnych prawd, powtarzając, że „powinien mieć świadomość, iż nie słuchają go wyłącznie wojskowi" lub lakonicznie zauważając, że jego wypowiedź „wymknęła się kontroli narracyjnej". Ta ostatnia uwaga, rzucona przez gen. Kozieja, byłego szefa BBN, trafia w sedno problemu. Czy jesteśmy bezpieczni, NATO jest najsilniejszym i zwartym jak nigdy w historii sojuszem gotowym bronić swojej wschodniej flanki, jak głoszą oficjalne przekazy, czy może raczej te opowieści to „narracja" powtarzana przez przedstawicieli elit wojskowych i politycznych po to, aby nie niepokoić obywateli? Jak jest w istocie, czy grozi nam wojna i jak jesteśmy do niej przygotowani? A może ci, którzy mówią o naszych, czyli NATO-wskich, brakach i zaniechaniach to czarnowidzący podżegacze wojenni?

UŚPIONY SOJUSZ

Jens Stoltenberg, były już Sekretarz Generalny Paktu Północnoatlantyckiego, powiedział w swoim ostatnim wywiadzie dla Politico, że jego zdaniem agresja Rosji na Ukrainę nie nastąpiłaby, gdyby przed lutym 2022 r. państwa Sojuszu dostarczyły Kijowowi więcej broni. Dlaczego okazało się to niemożliwe? Jak zauważył Stoltenberg, „dyskutowaliśmy o dostawach przeciwpancernej broni Javelin, ale niektórzy sojusznicy uznali takie posunięcie za zbyt prowokacyjne".

Państwa wspierające Ukrainę, w tym należące do NATO toczyły po-

eprasa.pl 4e935e4b41

szego pokolenia

dobne debaty przez ostatnie dwa i pół roku – zresztą z podobnym skutkiem. Broni zawsze było zbyt mało, docierała spóźniona, a jej użycie było i jest ograniczone kolejnymi zakazami narzuconymi na Kijów. Co się stanie, jeśli w kwestii obrony wschodniej flanki nasi sojusznicy popełnią podobny błąd?

Nawet niemieccy komentatorzy piszą, że Rosja i jej gospodarka pracująca na rzecz sił zbrojnych jest rozpędzona, a Europa co najwyżej działa połowicznie, w gruncie rzeczy udając, iż uważa rosyjskie zagrożenie za realne. Nie traktuje się poważnie głosów takich polityków, jak Boris Pistorius, szef niemieckiego resortu obrony, który powiedział niedawno w rozmowie z Tagesshau, że wojna Rosji z NATO w perspektywie pięciu do ośmiu lat jest bardzo prawdopodobna. Lekceważy się je do tego stopnia, że, jak zauważył jeden z anonimowych dyplomatów z Kwatery Głównej NATO w Brukseli w rozmowie z dziennikiem „The Guardian", „Europie potrzebny będzie drugi szok porównywalny do ataku Rosji na Ukrainę, aby wytrącić kraje Zachodu z marazmu i skłonić do podjęcia bardziej radykalnych kroków w celu wzmocnienia i zintegrowania własnych systemów obronnych". Czy tym szokiem będzie otwarta agresja Rosji przeciw NATO? Dziś trudno to przesądzać, ale kwestia wzmocnienia siły odstraszania jest zasadniczym tematem rozmów w wielu gabinetach.

Mechanizm jest w tym przypadku prosty – im większymi siłami dysponuje NATO, im szybciej jest w stanie dyslokować je na wschodnią flankę, gdzie zagrożenie może narastać, tym ryzyko wybuchu wojny maleje. Trochę jak w przypadku Javelinów, o których wspominał Stoltenberg. Gdyby Ukraina dysponowała ich dużą liczbą, zanim Rosjanie zaatakowali, może wpłynęłoby to na kalkulację strategiczną Putina i udaremniło wojnę. Nie mamy pewności, ale związek między naszą siłą i determinacją a zachowaniem rywali strategicznych jest oczywisty.

CZASU MAMY NIEWIELE

Jak to jest dziś w przypadku NATO i Rosji? Z informacji ujawnionych przez niemiecki dziennik „Die Welt" wynika, że w kwietniu br. dowództwo Sojuszu podjęło decyzję o zmianie tzw. minimalnych wymagań dotyczących zdolności (MCR). Poprzednie, przyjęte w 2020 r., jeszcze przed wojną, nakładały na państwa Sojuszu obowiązek oddania do dyspozycji dowództwa NATO 82 brygad bojowych, z których każda, zgodnie z NATO-wskimi standardami, powinna liczyć 3,5–5 tys. żołnierzy i oczywiście musi być odpowiednio zaopatrzona w sprzęt i amunicję. Nowe wymagania zakładają, iż gen. Cavoli, dowódca Sił Sojuszniczych w Europie, będzie miał do dyspozycji 131 brygad, liczba korpusów bojowych ma wzrosnąć z 6 do 15, a dowództw dywizji z 24 do 38. Stany te mają zostać osiągnięte do 2031 r., co notabene świadczy o tym, że opinia Pistoriusa, iż mamy pięć do ośmiu lat na przygotowania do wojny, nie jest w NATO odosobniona.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4e935e4b41

W rozmowie z „Sächsische Zeitung" Carsten Breuer, inspektor generalny Bundeswehry, zauważył: „Obserwujemy, że armia rosyjska jest zorientowana na Zachód i w ciągu 5–8 lat rosyjskie siły zbrojne zostaną wyposażone w sprzęt i personel, aby umożliwić atak na terytorium NATO". Ciekawe, że u naszego zachodniego sąsiada nikt nie potraktował tych słów w kategoriach utraty „kontroli narracyjnej", a deklaracje odpowiednika gen. Kukuły są traktowane przez świat polityki raczej jako wezwanie do działania niż retoryczny wyskok. Niemcy mają problem, bo Berlin szybko musi znaleźć co najmniej 40 mld euro, a mowa jest o wydatkach ponoszonych corocznie, aby zrealizować nowe plany NATO.

Gen. Wiesław Kukuła

Fot. Andrzej Wiktor

Oczekiwania gen. Cavoli i francuskiego adm. Pierre'a Vandiera nie obejmują jedynie zdolności sił lądowych. W świetle ujawnionych danych w najbliższych latach NATO musi też powiększyć swoje zdolności w zakresie obrony przestrzeni powietrznej krajów wschodniej flanki. Dziś dysponuje 293 systemami, a docelowo powinno ich mieć na wyposażeniu 1467. Szacunki te potwierdzają informacje opublikowane wiosną br. przez dziennik „The Financial Times", że Kwatera Główna jest zdania, iż obecne „pokrycie" potrzeb państw wystawionych na ewentualny rosyjski atak wynosi jedynie ok. 10 proc.

ZA MAŁO PIENIĘDZY

Ukraińscy analitycy obliczyli, że realizacja planów zakładających rozbudowę sił NATO do 131 brygad w praktyce oznacza zwiększenie potencjału sił lądowych państw Sojuszu o 245 tys. żołnierzy, czyli ok. połowy zdolności amerykańskich. Czy to w ogóle jest możliwe? „Die Welt", powołując się na słowa gen. Christiana Badii, najwyższego rangą niemieckiego wojskowego, który pracuje w Brukseli na stanowisku Zastępcy Naczelnego Dowódcy Sił Sojuszniczych ds. Transformacji, uważa, że realizacja tych zadań przy obecnym poziomie nakładów jest mało prawdopodobna. Z powodu oszczędności budżetowych Berlin nie jest w stanie wywiązać się z dotychczasowych zobowiązań zakładających sformowanie i wyposażenie w latach 2025 i 2027 dwóch nowych związków taktycznych, każdego w sile ok. 20 tys. żołnierzy, które powinny potrafić rozpocząć walkę w ciągu kilku dni od wydania rozkazów. Nadzieje na to, że do 2031 r. uda się zbudować kolejne 5–6 w pełni w wyposażonych brygad, w świetle dotychczasowych doświadczeń są płonne.

Francuzi, którzy w związku z rozdętym deficytem budżetowym i gigantycznym długiem publicznym myślą raczej o oszczędnościach niż wzroście wydatków, mają być w stanie dyslokować „na wschód", czyli do Rumunii (bo za ten kierunek odpowiadają) dywizję w terminie do 30 dni od podjęcia decyzji w tej kwestii. Ale zdolności te mają być osiągnięte dopiero w 2028 r. Jak w minionym tygodniu donosiło Politico, w przyszłym roku Francuzi chcą przetestować swoją zdolność przerzucenia jednej brygady zdolnej do walki w ciągu tygodnia.

Tę wyliczankę można mnożyć, dodając do smutnego obrazu zdolności obronnych Zachodu informację, że Stany Zjednoczone mają najmniejsze siły lądowe od czasów Pearl Harbor, a Brytyjczycy od wojen napoleońskich. Kto zatem będzie walczył na wschodniej flance NATO, jeśli Putin odbuduje swe siły? Nie mniej zasadne jest pytanie, przy użyciu jakich narzędzi chcemy odstraszyć Rosjan.

Politycy w Berlinie wzywają do zwiększenia nakładów na Bundeswehrę, bo uważają, że narasta zagrożenie dla Niemiec. Krytykują polskiego szefa Sztabu Generalnego, bo ten zaczął mówić o wojnie. Zarówno opozycyjne CDU, jak i koalicyjne FDP wzywają do debaty parlamentarnej na temat stanu sił zbrojnych, rysujących się zagrożeń i dokonań obecnej koalicji. Marcus Faber z FDP powiedział, iż „fakt, że minister Pistorius nie poinformował parlamentu o dodatkowych żądaniach NATO, jest równie przerażający, co znaczący", a Ingo Gädechens z CDU oskarżył rządzącą koalicję o ukrywanie przed parlamentem zarówno informacji na temat stanu sił zbrojnych, jak i dodatkowych oczekiwań NATO. Powiedział też dziennikarzom, iż „rząd świetlnej sygnalizacji prowadzi Niemcy i Bundeswehrę w kierunku katastrofy w polityce bezpieczeństwa".

W związku z informacjami na temat oczekiwań Sojuszu zapowiedziano debatę w Bundestagu i zmieniono porządek obrad. Na najbliższym zjeździe CDU, który ma się odbyć w Augsburgu, ta główna siła opozycyjna ma wpisać do swych dokumentów programowych żądanie przywrócenia powszechnej służby wojskowej i podniesienia poziomu wydatków na bezpieczeństwo do co najmniej 2,5 proc. PKB.

Warto wiedzieć, że nowe oczekiwania Kwatery Głównej zostały też wysłane do Warszawy. Jakie nakładają na nas obowiązki, czy jesteśmy w stanie je wypełnić? Nasz Sejm nie ma chyba zamiaru debatować na ten temat, podobnie zresztą jak nie zastanawiamy się, co zrobić, jeśli zrealizujemy stawiane nam wymagania, a nasi zachodni sojusznicy nie zdążą.

Najwyraźniej niemiecka klasa polityczna jest zdania, iż bez uczciwej debaty społecznej trudno będzie podnieść nakłady na zbrojenia, zaś polska najwyraźniej uważa, że Polakom lepiej nie mówić niewygodnych prawd. Różnica jest uderzająca, ale nie na tym polega problem z wystąpieniem gen. Kukuły. Ma on rację, mówiąc, że wojna się zbliża, ale niestety myli się, prognozując nasze zwycięstwo w niej.

eprasa.pl 4e935e4b41

Patron na czasy kłamstwa i egoizmu

Bł. ks. Jerzy Popiełuszko ostrzegał przed zgodą na życie w kłamstwie. Został zamordowany przez specjalistów od kłamstwa i manipulacji. To patron społeczeństw zmagających się z totalitaryzmem, konsumpcjonizmem i chaosem wartości

MACIEJ WALASZCZYK

Fot. Polona.pl, Shutterstock

40 lat temu, 19 października 1984 r., ks. Jerzy Popiełuszko, duszpasterz ludzi pracy, kapelan Solidarności, organizator mszy za ojczyznę odprawianych w kościele św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu, został porwany i zamordowany. Dokonali tego funkcjonariusze zwalczającej Kościół Samodzielnej Grupy „D" Departamentu IV MSW, a więc SB. Tej zbrodni obawiali się wierni, przyjaciele księdza, jego ochrona i kościelne władze, a nawet sam kapłan od dłuższego czasu wyczuwał zaciskającą się wokół niego pętlę. Był gotowy na męczeństwo.

epr sa.pl 4e935e4b41

Owinięte w foliowy worek ciało ks. Jerzego wyłowiono 30 października z zalewu na Wiśle, nieopodal tamy we Włocławku. Wielogodzinną sekcję zwłok wykonano w Zakładzie Medycyny Sądowej Akademii Medycznej w Białymstoku pod kierunkiem prof. Marii Byrdy. Podczas niej był obecny m.in. adwokat Jan Olszewski. Ksiądz miał związane ręce i nogi oraz usta zakneblowane kawałkiem ręcznika, a następnie zalepione plastrem dwukrotnie owiniętym wokół głowy. W trakcie tortur szyję owinięto mu pętlą z linki, której końce zawiązano na podkurczonych z tyłu nogach. W ten sposób przy każdej próbie ich wyprostowania sznur się naprężał, zaciskając na krtani, a linkę obciążał worek z kamieniami. Wyłowione ciało było pokryte ranami świadczącymi o bestialskim torturowaniu – tak okaleczone, że członkowie rodziny z trudem dokonali jego identyfikacji.

Choć prokuratura zażądała dla sprawców – Grzegorza Piotrowskiego kary śmierci oraz kar więzienia dla Leszka Pękali, Waldemara Chmielewskiego i Adama Pietruszki, sąd wymierzył esbekom kary więzienia od 14 do 25 lat. Proces ten, podobnie jak kolejny dotyczący ich przełożonych, generałów Władysława Ciastonia i Zenona Płatka, nie ujawnił okoliczności i inspiratorów zbrodni. Pierwszy został uniewinniony, a drugi zmarł w trakcie procesu.

MACHINA MANIPULACJI

Również historia śledztwa i procesu toczącego się przed Sądem Okręgowym w Toruniu jest tematem licznych dociekań i dyskusji. Był to przecież wyreżyserowany spektakl, w którym na ławie oskarżonych próbowano posadzić również zamordowanego kapłana i Kościół. Poza tym przebieg wydarzeń znamy jedynie z zeznań zabójców.

– W tej sprawie nie ma żadnych rewelacji, które mogą zmienić cokolwiek – mówi dziś prokurator Mieczysław Góra, który nadzoruje śledztwo dotyczące związku przestępczego w MSW. Prowadzi je bydgoski Referat Śledczy oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu w Gdańsku. – Wielokrotnie słuchałem sprawców, w tym samego Piotrowskiego. Można im wierzyć lub nie, ale oni twierdzą, że nie jechali z zamiarem zabójstwa, że nikt ich do niczego nie namawiał. Jak dotąd nie znaleziono innych materiałów, które mogłyby podważać ustalenia, które zapadły na procesie – dodaje.

Sprawcy od pierwszych zeznań składanych zaraz po ich ujęciu twierdzili, że pojechali na akcję nie po to, by zabić, a jedynie by zastraszyć. Z linką, workami, kneblem, pałkami i kamieniami oraz 0,5 l wódki, którą wypili po akcji w drodze powrotnej. To szokujące nawet dziś, tak samo jak fakt, że udowodnienie Jaruzelskiemu i Kiszczakowi zlecenia porwania lub zamordowania księdza okazało się niewykonalne. – Zleceniodawca morderstwa bez względu na to, czy pochodził z elity komunistycznej władzy w Polsce, czy w Związku Sowieckim, nie pozostawił po sobie materialnych śladów. Trudno się też spodziewać, żeby rozkaz zabójstwa został wydany na piśmie w jakimkolwiek dokumencie – wyjaśnia prof. Rafał Łatka, historyk z IPN.

Prokurator Góra, uprzedzając jakiekolwiek wątpliwości, mówi, że w mediach i wielu publikacjach od kilkunastu lat funkcjonuje odmienna wersja, która jest lansowana na podstawie działalności prokuratora Andrzeja Witkowskiego. – To fikcja literacka i nie ma żadnego materiału dowodowego, który mógłby podważyć wersję, która została ustalona w procesie toruńskim – przekonuje. Przyznaje oczywiście, iż ma świadomość, że stali za nim ludzie uczeni manipulacji i kłamstwa, że Kościół był instytucją poddaną absolutnej inwigilacji, a metody stosowane przez funkcjonariuszy SB, takie jak zabójstwa, porwania, stosowanie gróźb, podrzucanie materiałów obciążających, były bezprawne. Mordercy księdza mieli wyjątkowe narzędzia i umiejętności do manipulowania obrazem sytuacji, co wciąż rzuca cień na wszystko, co dziś wiemy na ten temat, a kłamstwo było jednym z zasadniczych narzędzi ich działania. Korzystali także z prawa wprowadzania sądu w błąd podczas procesu. – Akcja dezinformacyjna była skuteczna i pozostawiła po sobie wiele utrwalonych mitów, które trudno zweryfikować i wyplenić z przestrzeni publicznej – dodaje historyk IPN.

DROGA DO ŚWIĘTOŚCI

Ks. Jerzy Popiełuszko został beatyfikowany w 2010 r. jako męczennik za wiarę. Obecnie trwa jego proces kanonizacyjny. Wszystko zaczęło się od pracy w duszpasterstwie akademickim przy kościele św. Anny, wśród studentów medycyny i pracowników średniego personelu medycznego. Znakomicie spowiadał, prowadził rekolekcje, poruszając m.in. problem zabijania dzieci nienarodzonych w PRL. Kiepskie zdrowie spowodowało jednak, że ulokowano go jako rezydenta w parafii św. Stanisława Kostki na Żoliborzu u boku ks. Teofila Boguckiego, kapelana AK w czasie powstania warszawskiego. Ostatniego dnia sierpnia 1980 r. na prośbę strajkujących hutników Huty Warszawa odprawił dla nich mszę. Po tym ruszyła lawina chrztów dorosłych, spowiedzi po latach przerwy, ślubów kościelnych, przyjaźni z rodzinami robotników. Nie tylko został kapelanem Solidarności w hucie, lecz także odprawiał msze podczas I zjazdu związku w Gdańsku, pojawił się podczas strajku w warszawskiej Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej spacyfikowanym przez antyterrorystów.

W stanie wojennym ksiądz osobiście angażował się w akcje wspierania więźniów politycznych i ich rodzin. Przede

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

eprasa.pl 4e935e4b41

wszystkim odprawiał msze za ojczyznę, wygłaszając podczas nich trafiające do ludzi kazania. Już wtedy znalazł się na celowniku służb, a niebawem władze PRL zaostrzyły także konfrontacyjny kurs wobec Kościoła. Poza ks. Popiełuszką celem ataków byli także księża Stanisław Małkowski, Kazimierz Jancarz, Adolf Chojnacki czy Tadeusz Isakowicz-Zaleski. Najpierw wstrzymano mu paszport, by zablokować wyjazd na uroczyste zakończenie procesu kanonizacji o. Maksymiliana Kolbe. A w ramach sprawy operacyjnego rozpracowania „Popiel" został spętany siecią donosicieli. Zaczęto również mnożyć sensacyjne doniesienia na jego temat.

OFIARA KŁAMSTW

Na początku października br. przed Sądem Okręgowym w Warszawie ruszył proces oskarżonych o zorganizowanie prowokacji wobec kapłana i podrzucenie w 1983 r. do kawalerki przy ul. Chłodnej 15, którą otrzymał w prezencie od ciotki, materiałów mających go obciążyć i skompromitować. Przed sądem staną Grzegorz P. i Paweł N. (przed zmianą nazwiska Leszek Pękala), byli funkcjonariusze MSW. Trzeci oskarżony – Waldemar O. (przed zmianą nazwiska Waldemar Chmielewski) zmarł w ub.r. W czasie „przeszukania" przyszli mordercy księdza mieli znaleźć „dowody" na antypaństwową działalność kapłana, które tam podrzucili. W tajnych skrytkach odnaleziono nielegalne ulotki, czasopisma i farbę drukarską, a do tego 36 naboi do pistoletu maszynowego, trotyl, dynamit z zapalnikiem i przewodem elektrycznym do detonacji oraz gaz łzawiący.

Dodatkowo wszystko zupełnym „przypadkiem" nagrała ekipa TVP. Równocześnie stosowny paszkwil opublikował „Ekspress Wieczorny". Pełen insynuacji tekst autorstwa samego Jerzego Urbana skrywającego się pod pseudonimem Michał Ostrowski pt. „Garsoniera ob. Popiełuszki" przedrukowała także „Trybuna Ludu", a sowiecka „Izwiestija" informowała, że ksiądz przekształcił mieszkanie w lokal konspiracyjny. – Chodziło o związanie go z radykalnymi w perspektywie komunistycznej środowiskami opozycji, które miałyby dążyć przemocą do obalenia systemu politycznego. A celem ostatecznym było wyeliminowanie ks. Jerzego ze sfery publicznej przez jego aresztowanie, a następnie postawienie przed sądem – tłumaczy prof. Rafał Łatka.

DLACZEGO ZGINĄŁ?

Prymas Józef Glemp planował wysłać ks. Jerzego na studia do Rzymu. Taka decyzja nigdy jednak nie zapadła. Tymczasem „opieka", którą bezpieka roztoczyła nad kapłanem, zdawała się z ich punktu widzenia skuteczna o tyle, o ile skupiał swoją działalność na terenie Warszawy.

> Na początku października br. przed Sądem Okręgowym w Warszawie ruszył proces oskarżonych o zorganizowanie prowokacji wobec ks. Jerzego i podrzucenie w 1983 r. do kawalerki przy ul. Chłodnej, którą otrzymał w prezencie od ciotki, materiałów mających go obciążyć i skompromitować

Skuteczna zdawała się również ochrona, którą roztoczyli wokół księdza ludzie. Kiedy jednak Popiełuszko coraz częściej zaczął wyjeżdżać poza stolicę, szanse na jego upilnowanie, a w konsekwencji uratowanie jego życia, stawały się coraz mniejsze. W niektórych parafiach, w których się pojawiał, jego wizyty ogłaszano oficjalnie, a w innych nie, przez co SB nie zawsze wiedziała, gdzie jedzie i czasem była zaskakiwana.

Ks. Bronisław Piasecki, który w latach 70. był kapelanem prymasa Stefana Wyszyńskiego, twierdził, że kluczem do zrozumienia motywów tej zbrodni było właśnie poszerzanie oddziaływania księdza na inne środowiska. Stało się to pewnym zagrożeniem dla władzy, podobnie jak pielgrzymki z całej Polski, które coraz liczniej pojawiały się na mszach za ojczyznę. Uczestniczyli w nich robotnicy, aktorzy, młodzież, a także oddaleni od wiary intelektualiści, tacy jak prof. Klemens Szaniawski. Sam Żoliborz był przecież próbą realizacji wzorcowego miasteczka przedwojennej lewicy. Tymczasem ksiądz okazał się wymarzonym duszpasterzem, przekonanym o słuszności swojej służby, blisko związanym z ludźmi, którzy go potrzebowali, dostępnym, organizującym praktyczną pomoc. Początkowo bał się wygłaszania kazań, z czasem zaczął przyciągać nimi tysiące wiernych.

PATRON NA CZASY CHAOSU

Bł. ks. Jerzy Popiełuszko, Jak wskazują biskupi w liście napisanym z okazji 40. rocznicy jego śmierci, staje się dziś patronem naszej wewnętrznej wolności. To szczególnie ważne w świecie kształtowanym przez współczesną kulturę, pod której presją postępuje ostentacyjne porzucanie praktyk religijnych i wiary za cenę świętego spokoju, uległości wobec lansowanej przez media czy zwierzchników politycznej poprawności. Jest przewodnikiem takim samym jak wtedy, gdy architekci laickiego, masowego społeczeństwa kusili awansami, oferując święty spokój w zamian za wyrzeczenie się wartości, gdy każdy mógł uniknąć prześladowań w zamian za ustępstwa. A kto nie uznawał socjalistycznego porządku, musiał się liczyć z prześladowaniem. Ta postawa zrodziła się w księdzu w czasie, gdy jako kleryk został wcielony do wojska. „Całe jego późniejsze, kapłańskie życie stało się polem dramatycznej walki o podstawowe wartości w życiu człowieka i społeczeństwa" – podkreślają biskupi.

Dlatego bł. ks. Popiełuszko jest dziś patronem prześladowanych chrześcijan, społeczeństw zmagających się z totalitaryzmem, konsumpcjonizmem i chaosem wartości, „przewodnikiem w skomplikowanym świecie półprawd, konfliktów, lęku i nienawiści". Ludzi będących ofiarami indywidualizmu, egoizmu i wywołanej tym samotności. Przewodnikiem skoncentrowanym na prowadzeniu ludzi do Boga pod prąd współczesnych ideologii.

Platforma o Scholzu: hipokryta i arogant

W kierownictwie PO musiała zapaść decyzja, aby podjąć z PiS rywalizację na polu pobudzania w Polsce antyniemieckich resentymentów. Czemu to ma służyć?

JAN ROKITA

Ubiegłotygodniowa debata w Parlamencie Europejskim na temat granic bez wątpienia otwiera nowy rozdział w relacjach polsko-niemieckich. Po raz pierwszy bowiem polscy europosłowie tak zgodnie, a zarazem z taką zajadłością atakowali politykę rządu kanclerza Olafa Scholza. Reprezentanci PO i PiS wręcz konkurowali ze sobą o to, kto potrafi znaleźć lepszą i mocniejszą inwektywę przeciw niemu i zdobędzie w ten sposób laur najtwardszego germanofoba.

W przypadku PiS nikogo to nie zaskakuje, bo pryncypialna krytyka niemieckiej polityki, niezależnie od tego, jak jest ona prowadzona i kto sprawuje władzę w Berlinie, stanowi jeden z kanonów tej partii, wyznaczony przez Jarosława Kaczyńskiego. Nowością natomiast jest to, iż w kierownictwie Platformy musiała zapaść decyzja, aby podjąć z PiS rywalizację na polu pobudzania w Polsce antyniemieckich resentymentów. To zresztą stary i sprawdzony już nieraz sposób Donalda Tuska na to, aby propagandowo wciskać się na pola eksploatowane dotąd wyłącznie przez PiS. A nawet czasem próbować dowieść (jak od dłuższego czasu w polityce azylowej i migracyjnej), że PiS udawał tylko stanowczą politykę, a dopiero Tusk jest przywódcą wojującym i prawdziwie nieustępliwym.

KŁÓTNIA W PARTYJNEJ RODZINIE

W Parlamencie Europejskim dawno już nie było tak, aby powodem do krytycznej debaty stała się nie Polska, Węgry czy jakiś inny kraj Europy Środkowo-Wschodniej, ale Niemcy. Bezpośrednim pretekstem stała się wrześniowa decyzja rządu Scholza, aby kontrole graniczne, które już wcześniej Niemcy wprowadzili na swej wschodniej i południowej granicy, teraz rozszerzyć na wszystkie granice lądowe, także na zachodzie i północy kraju.

eprasa.pl 4e935e4b41

Fot. Christian Creutz/PE

Rzecz jasna te niemieckie kontrole irytują wszystkich sąsiadów Niemiec z co najmniej dwóch powodów. *Primo* – bo tu i ówdzie zakłócają normalny ruch graniczny, do którego przywykli choćby ci mieszkańcy państw ościennych Niemiec, którzy znaleźli pracę po niemieckiej stronie. A *secundo* (co pewnie politycznie ważniejsze) – bo w ten sposób zaczyna być na serio egzekwowane europejskie prawo (tzw. procedury dublińskie), nakazujące cofać nielegalnych imigrantów do państw, które umożliwiły im przekroczenie zewnętrznej granicy Unii.

Od 2015 r., kiedy Angela Merkel wpuściła do kraju 1 mln nielegalnych przybyszów maszerujących w stronę Niemiec europejskimi autostradami, procedury dublińskie pozostawały martwe. A przyczyną takiego stanu rzeczy, wygodnego dla licznych krajów, w tym dla Polski, było właśnie nieegzekwowanie prawa przez Niemcy. Dysponują tu one wyjątkowym przywilejem wynikającym z geografii. Leżąc w środku UE i nie mając lądowej zewnętrznej granicy unijnej, Niemcy mogą sami odsyłać przybyszów sąsiadom, nie ryzykując niczyim odwetem. Nic dziwnego, że żaden z ich sąsiadów nie jest zadowolony z takiego stanu rzeczy.

Mimo to oskarżenia miotane przez europosłów Platformy niekoniecznie mają mocne podstawy. Prawdę mówiąc, zdziwiłem się, gdy usłyszałem Bartłomieja Sienkiewicza skarżącego się w Strasburgu, iż o wprowadzeniu kontroli rząd Tuska dowiedział się z mediów, i to (jak podkreślił) z niemieckich. Jak bowiem wiadomo, na polskiej granicy (podobnie jak na czeskiej i szwajcarskiej) kontrole zostały wprowadzone w październiku 2023 r., więc o tym, jak strona niemiecka wywiązywała się wtedy z powinności powiadomień sąsiadów, mógłby coś powiedzieć były premier Morawiecki, a nie członek ekipy Tuska. Ostatnia wrześniowa decyzja Scholza dotyczyła tylko rozszerzenia tej samej praktyki na zachodnich sąsiadów Niemiec z Francją na czele. Dlatego oskarżenia europosła PO robią wrażenie nie najlepszej jakości propagandy adresowanej do ludzi kiepsko poinformowanych.

To oczywiście prawda, że wszczynając kontrole, Berlin kieruje się własnym narodowym interesem. Tyle tylko, że w przeciwieństwie do europosła Sienkiewicza, który pryncypialnie piętnuje taką motywację, jestem skłonny uznawać ją za rzecz najbardziej naturalną pod słońcem. Niemieccy socjaliści i Zieloni dotąd byli niechętni poważniejszym restrykcjom azylowym i imigracyjnym, a Scholza długo trzeba było przymuszać do nawet tak nieznacznego zaostrzenia prawa azylowego, jak to zatwierdzone w unijnej dyrektywie azylowej z 14 maja 2024 r., którą wymusiła skuteczna włoska premier Giorgia Meloni. Teraz niemiecka SPD powoli zmienia swój pogląd pod presją wyborczych porażek, które lewica ponosi w kolejnych wyborach landowych. Można więc nawet postawić tezę, że motywem Scholza jest nie tylko interes narodowy, lecz także – przynajmniej po części – interes partyjny niemieckiej lewicy. I to również jest rzecz najzupełniej normalna.

Na dodatek tak wyraźne wskazywanie teraz lewicowego kanclerza jako „aroganta i hipokryty", który ma pomysł na rozwalenie Unii, poczynając od likwidacji strefy Schengen (jak złowieszczo prorokuje Andrzej Halicki, inny europoseł PO), jest fałszowaniem obrazu niemieckiej sceny politycznej, tak by nie stanowił on problemu dla stosunków Platformy w jej chadeckiej „rodzinie" partyjnej.

Tymczasem niemieckim politykiem, który żąda wprowadzenia „imigracyjnego stanu wyjątkowego" i zawieszenia w Niemczech mocy traktatów europejskich (które, przypomnijmy, oddają politykę migracyjną i azylową Brukseli) nie jest bynajmniej przywódca SPD, ale Friedrich Merz, lider chadecji i bliski sojusznik PO, a także zapewne przyszły kanclerz.

Lewicowo-liberalno-zielona koalicja kategorycznie odrzuciła plan Merza w imię „wartości europejskich", czyli respektu dla traktatów i prawa imigrantów do ubiegania się o azyl. Opowiedziała się tylko za bardziej zdecydowaną egzekucją wspomnianych już unijnych procedur dublińskich nakazujących cofanie nielegalnych przybyszów do kraju, w którym przekroczyli zewnętrzną granicę Unii. I to był powód kontroli. Nawiasem mówiąc, wśród koalicyjnych Zielonych nawet te małe kroki znajdują silne grupy ideologicznych

eprasa.pl 4e935e4b41

kontestatorów. Ci nie kryją, iż wkrótce, bo już w połowie listopada, podczas kongresu partii w Wiesbaden, zamierzają sprawić spore kłopoty wicekanclerzowi Robertowi Habeckowi, skazanemu na obronę rządowej polityki przed frontalnymi atakami zwolenników pełnego otwarcia na imigrantów w jego własnej partii. A ten chce akurat na tym kongresie ubiegać się o rolę lidera listy wyborczej Zielonych w zbliżających się ogólnoniemieckich wyborach do Bundestagu.

HIPOKRYZJA, CZYLI CO?

Jednak w całej sprawie rzeczywiście doniosłe jest tylko jedno pytanie: czy granice państwowe mają, czy też nie mają stanowić zapory przed falą imigracyjną. PiS przyzwyczaiło nas już do pomieszania z poplątaniem, jakie uprawia w tej materii. Z jednej strony co rusz głosi pryncypialną pochwałę suwerenności państwa na jego własnych granicach, z drugiej zaś – wpada w oburzenie, gdy Niemcy bardzo ostrożnie próbują podążać w tę właśnie stronę. Nie jest przypadkiem, że niemieckie kontrole graniczne mają entuzjastyczne wsparcie całej europejskiej prawicy – od Meloni po Le Pen tylko za wyjątkiem polskiej prawicy. Ale teraz do tego oburzenia z równą pasją dołącza Platforma.

Jeśli jednak sądzić po słowach Sienkiewicza i Halickiego, a także po krótkich postach w sieci samego Tuska, to PO będzie zmierzać w stronę konsekwentnego kwestionowania suwerennego charakteru granic państwowych i uznawania wyłącznie zewnętrznej granicy Unii. Jedno z głównych oskarżeń Platformy miotanych teraz wobec Scholza dotyczy jego „hipokryzji", czyli tego, że broni się przed płaceniem na budowę murów na granicach zewnętrznych Unii (np. na granicy polskiej), a sam stawia kontrole na narodowej granicy niemieckiej.

> To prawda, że wszczynając kontrole na granicy, Berlin kieruje się własnym narodowym interesem. Tyle tylko, że w przeciwieństwie do europosła Sienkiewicza, który piętnuje taką motywację, jestem skłonny uznawać ją za rzecz najbardziej naturalną pod słońcem

Jednak politycy niemieccy nie mylą się, uważając, iż wspólna unijna polityka azylowo-imigracyjna wiedzie do nieuchronnej porażki. I to mimo tego, iż państwa unijne zrzekły się w traktatach suwerenności w tych materiach na rzecz Brukseli. UE nie jest i przynajmniej w bliskim czasie nie będzie zdolna do tego, aby powstrzymać masowe przenikanie nielegalnych przybyszów przez zewnętrzną granicę unijną. Z co najmniej dwóch powodów.

Pierwszy – że w praktyce jest to niemal niewykonalne, zważywszy, że ciągle lwia część migracji do Europy odbywa się poprzez Morze Śródziemne, a ostatnio także Atlantyk. A blokada na morzu oznacza domniemaną zgodę na utopienie tysięcy ludzi. Prawdę mówiąc, w praktyce nie da się zablokować nawet granicy lądowej na wschodzie Unii, przynajmniej tak długo, jak trwa wojna na Ukrainie i za chwilę może się pojawić kolejna wielka fala uciekinierów wojennych.

Drugi powód jest zaś taki, że w Unii nie ma i nie będzie zgody, gdy idzie o podejście do imigracji, a cała rzecz stała się przecież częścią toczącej się „wojny o kulturę". Ten brak zgody w pierwszej kolejności dotyczy moralnej oceny niewpuszczania bądź odsyłania przybyszów. Trzeba słuchać papieża Franciszka, który dopiero co, przy okazji swej podróży do Azji, potępił takie praktyki wobec imigrantów jako „morderstwo" (w oryginalnych słowach papieża: „l'assassinio"), czyli zbrodnię przeciw piątemu przykazaniu.

BRUKSELA NAS NIE OCALI

Ale brak zgody w Unii w sprawie problemu imigracji ma także praktyczny wymiar polityczny. Wewnątrzniemiecki spór pomiędzy żądającą wielkiej „reemigracji" AfD, „jastrzębim" Merzem, „gołębim" Scholzem i otwarcie proimigranckimi aktywistami Zielonych pokazuje, jak istotne różnice dzielą politykę tylko jednego kraju.

Ale dla wyraźniejszego obrazu warto było słuchać w ostatnią środę programowej mowy hiszpańskiego premiera Pedra Sáncheza w Kortezach. Zapowiedział on pakiet posunięć mających ułatwić masową imigrację z Afryki do Hiszpanii, gdyż, jak argumentował, „toczy się wielka bitwa między prawdą a kłamstwem, między tym, co jest interesem naszego społeczeństwa, a interesami wąskiej grupy, która uznaje strach i nienawiść do obcokrajowców za swoją jedyną drogę do zdobycia władzy".

Jeśli w takich okolicznościach rząd jakiegokolwiek unijnego kraju z założonymi rękoma czekałby na to, że to Bruksela ocali Europę przed rosnącą falą imigracyjną, dawałby tylko świadectwo własnego oderwania od rzeczywistości. Unia jest i nadal będzie nieskuteczna w ochronie swojej zewnętrznej granicy.

Gabinet Mateusza Morawieckiego wydawał się rozumieć tę prawdę, gdy mimo fali krytyki w UE postanowił zbudować mur na granicy z Białorusią. Niemcy, po długim czasie jakiegoś zbiorowego zamroczenia, jakie opanowało ich w 2015 r., dziś powoli wracają do zdrowego rozsądku. Więc prawdziwe kłopoty z cofaniem migrantów czekają polskiego (i nie tylko polskiego) premiera niedługo, kiedy kanclerzem federalnym zostanie Merz, a granice Niemiec zostaną zablokowane dla imigracji. Zamiast oburzać się na coraz bardziej logiczny sposób myślenia Niemców, lepiej byłoby samemu pójść wyznaczoną przez nich drogą.

eprasa.pl 4e935e4b41

Wielkość Rosji, czyli ogrom złudzeń

Dla oceny stanu Rosji dużo bardziej przydatne są obrazki z jej tonącej w fekaliach i błocie prowincji – głubinki niż dane banku centralnego czy Rosyjskiej Federalnej Służby Statystyki Państwowej

DARIUSZ MATUSZAK

Kiedy patrzy się na mapę Ziemi sporządzoną wedle odwzorowania Merkatora, Rosja jest na niej większa niż Afryka i zdaje się przytłaczać cały świat swym ciężarem. Tak jakby genialny flamandzki kartograf rozrysował na płaszczyźnie siatkę kuli ziemskiej wedle życzenia Kremla, więc powierzchnie się wypaczają i wszystko, co się oddala od równika aż po przylądek Czeluskin, najbardziej wysunięty na północ punkt Azji, rośnie monstrualnie. I stąd złudzenie wielkości Rosji. Choć prawda, że jest to prawdziwe monstrum. Na wielu mapach jej kresy pojawiają się nawet po lewej, zachodniej stronie – rubieże Czukotki przez Cieśninę Beringa dotykają Ameryki – Alaski i zachodzą na półkulę zachodnią, jakby Rosja oplatała cały świat. Z amerykańskiej Małej Diomedy widać oddaloną o 3 km rosyjską Wyspę Ratmanowa. Tam można spojrzeć w przyszłość i zobaczyć jutro – pomiędzy wyspami leży bowiem linia zmiany daty.

WIELKIE NIC

Rosja jest więc przeogromna – ma niekończące się zamarzające zimą błota i mokradła, lodowe pustynie i nieprzebyte lasy. Być może pocieszeniem dla milionów jej mieszkańców, które nigdy nie posiadały w mieszkaniu czy swej norze łazienki i kranu z wodą, jest to, że ich kraj rozciąga się od zabranych Japonii Wysp Kurylskich po gnijący na gruzach dawnych Prus Królewiec. Reżim wmawia tym milionom, że życie w nędzy, smrodzie i brudzie jest ceną wartą zapłacenia, by mieć jeszcze piędź błota na Kurylach, zagarnąć kawałek ziemi Gruzinom, jak Abchazja i Południowa Osetia, i utrzymywać bantustany, jak Republika Naddniestrzańska, Ługańska czy Czeczenia. Tam są też zapasy mięsa armatniego na wypadek kolejnej napaści. Rosja liczy dziś 17 mln km² powierzchni, czyli 5 mln mniej niż w czasach „świetności" imperium rosyjskiego i ZSRR, ale i tak jest największa. Ale być może to tylko pozory, a tak naprawdę to wielka pustka i jedynie pojedyncze punkty w ogromie nicości.

Być może Rosja to tylko jej licząca 4,2 mln km² europejska część, wąski pas wzdłuż Kolei Transsyberyjskiej i Magistrali Amurskiej, miasta na Uralu oraz te porozrzucane gdzieś w pustkach Syberii i na lodowych pustyniach Arktyki? A reszta to nicość z poukrywanymi ogromnymi skarbami, z których zwykli Rosjanie nie mają żadnego pożytku. Nawet syberyjskie lasy wycinają im Chińczycy i prowadzą tartaki.

Rosja odwróciła się od Północy, na której zbudowała swą potęgę. W 1914 r., jeszcze przed wybuchem I wojny światowej, francuski ekonomista Edmond Théry przewidywał, że jeśli imperium utrzyma tempo rozwoju gospodarczego, to w 1948 r. stanie się największą potęgą ekonomiczną na świecie. Ale socjalistyczna rewolucja i zbrodnie reżimu przerwały jego rozwój. Ostatnim wielkim wysiłkiem na Północy było wykorzystywanie przez Stalina i kolejnych zbrodniarzy niezliczonej liczby niewolników. Odkąd te miliony ludzkich istnień nie mogą już służyć jako podkłady pod tory kolejowe czy deski szalunkowe, Związek Radziecki, a potem jego dziedziczka Rosja, porzucili Północ. Nie ma siły, by czynić ją sobie poddaną, tak jak jeszcze 120 lat temu. Na Północy jest więc niemal wielkie nic, rozrasta się więc wielka pustka. Rosja skurczyła się jak balon, w którym nic nie podtrzymuje powietrza. Zapadła się od Północy. Porzuciła ją, skazała na to, by była przeklętą, nieludzką ziemią.

ŚMIERĆ PIJANEGO NAJEŹDŹCY

Demograficznie Rosja jest dość duża, ale ze swymi 143 mln obywateli ledwie o 18 mln większa niż w 1897 r., kiedy było ich 125,6 mln – prawie dwa razy więcej niż Stany Zjednoczone. Dziś Amerykanów jest 330 mln. I niby Rosja jest spora demograficznie, ale przecież mniejsza niż Bangladesz, Nigeria, Indonezja czy Pakistan. I wciąż się kurczy, bo alkoholicy nie chcą przestać umierać. Minister zdrowia Michaił Muraszko podał, iż co czwarty pacjent rosyjskich szpitali ma problemy zdrowotne związane z piciem. Nie chcą też przestać ginąć ci, którzy zostali posłani na rzeź na Ukrainę.

eprasa.pl 4e935e4b41

Robią to szybciej niż Brytyjczycy czy Amerykanie w czasie II wojny światowej. Dzienną liczbę ofiar wojny z Ukrainą szacuje się na 800–1000 zabitych bądź rannych najeźdźców. W połowie czerwca było ich już 500 tys.

Jakby tego było mało, Rosja wymiera naturalnie i żadne wezwania Putina, by mieć po ośmioro dzieci, jak w czasach starożytnej Rusi, nic nie pomogą. Co roku z przyczyn naturalnych Rosja kurczy się o blisko 700 tys. osób i jak szacuje Rosstat, tak będzie co najmniej do 2035 r.

Gdyby mierzyć wielkość Rosji rozmiarami gospodarki, byłby niemały to kraj. Nawet dość spory. Ot, coś jak Korea Południowa, ale mniejszy niż Włochy, Beneluks, Brazylia albo Meksyk. Czy ktoś myśli o Meksyku jako o potędze gospodarczej? Tymczasem 128 mln Meksykanów dostarcza więcej towarów i usług niż 143 mln Rosjan. Tak więc 1,48 bln dol. PKB Rosji (dane sprzed pandemii) nie robi większego wrażenia – dwa Tajwany. Niektórzy eksperci w czarnych, czyli optymistycznych scenariuszach, przewidują, że z powodu wojny rosyjska gospodarka cofnie się do poziomu z 1995 r. Czyli będzie mniejsza niż polska czy belgijska. Międzynarodowy Fundusz Walutowy podaje dane świadczące o systematycznej utracie znaczenia Rosji na świecie. Jej udział w globalnym PKB liczony według parytetu siły nabywczej wynosi w 2,84 proc. 10 lat temu było to 3,43 proc, a jeszcze w 1992 r., czyli pierwszym roku istnienia Federacji Rosyjskiej, jej udział w światowej gospodarce wynosił 4,86 proc. Kolejne dekady władzy Putina prowadzą ją ku nieistotności.

ZŁOTE „G"

A przecież już teraz Rosja jest krajem dojmującej i trwałej nędzy. 21 mln ludzi żyje poniżej progu minimum socjalnego wynoszącego 165 dol. 45 proc. rodzin z dziećmi nie ma dostępu do centralnej kanalizacji, 35 mln nie ma w mieszkaniu toalety, 30 mln dostępu do bieżącej wody, nawet lichego kranu z zimną wodą, tylko pobiera ją ze studni, strumieni, rzek. Rosja to właściwie największa kloaka świata, która niemal tonie we własnych odchodach. Opowiedzą nam o tym także „Nowaja Gazieta" i państwowa telewizja Russia1.

Opisaliśmy już te historie na portalu wPolityce.pl, ale mają one w sobie takie bogactwo prawdy o Rosji, że warto je powtórzyć. Oto Tuła, licząca 500 tys. mieszkańców i leżąca ledwie 200 km od Moskwy, a więc w bogatym jak na rosyjskie standardy regionie. Jedna piąta, czyli ponad 100 tys. jej mieszkańców, nie ma dostępu do centralnej kanalizacji. Inna Szuwałowa, która mieszka na ul. Pirogowa, zaledwie 250 m od budynku władz regionu, opowiada: „Codziennie myjemy się w korycie. Pralkę też opróżniamy do koryta. Potem wszystko przelewamy do wiader, wynosimy na podwórko i tam wylewamy". Nad Inną mieszka staruszka: „Babcia nie wychodzi z domu, trudno jej zejść po schodach. Wylewa więc swoje wiadra, łącznie z tym, co narobi do nocników, przez okno".

Ci, którzy mieszkają w centrum miasta w jednym z budynków przy ul. Mendelewskiej, mają w nim jakiś rodzaj kanalizacji. Nie jest ona podłączona do miejskiej, więc wszystko spływa do szamba, a z szamba do rzeki Upa. Mieszkańców nie stać na podłączenie się do centralnej kanalizacji, bo w przeliczeniu na nasze kosztuje to ok. 6 tys. zł. A może, jak zgadujemy, żal im tych pieniędzy i wolą je przepić? A może raz już zapłacili za instalację, ale pieniądze ukradli urzędnicy? Mniejsza z tym. Ci, którzy nie mają toalety w domu, zasadniczo korzystają z dwóch rozwiązań. To dotyczy nie tylko Tuły, lecz także całej Rosji. Chodzą w krzaki, za śmietnik itp. albo korzystają z publicznych sławojek. To przybytki jak te, które w Polsce niemal 100 lat temu kazał na wsiach instalować premier Felicjan Sławoj Składkowski. To, co się w nich zrobi, trafia do jakiegoś wycementowanego albo wyłożonego drewnem czy tylko wysypanego żwirem dołu. Co z niego nie wycieknie do ziemi, wywożą szambiarki i na rynku trwa prawdziwa wojna firm zajmujących się odchodami.

„Ten biznes to złoto. G...o można wywozić w nieskończoność" – mówi gazecie Oleg Djomin, dyrektor firmy Tulagorwodokanał. 88 proc. ścieków w Rosji nie spełnia norm sanitarnych i spływa do rzek, strumieni itp. Niedawno cały

kraj jak długi i szeroki pasjonował się zagadką zniknięcia drewnianego wychodka w jednym z miasteczek pod Omskiem. Jak w Trójkącie Bermudzkim. Aby rozwiązać tajemnicę i pokazać całej Rosji, przyjechała ekipa telewizyjna z samej Moskwy. Mocarstwo nuklearne zastygło w napięciu, aż okazało się, że miejscowy menel rozwalił wychodek i porąbał, by mieć drewno na opał. Ale jest i nadzieja. Jej posłańcem znów jest państwowa telewizja Rossija1, która pokazuje radujących się mieszkańców Wiatki w obwodzie kirowskim. Do ich dziury zawitał wielki świat przenośnych, publicznych, plastikowych toalet. Szczęśliwa grażdanka opowiada, że nie musi już łazić po krzakach, za garaże, tylko może korzystać z osiągnięć cywilizacji. Przejęta reporterka z pasją opowiada, że na te dobra cywilizacji muszą jeszcze poczekać mieszkańcy Poroszina. Tak wygląda mocarstwo nuklearne, światowa potęga, przed którą sam kanclerz Scholz czuje respekt.

Dlaczego tak bardzo rozpisaliśmy się na ten temat? Rosję można i trzeba oceniać na podstawie takich historii,

eprasa.pl 4e935e4b41

Fot. Andrei Stepanov/Shutterstock.com

bo mówią o niej więcej niż suflowane przez nią propagandowe statystyki. Powiedzenie, że Rosja nigdy nie jest tak silna czy tak słaba, jak się wydaje, jest efektowne i ma jeden dodatkowy sens niż ten, który powszechnie mu się przypisuje. Ja uważam, że jest ona znacznie słabsza, niż się wydaje, a dla oceny jej stanu dużo bardziej przydatne są impresje i obrazki z jej piekielnego interioru, tonącej w fekaliach i błocie prowincji – głubinki niż dane banku centralnego czy Rosyjskiej Federalnej Służby Statystyki Państwowej.

Ci, którzy robią po krzakach i za garażem, nie podniosą głowy. I nie taki jest sens zaprowadzania sankcji. One nie sprawią, że żyjący w nędzy poddani zbuntują się i obalą reżim. Chodzi o to, by dzięki nim Rosja przestała funkcjonować, rozpadła się jak przegniły wychodek z dech. By nie zdołała prowadzić swej zbrodniczej polityki wojen. W 2015 r. do masowej produkcji miał wejść najnowszy rosyjski czołg T-14 Armata. Uniemożliwiły to sankcje nałożone jeszcze w 2014 r. po inwazji na Krym. Siergiej Czemiezow, szef Rostechu, który ma produkować to pancerne cudo, twierdzi, że to najlepszy czołg na świecie, a my pamiętamy, jak się rozkraczył w 2015 r. na paradzie na pl. Czerwonym. Prowadził go wtedy por. Anton Czeredniczenko, który już nie żyje, bo zginął śmiercią najeźdźcy na Ukrainie. Diana Kaledina, prezes pracującej dla wojska Bałtyckiej Kompani Przemysłowej, twierdzi, że Rosja nie wytwarza takich „mało atrakcyjnych rzeczy", jak łożyska, wrzeciona, śruby kulowe itp., w związku z czym nie jest w stanie prowadzić samodzielnie niemal żadnej produkcji. Teoretycznie mogłaby wytwarzać wspaniałą broń, ale nie ma czym. Jest więc jak w dowcipie z PRL: gdybyśmy umieli produkować cienką blachę, zasypalibyśmy świat naszymi konserwami mięsnymi. Ale nie mamy mięsa.

MYSZY NIE PRZEŻRĄ, A PODDANI NIECH PRZEPIJĄ

Analizy Chief Executive Leadership Institute Uniwersytetu w Yale mówią, że w wyniku wojny i sankcji Rosja bezpowrotnie straciła pozycję najsilniejszego gracza na rynku surowców strategicznych, a zwrot w kierunku Azji jest niewykonalny. W 2023 r. dochody firm naftowych i gazowych spadły o 23 proc., z czego z eksportu gazu aż o 65 proc. Opowieści o gigantycznej sprzedaży do Indii i Chin to mit. Nie ma tam jak transportować surowców i żadna flota cieni nie rozwiąże tego problemu. „The Moscow Times" właśnie podał, że załamało się też wydobycie węgla i rosyjskie górnictwo jest w najgorszym stanie od 30 lat. Czyli od czasów wielkiej smuty wczesnego Jelcyna.

Mimo wielu nieszczelności w sankcjach import kluczowych komponentów z Zachodu załamał się. Rosja nie jest w stanie zastąpić ich własnymi, więc wszystko powoli staje. Produkcja samochodów w 2023 r. była o 60 proc. niższa w porównaniu z 2021 r., pralek o 55 proc., telewizorów o 41 proc., opon o 30 proc. W miejsce zagranicznych biznesów, które się wycofały, nie narodzą się rosyjskie. Nie ma też kadr gotowych zastąpić setki tysięcy najbardziej utalentowanych pracowników i przedsiębiorców, którzy od początku wojny opuścili Rosję. Wycofanie się ponad 1 tys. największych firm świata z tego kraju oznacza potencjalną utratę nawet 40 proc. PKB, zaś poziom inwestycji zagranicznych cofnął się do tego sprzed 30 lat. To wszystko m.in. efekt sankcji.

One wykończą Rosję i tego się trzymajmy. Nie chodzi o to, że jej mieszkańcy, tonący w błocie i fekaliach, się zbuntują, tylko o to, by w nich utonęli. By samochody i pociągi nie jeździły, jak to było w przypadku pierwszego, ponoć całkowicie rosyjskiego składu kolei wielkich prędkości Finist, który stanął po tygodniu eksploatacji. By samoloty nie latały, a przegniłe chałupy się rozpadły. Niech wszystko przeżera wszechogarniająca korupcja, by Ukraińcy mogli rozwalać składy amunicji jak w Toropcu, gdzie schrony i magazyn nie wytrzymały, bo materiały na ich budowę i elementy systemu obrony zostały rozkradzione. Niech im się wszystko zawali, a to, co zostało, niech przepiją. Albo niech im myszy zeżrą – jak tamę w Orsku na rzece Ural. Tak przynajmniej władcy Rosji tłumaczyli poddanym, dlaczego toną w wiosennej powodzi. Wszystko przez myszy.

eprasa.pl 4e935e4b41

Informacja – klucz do bezpieczeństwa!

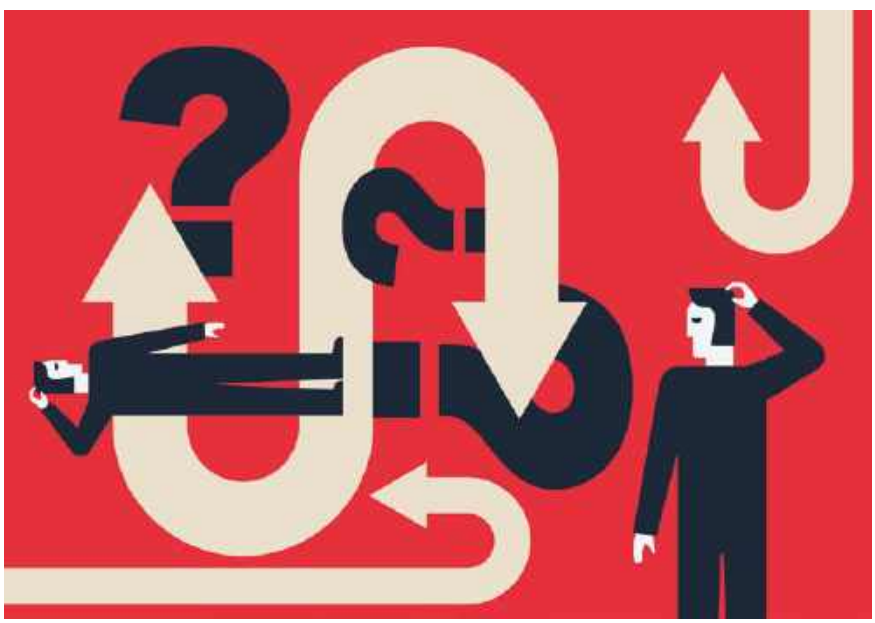

Od początku funkcjonowania rządu Donalda Tuska uwagę zwracała duża liczba pomyłek, wpadek i problemów z komunikacją rządową. Ktoś zapowiedział zmiany, które inny polityk koalicji dezawuował, ktoś inny informował, że rząd się wycofuje z jakiegoś planu, a zaraz potem premier tłumaczył, że to nieprawda, a w innym momencie wycofywał się z zapowiadanych przez siebie lub swoich kolegów zmian czy reform. Liczba odwoływanych zapowiedzi, zmian stanowiska rządu jest zaskakująco duża jak na krótki czas funkcjonowania gabinetu

Ten sposób funkcjonowania rządu to częściowo skutek decyzji o braku rzecznika prasowego, co powoduje, że nie ma centrum zarządzania informacją. Jednocześnie wygląda to na realizację potrzeb propagandowych Donalda Tuska, który jest i chce być jedynym rozgrywającym oraz decydentem w rządzie. Gra koalicjantami, chwali się sukcesami, znika, gdy są problemy, kiedy chce, jest „świadkiem" błędów innych, rugającym szefem albo sprawiedliwym sędzią. Zdaje się, że cała komunikacja rządowa została dostosowana do potrzeb premiera. Problem w tym, że za wspomnianymi uchybieniami kryją się realne i dużo poważniejsze zagrożenia, które już mają fatalne skutki, bardzo szkodliwe dla Polski i Polaków.

Brak spójnej komunikacji rządowej odbija się bowiem nie tylko na wizerunku rządu, lecz także na działaniach merytorycznych. Dziś wyraźnie widać, że brak systemu zarządzania komunikacją i informacją dotyczy również komunikacji wewnętrznej i rzutuje na sposób działania rządu. O ile komunikacja społeczna to głównie problem wizerunku, o tyle błędy w zarządzaniu informacją między strukturami państwowymi stanowią ogromny cios w Polskę, bezpieczeństwo państwa i obywateli.

PORAŻKA PAŃSTWA

Ten problem było widać w momencie zagrożenia powodziowego. Od początku września systematycznie pojawiały się informacje o zagrożeniach związanych z wielką wodą i zmianami w pogodzie. Sygnały takie docierały do władz Polski z instytucji europejskich, od synoptyków, a także z instytucji państwowych w naszym kraju, w tym Rządowego Centrum Bezpieczeństwa. Część z tych instytucji, jak RCB czy IMiGW, także publicznie ostrzegała Polaków o zagrożeniach związanych z pogodą. O tym, że sytuacja jest poważna, mógł się przekonać każdy, kto czytał również zagraniczne media. Już od pierwszych dni września media w Czechach i Niemczech zapowiadały bardzo groźną aurę. U naszych zachodnich sąsiadów pisano wręcz o „powodzi tysiąclecia" i ostrzegano, że może ona zagrozić nawet 400 tys. mieszkańców. Informacje wyprzedzające nie dawały pola do manewru – zagrożenie było oczywiste.

W tym samym czasie w Polsce nie podejmowano żadnych działań i decyzji, które miały szanse przygotować kraj na zagrożenie. Nie zrzucano prewencyjnie wody ze zbiorników retencyjnych, nie mobilizowano odwodów straży, wojska, policji i nie kierowano ich na miejsce przed powodzią. Nie przygotowywano zawczasu umocnień, by ochronić miejscowości zagrożone. Pierwsze dni były zupełną porażką państwa, które abdykowało. Co więcej, premier i podległe mu instytucje w żaden sposób nie prowadziły również spójnej komunikacji – zarówno wewnętrznej, jak i społecznej, by przygotować kraj na nadchodzące zagrożenie. Polacy usłyszeli od premiera, że „prognozy nie są zbyt alarmujące", lokalne władze zostały bez informacji o zagrożeniach, a społeczeństwo i służby uśpiono. Dziś znamy coraz więcej świadectw i relacji wskazujących, że władze

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 4e935e4b41

zagrożonych miast ani ich mieszkańcy nie były na bieżąco informowani o zagrożeniach. W efekcie w wielu miejscach ludzie dowiadywali się o idącej na miasto wodzie, np. z przerwanego wału, dopiero, gdy zobaczyli rzekę w środku miejscowości czy własnego domu. To sytuacja niedopuszczalna, groźna i kompromitująca władze odpowiedzialne za neutralizację zagrożeń. Państwo zawiodło w oczywisty sposób. Zawiodły instytucje odpowiedzialne za podejmowanie decyzji, przekazywanie informacji i wyciąganie wniosków. Okazało się, że system zarządzania informacją nie działa lub jest nieefektywny. I to niestety szerszy, powtarzający się problem.

BLAMAŻ RZĄDU

Te mechanizmy nie zadziałały również w znacznie mniej skomplikowanej sprawie. Gdy 1 sierpnia zatrzymany w 2022 r. w Polsce rosyjski szpieg, agent GRU Paweł Rubcow pojawił się w Moskwie, wybuchła afera. Dlaczego? Okazało się, że rząd nie dopełnił ciążącego na nim obowiązku i nie zadbał o ochronę interesów RP, w wyniku czego kilkanaście dni przed wylotem do Rosji prokuratura udostępniła Rubcowowi całość materiału dowodowego, który zgromadzono w śledztwie przeciwko niemu. Zapoznał się z materiałami jawnymi i niejawnymi w chwili, gdy było już wiadomo, że nasz kraj weźmie udział w wymianie więźniów między Rosją a Zachodem. Polska wyposażyła tego człowieka w wiedzę ze śledztwa kontrwywiadowczego i zgodziła się na jego wylot do Rosji.

Blamaż. Znów zawiodło zarządzanie informacją, za co winę ponoszą politycy zarządzający Polską. To premier albo któryś z ministrów jego rządu prowadził rozmowy z USA w sprawie udziału naszego kraju w wymianie więźniów. I to w kręgu rządowym podjęto decyzję, czy Polska wchodzi do tego układu. Gdy zapadła, należało tak zarządzać informacją, by ochronić polskie interesy. Od tego momentu Rubcowowi nie należało udostępniać żadnych materiałów, a tym bardziej całości materiału dowodowego, co niestety miało miejsce 16 lipca 2024 r. W tej sprawie nieudolność w zarządzaniu informacją wyrządziła konkretne szkody – tym razem państwu polskiemu, narażając kraj na dodatkowe zagrożenia ze strony Rosji. Materiały pokazane Rubcowowi trafiły do rosyjskiego wywiadu i zostaną wykorzystane na rzecz walki z Polską. Odezwały się te same zaniedbania i błędy, co w momencie powodzi zbliżającej się do naszego kraju.

> O ile komunikacja społeczna to głównie problem wizerunku, o tyle błędy w zarządzaniu informacją między strukturami państwowymi stanowią ogromny cios w Polskę, bezpieczeństwo państwa i obywateli

Polska zapłaciła szokującą cenę za inny blamaż rządu związany z zarządzaniem informacjami. Sprawa była o tyle dramatyczna, że kosztowała życie żołnierza, a zdrowie jego towarzyszy broni strzegących granicy RP z Białorusią. Rząd znów nie podjął na czas należytych działań, a informacje o zagrożeniach zbagatelizował. O co chodzi? O śmierć Mateusza Sitka, polskiego żołnierza, który został zaatakowany przez terrorystę na granicy z Białorusią. Atak miał miejsce w maju 2024 r., ale ta historia zaczęła się dużo wcześniej. Jak ujawnił *post factum* ówczesny szef MSWiA Marcin Kierwiński, na początku 2024 r. Straż Graniczna informowała, że na granicy z Białorusią dochodzi do coraz większej liczby groźnych incydentów, a migranci atakujący polską granicę i służby nie reagują na strzały ostrzegawcze, przechodzą bowiem nowe szkolenia na Białorusi. Wniosek był oczywisty – rozpoczyna się nowy etap operacji przeciwko Polsce i planuje się zaostrzenie działań przeciwko naszemu krajowi. To powinno zostać odczytane jako potrzeba wzmocnienia naszych działań i zmiany taktyki wobec atakujących. Nic takiego się nie stało. Zamiast tego podjęto decyzję o powołaniu zespołu prokuratorskiego, który do dziś szuka jakichś przestępczych działań ludzi broniących granicy, rząd zaczął wysyłać na patrole małe grupki żołnierzy, policjantów na tzw. pasek bez broni i dokonał spektakularnego zatrzymania mundurowych podejrzanych o przekroczenie uprawnień na granicy. Dodatkowo na zupełnie nowych zasadach zbudował współpracę z tzw. aktywistami, których działalność szkodzi Polsce od początku tej operacji hybrydowej.

Skutek? Zamiast umacniać działania, ochronę granicy, pokazaliśmy, że jesteśmy słabi i nie podejmujemy potrzebnych kontrakcji. Rząd sparaliżował działania ochronne. Chwilę później cenę za to zaczęli płacić polscy żołnierze i funkcjonariusze, brutalnie atakowani w kolejnych tygodniach. Jeden taki atak był śmiertelny. W tej sprawie znów zawiódł system komunikacji wewnętrznej oraz zarządzanie informacjami. To obciąża rząd. I pokazuje, że błędy w tym obszarze przynoszą dramatyczne skutki.

Powódź pokazała wiele błędów i zaniechań rządu. Nie sprostał on wyzwaniu i nie podjął na czas działań przygotowujących Polskę i Polaków na zagrożenie. Wynika to z systemowych zaniedbań i błędów w systemie zarządzania informacjami. Te same problemy już rodziły fatalne skutki. Dziś w komunikacji społecznej rządzący skupiają się na zarządzaniu kryzysem i chcą uniknąć politycznych kosztów blamażu. Jednak bez realnych zmian w sposobie zarządzania informacją i wprowadzenia merytorycznej rewolucji w tym obszarze rząd niczego nie usprawni i nie naprawi. A kolejne kompromitacje i zagrożenia dla Polaków będą kwestią czasu. Wyzwań nie brakuje...

Stanisław Żaryn
Autor jest doradcą prezydenta RP, prezesem Fundacji Instytut Bezpieczeństwa Narodowego

eprasa.pl 4e935e4b41

Ośmiogwiazdkowy wstyd

„Aktywiści" – tak swoich zadymiarzy awanturników nazywają ośmiogwiazdkowcy

JERZY SZMIT

W oczach opinii publicznej mają być bezinteresowni i ideowi. Jednocześnie walka z Prawem i Sprawiedliwością usprawiedliwia ich kłamstwa, łamanie prawa, fizyczne ataki, hejt, pokazy pogardy, groźby. Usprawiedliwia działanie na szkodę Polski i Polaków. Ich najważniejsze cechy to nienawiść i brak wstydu. A brak wstydu uruchamia to co najgorsze – świadome używanie kłamstwa i wyrządzanie krzywdy, aby zaszkodzić tym, których nienawidzą.

AKTYWIŚCI NAJWYŻSZEGO SZCZEBLA

Ośmiogwiazdkowcy domagali się od Unii Europejskiej zatrzymania wypłat z Krajowego Planu Odbudowy. Pieniądze (prawie 60 mld euro) są przeznaczone dla polskiej gospodarki – dla Polaków. Przedstawiciele ówczesnej ośmiogwiazdkowej opozycji głośno krzyczeli, aby nie przekazywać Polsce należnych jej środków. Zwłoka w ich transferze, nieudolność w zagospodarowaniu i kolosalny bałagan, jaki tworzy Donald Tusk, spowodują, że znaczna część tych funduszy nie zostanie wykorzystana.

Chaos i anarchia w wymiarze sprawiedliwości wywołane przez bodnarowców uderzają w obywateli. Ośmiogwiazdkowcy powtarzają, że prokurator nie jest prokuratorem, a sędzia nie jest sędzią. Z entuzjazmem przyjmują to bandyci i ich adwokaci. Zgłaszają wnioski o wyłączenie sędziów i prokuratorów. Zyskują czas, unikają kary i zadośćuczynienia ofiarom ich czynów. Interes poszkodowanych nie ma znaczenia. Bodnar rządzi w imię zemsty, a nie w imię sprawiedliwości.

Minister zdrowia wydaje rozporządzenie ułatwiające zabijanie nienarodzonych dzieci. Jednocześnie nie zważa na pojawiające się groźby zamykania czy ograniczania działalności placówek służby zdrowia z powodu braku pieniędzy.

Minister klimatu przygotowuje projekt ustawy, która zezwoli na budowanie farm wiatrowych na 25 proc. powierzchni Polski! Gdyby nie było ostrych protestów, nowe regulacje umożliwiłyby zamianę Polski w wiatrakolandię. Choć oczywiście branża wiatrakowa i sprzyjające jej (zapewne bezinteresownie) media biją brawo.

To samo Ministerstwo Klimatu i Środowiska. W lipcu 2024 r. ogłosiło, że zrezygnuje z prac nad uregulowaniem Odry i przygotowuje strategię jej renaturyzacji, czyli pozostawieniu rzeki bez ingerencji i wpływu człowieka. W wyniku powodzi pani minister zmieniła jednak zdanie. Dostrzegła potrzebę regulacji, ochrony ludzi i obszarów w zasięgu oddziaływania rzeki. Jednak wcale się nie zdziwię, jeśli resort wróci do strategii renaturyzacji, czyli nicnierobienia, kiedy skutki powodzi będą mniej odczuwalne.

Centralny Port Komunikacyjny był histerycznie atakowany przez ośmiogwiazdkowców. Wielokrotnie powtarzali, że zakończą ten projekt, który „wykracza ponad skalę Polski". Jednak w samym obozie ośmiogwiazdkowej władzy ujawnili się zwolennicy CPK z Szymonem Hołownią na czele. Posłanka Lewicy Paulina Matysiak staje w tej kwestii w jednym szeregu z Marcinem Horałą i ostro walczy z Włodzimierzem Czarzastym. W tej sytuacji krętactwo Tuska osiągnęło jeszcze wyższy poziom. Ogłosił, że CPK będzie, ale w innej skali, z ograniczoną liczbą połączeń kolejowych. Na dodatek lotnisko Chopina w Warszawie ma być rozbudowane.

W ostatnich dniach ogłoszono rewelację: CPK będzie polonizowane. Zagraniczne firmy uczestniczące w projekcie zostaną zastąpione polskimi. Przewrotny ruch propagandowy. W konsekwencji oznacza opóźnienie prac o kilka lat. Przy wielkich inwestycjach nie da się bez straty czasu jednych wyrzucić z dnia na dzień, a drugich przyjąć i podkręcić tempo prac.

Listę takich przykładów można wydłużać. Dotyczą one ośmiogwiazdkowych aktywistów najwyższego szczebla: premiera, ministrów. Gdzie są wstyd i przyzwoitość?

AKTYWIŚCI WYKONAWCZY

Równie ciekawe postacie tworzą ośmiogwiazdkową ferajnę wykonawczą.

Zacznę od showmana – Jerzego Owsiaka. Co roku chwali się, że zbiera coraz więcej pieniędzy na bardzo szczytny cel. Jako szef organizacji podającej się za charytatywną powinien być całkowicie apolityczny. Wiemy, jak to wygląda.

eprasa.pl 4e935e4b41

Fot. Aleksandra Kossowska/Shutterstock.com

Przez wiele lat działalność Owsiaka była wspierana przez instytucje publiczne, zaczynając od telewizji, przez samorządy, na policji i wojsku kończąc. Dzięki temu w konglomeracie prywatnych firm dysponuje on setkami milionów złotych, z których korzysta, zatrudniając siebie, rodzinę i znajomych. Na pytanie, jak wygląda obrót pieniądza między owsiankowymi spółkami, fundacjami i stowarzyszeniami reaguje bardzo nerwowo, z pozwami sądowymi włącznie.

Na drugim biegunie – Mateusz Kijowski, inicjator i założyciel Komitetu Obrony Demokracji. Uruchomiony przez niego KOD błyskawicznie stał się najdynamiczniejszym i najliczniejszym środowiskiem ośmiogwiazdkowców. „Gazeta Wyborcza" mile widziałaby przekształcenie KOD w kluby „GW" (na wzór Klubów „Gazety Polskiej"). Działacze PO klaskali, tupali, podskakiwali, wrzeszczeli „j...ć PiS" na wiecach KOD. Szybko przyszło opamiętanie. Co się stanie, gdyby KOD-owcy chcieli zstąpić starych działaczy PO? Mateusz Kijowski sam rozwiązał problem. Gdy do KOD popłynęły pieniądze ze zbiórek, ktoś z Komitetu sprawdził, jak są one wydawane. Okazało się, że sporo z nich popłynęło do szefa, Mateusza Kijowskiego, za wystawione przez jego firmę faktury. Zwykle takie sprawy załatwia się w swoim gronie, tym razem sprawa poszła do prokuratury, potem krążyła po sądach. W czerwcu 2024 r. zapadł prawomocny wyrok – osiem miesięcy więzienia w zawieszeniu na dwa lata za „poświadczenie nieprawdy w fakturach wystawionych za rzekomą obsługę informatyczną KOD". Kijowski zapowiada złożenie kasacji. Cóż z tego, razem z KOD zszedł ze sceny.

Rafał Gaweł – twórca i szef Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych. Prze długie lata oskarżał, donosił, atakował ludzi i instytucje, które sobie upatrzył. Uczynił z tego sposób na życie. Przy każdej okazji twierdził, że jest bezinteresownym, apolitycznym aktywistą, „a „jedynym źródłem utrzymania są dobrowolne donacje naszych zwolenników", o które zabiegał przy każdej okazji. Pieniędzy zawsze brakowało.

> Rafał Gaweł, twórca i szef Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, przez długie lata oskarżał, donosił, atakował ludzi i instytucje, które sobie upatrzył. Uczynił z tego sposób na życie

W 2014 r. prokuratura postawiła Gawłowi długą listę zarzutów dotyczącą dokonanych przez niego oszustw i wyłudzeń. Poszkodowanymi były urzędy, bank, firmy, fundacje, przedsiębiorcy. W 2019 r. prawomocnym wyrokiem został skazany na dwa lata bezwzględnego pozbawienia wolności. Złożony przez niego wniosek kasacyjny Sąd Najwyższy uznał za „oczywiście bezzasadny". Gaweł powinien trafić do więzienia, ale czmychnął do Norwegii. Tam przedstawił się jako represjonowany politycznie przez polskie sądy. Uzyskał azyl polityczny. Otworzył drogę dla innych skazanych w Polsce przestępców. Nadal atakuje, deprecjonuje i oskarża Polskę i Polaków. Prezydenta Andrzeja Dudę pozwał za to, że ten przypomniał głosy oburzenia przedstawicieli Straży Granicznej na film „Zielona granica".

„Ten człowiek... naprawdę z wieloma oskarżonymi miałem do czynienia, ale pierwszy raz widzę osobę, która, postępując w taki sposób, jest w stanie, stając przed kamerą czy też udzielając wywiadu mediom, atakować prokuraturę, zarzucać bezprawne działania osobom, które mają w tej sprawie status pokrzywdzonych, a siebie wybielać. Doprawdy, to jest wręcz niepojęte" – powiedział, sędzia Sławomir Cilulko w ustnym uzasadnieniu motywów pierwszego wyroku wydanego przez Sąd Okręgowy w Białymstoku 14 lipca 2016 r.

Kilka dni temu zatrzymano Janusza P., wielkiego przyjaciela Donalda Tuska, byłego wiceprzewodniczącego Platformy Obywatelskiej. Brakuje 70 mln zł pożyczonych od 5 tys. osób na rozwój firmy. Brał pieniądze z pełną premedytacją, łudząc wysokimi zyskami i supernagrodami. Nie ma nagród, zysków i pieniędzy. Oczywiście nie ma też wstydu.

Ośmiogwiazdkowi „aktywiści" uważają, że mogą kłamać, oszukiwać, prowokować, krzywdzić i poniżać innych, działać na szkodę narodu i państwa. Frajerzy mają im dostarczyć pieniądze na wygodne życie.

eprasa.pl 4e935e4b41

Legendarny „Rój” odnaleziony?

Poszukiwania sierż. Mieczysława Dziemieszkiewicza przez długi czas nie przynosiły rezultatu. Przełom nastąpił kilka lat temu, kiedy odnaleźliśmy wyjątkowy artefakt

Z prof. Krzysztofem Szwagrzykiem, zastępcą prezesa Instytutu Pamięci Narodowej, dyrektorem Biura Poszukiwań i Identyfikacji IPN, rozmawia Stanisław Płużański

Fot. IPN, Andrzej Wiktor

Na festiwalu NNW w Gdyni podczas panelu powiedział pan, że na 99 proc. udało się odnaleźć szczątki „Roja”. Czego potrzeba, żeby ta pewność wzrosła do 100 proc.?

Krzysztof Szwagrzyk: Prawdopodobieństwo, że zostały odkryte szczątki sierż. Mieczysława Dziemieszkiewicza, jest bardzo wysokie. Do uzyskania absolutnej pewności niezbędne są wyniki badań genetycznych. To one przesądzają o identyfikacji, jak we wszystkich prowadzonych przez nas pracach poszukiwawczych. Ich pozytywne wyniki powodują, że ogłaszamy dane osobowe odnalezionych ludzi na konferencjach identyfikacyjnych IPN. W tym przypadku nie było oficjalnej informacji, że słynny „Rój” został odnaleziony. Ujawniliśmy natomiast wyniki naszych prac historycznych, analiz, które dają nam podstawy do tego, żeby stwierdzić, tak jak to miało miejsce na festiwalu NNW w Gdyni, że wszystko wskazuje na to, iż szczątki „Roja” zostały odnalezione na terenie warszawskiej „Łączki”.

W jaki sposób szczątki „Roja” trafiły do Warszawy?

13 kwietnia 1951 r., kiedy „Rój” zginął razem ze swoim najbliższym współpracownikiem Bronisławem Gniazdowskim

eprasa.pl 4e935e4b41

„Mazurem", zwłoki obu partyzantów były fotografowane na miejscu, w okolicach kolonii Szyszki w gminie Kozłowo pod Pułtuskiem. Następnie zostały przewiezione na teren siedziby Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Pułtusku, gdzie były powtórnie fotografowane. Zachowało się wiele zdjęć z tej sesji. Tam zwłoki były rozpoznawane przez zatrzymanych przez UB i KBW podkomendnych „Roja", którzy potwierdzali, że to ich dowódca. Dokonano także oględzin lekarskich, po których pozostały dwa protokoły. Dowiadujemy się z nich, jakie rany spowodowały śmierć obu partyzantów, a także jakie mieli na sobie mundury w momencie dokonania oględzin. Są tam również informacje, gdzie potem przekazano zwłoki. W przypadku „Mazura" był to PUBP w Pułtusku, a w przypadku „Roja" – WUBP w Warszawie.

Jak wyglądało poszukiwanie „Roja" i co sprawia, że mimo braku badań genetycznych można powiedzieć, że prawie na pewno został odnaleziony?

Przez długi czas sprawdzaliśmy wszystkie możliwe miejsca, gdzie po przywiezieniu do Warszawy mógł być pogrzebany „Rój". Nie było zapisów, które by wskazywały, w którym miejscu znalazły się jego zwłoki, czy na jednym z cmentarzy, czy w zakładach anatomii. Poszukiwania nie przynosiły jednak rezultatu. Przełom nastąpił kilka lat temu, kiedy powtórnie analizowaliśmy zebrane w tej sprawie materiały, także wyniki prac w kwaterze „Ł". Analizowaliśmy przedmioty, które tam znaleźliśmy. Wówczas okazało się, że na „Łączce", gdzie w latach 40. i 50. pogrzebano kilkaset ludzi straconych w więzieniu przy Rakowieckiej, w 2017 r. odnaleźliśmy wyjątkowy artefakt. Był to orzełek w kształcie przypominającym wzór powojennej milicji. W rzeczywistości był noszony przez przedwojenną policję. Na jednym ze zdjęć wykonanych w PUBP w Pułtusku na berecie na głowie „Roja" widzimy właśnie takiego orzełka w koronie oraz widoczną naszywkę z trupią czaszką. Kiedy sięgnęliśmy do niego powtórnie, na fragmencie zachowanego sukna obok tego orzełka znaleźliśmy ślady po szyciu maszynowym. Układały się one w kształt trupiej czaszki. Ponadto pod spodem znajdowały się dwa przyszycia przypominające piszczele, które były pod czaszką. Ten przełom spowodował, że kontynuowaliśmy badania. Mężczyzna znajdujący się w dole, przy którym znaleźliśmy fragment beretu z orzełkiem, miał przy sobie medalik. Na zdjęciach z Pułtuska „Rój" także miał przy sobie medalik, który wystawał spod munduru. Znaleźliśmy również charakterystyczną patkę z kołnierza. Z czasem okazało się, że również wiek osoby, ustalony przez naszych antropologów, jest zbieżny z wiekiem „Roja". Istnieje jeszcze jedna bardzo ważna przesłanka, o której trzeba powiedzieć. Dół, w którym prowadziliśmy poszukiwania w 2013 r., znajdował się na obszarze „Łączki", tuż obok asfaltowej drogi. Zaledwie metr obok tego miejsca znajdował się inny dół śmierci ze szczątkami czterech mężczyzn. Wśród nich był mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka". Pamiętając, że egzekucję na nim i całej grupie kierującej Okręgiem Wileńskim AK wykonano 8 lutego 1951 r., można było założyć, że kolejne szczątki mogły być pogrzebane obok na wiosnę tego roku. Wszystkie to spowodowało, że uznaliśmy, iż jest odpowiedni czas na to, by poinformować o tym opinię publiczną na festiwalu NNW w Gdyni. Przyznać, że szczątki st. sierż. Mieczysława Dziemieszkiewicza „Roja" po badaniach w PUBP Pułtusku i w WUBP w Warszawie najprawdopodobniej zostały przewiezione na „Łączkę" i tam pogrzebane.

Dlaczego komuniści zdecydowali się na przewiezienie „Roja" do Warszawy, mimo iż wcześniej został już zidentyfikowany?

Myślę, że wynikało to z wyjątkowych starań UB, żeby w absolutny i niepodważalny sposób potwierdzić tożsamość „Roja". W tym przypadku istotna jest sytuacja, która miała miejsce na północnym Mazowszu blisko rok wcześniej. W czerwcu 1950 r. w okolicy miejscowości Popowo Borowe w wyniku szeroko zakrojonych działań UB i KBW doszło do likwidacji czterech członków patrolu podległego „Rojowi". Zachowały się dokumenty, w których UB informuje Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego o tym, że zlikwidowano czterech członków oddziału „Roja", w tym samego dowódcę. Była to nieprawda oznaczająca kompromitację UB. Sądzę, że pamiętając o tej sytuacji, chciano za wszelką cenę uzyskać pewność, że tym razem zabito samego dowódcę, a nie kogoś, kto był podobny do „Roja". Dlatego kilkunastu ludzi było zmuszonych do rozpoznawania zwłok Dziemieszkiewicza zarówno w Pułtusku, jak i w Warszawie, także za pomocą badań przeprowadzonych przez specjalistów Centralnego Laboratorium Ekspertyz MBP. Ta niespotykana skala działań, które prowadzono wobec zabitego już partyzanta w celu potwierdzenia jego tożsamości, pokazuje, jak ważną i jednocześnie groźną dla komunistów postacią był „Rój".

Marek Dziemieszkiewicz, kuzyn „Roja", przekonuje, że UB pokazał zwłoki jego matce także po to, żeby w ten sposób się nad nią znęcać.

Na pewno tak. Wszystkie rodziny żołnierzy wyklętych ponosiły ogromne konsekwencje z faktu samego pokrewieństwa. Wiemy, jak często członkowie rodziny „Roja" byli represjonowani, przekonywani w różny sposób do współpracy. Jego matkę, co zresztą zostało zaprotokołowane, komuniści przewieźli do Warszawy, do WUBP, i pokazywali jej ciało zabitego syna, mówiąc do niej: „Kogo widzicie przed okazanym wam ciałem bandyty?". Taki był stosunek ubeków do ofiary, ale także do żyjących członków jego rodziny.

Czy na „Łączce" może się znajdować więcej osób, które nie zostały zamordowane w więzieniu przy ul. Rakowieckiej?

Zdecydowanie tak. Na powązkowskiej „Łączce" w wielu miejscach odnajdywaliśmy szczątki ludzi, którzy nie mogli być więźniami. Mieli oni ślady po strzałach, które powstały w wyniku walki, były przy nich także różnego rodzaju rzeczy osobiste. Musieli więc zginąć podczas jakichś akcji i zaraz po tym zostali pogrzebani na „Łączce". Poza tymi, którzy zostali straceni przy Rakowieckiej na podstawie wyroków sądowych, została pogrzebana nieznana jeszcze liczba żołnierzy podziemia. „Rój" jest pierwszą osobą, co do której mamy wystarczająco dużo dowodów, żeby przywołać jego imię i nazwisko, zastrzegając, że nie ma jeszcze identyfikacji. Co do innych – mamy pewne typy, czyje to mogą być szczątki, ale jeszcze zbyt mało podstaw, które by dawały nam tak duże prawdopodobieństwo identyfikacji.

eprasa.pl 4e935e4b41

Purpurowa fala

Czym się kierował Franciszek, wybierając do Kolegium Kardynalskiego 21 nowych członków?

GRZEGORZ GÓRNY

Cztery dni po rozpoczęciu synodu ds. synodalności w Watykanie papież Franciszek ogłosił, że 8 grudnia zwoła konsystorz, podczas którego kreuje 21 nowych kardynałów. Przedstawiona przez niego lista nominatów wywołała duże zaskoczenie w katolickim świecie. Okazało się, że Jorge Mario Bergoglio po raz kolejny zignorował obowiązujące w Kościele normy.

Paweł VI w konstytucji apostolskiej „Romano Pontifici Eligendo" ustalił bowiem limit kardynałów elektorów (czyli mających prawo wyboru papieża) na 120. Franciszek zwiększył jednak ich liczbę do 141 bez uprzedniej zmiany istniejących przepisów. Dokonując tego wyboru, po raz kolejny zlekceważył też metropolie będące „stolicami kardynalskimi", których ordynariuszom tradycyjnie przysługiwał czerwony biret. Do takich pominiętych archidiecezji należą m.in. Mediolan, Wenecja, Neapol, Genua, Paryż, Los Angeles, Berlin, Zagrzeb, Dublin, Edynburg czy Seul. W swych decyzjach papież z Argentyny kieruje się więc innymi kryteriami niż jego poprzednicy. Jakimi?

CZARNOSKÓRZY NA MARGINESIE

Od początku pontyfikatu Franciszek głosi, że chce promować ubogi Kościół z peryferii. Jego polityka kadrowa przeczy jednak tym deklaracjom. Wśród 21 nowych purpuratów znalazł się tylko jeden hierarcha z Afryki Subsaharyjskiej – najbiedniejszego regionu świata, a zarazem notującego największy przyrost katolików na naszym globie. Wspomniany zaszczyt spotkał czarnoskórego abp. Ignace'a Bessiego Dogbę z Wybrzeża Kości Słoniowej.

Według wielu watykanistów pominięcie Czarnego Lądu było karą za postawę tamtejszych biskupów w sprawie „Fiducia supplicans". Chodzi o watykańską deklarację z grudnia 2023 r., która zezwalała na błogosławienie przez księży par homoseksualnych. Większość episkopatów Afryki zdecydowanie odrzuciła dokument Stolicy Apostolskiej, oświadczając, że nie podporządkuje się tym zaleceniom. Co więcej, na trwający obecnie w Rzymie synod czarnoskórzy dostojnicy udali się z mocnym postanowieniem, by bronić odwiecznego nauczania Kościoła w sprawach rodziny, małżeństwa i etyki seksualnej.

W odpowiedzi w Watykanie zapadła decyzja, by zmniejszyć udział procentowy hierarchów afrykańskich w Kolegium Kardynalskim i jeszcze bardziej zmarginalizować głos Czarnego Lądu. W ten sposób Afryka Subsaharyjska będzie miała najmniejszą liczbę kardynałów od czasu soboru watykańskiego II. Warto dodać, że dziś na czele watykańskich urzędów nie ma żadnego czarnoskórego hierarchy – za pontyfikatów Jana Pawła II czy Benedykta XVI takie funkcje pełnili Francis Arinze z Nigerii, Peter Turkson z Ghany czy Robert Sarah z Gwinei.

FAWORYT Z ALGIERU

Na tym tle symptomatycznie wygląda nominacja dla abp. Jeana-Paula Vesco z Algierii, francuskiego dominikanina, któremu podlega zaledwie 4 tys. wiernych. Wielu proboszczów w Polsce ma liczniejsze parafie od kierowanej przez niego diecezji. Swych kardynałów nie mają ani Kamerun (4 mln katolików), ani Benin (3 mln). Episkopaty tych dwóch krajów zdecydowanie sprzeciwiły się jednak błogosławieniu związków homoseksualnych.

Kontrastuje to z postawą abp. Vesco. Kiedy większość biskupów Afryki od-

Fot. Marco Iacobucci Epp/Shutterstock.com

eprasa.pl 4e935e4b41

rzuciła „Fiducia supplicans", z odsieczą Franciszkowi pospieszył właśnie hierarcha z Algieru. Zorganizował grupę hierarchów z Afryki Północnej, głównie białych Europejczyków z krajów arabskich, którzy oświadczyli oficjalnie, że w odróżnieniu od swych czarnoskórych współbraci w biskupstwie z południa będą błogosławić pary jednopłciowe.

Oprócz tego francuski dominikanin zasłynął z poparcia dla diakonatu kobiet oraz dopuszczenia do Eucharystii osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach. W niedawnym wywiadzie dla szwajcarskiego portalu cath.cz powiedział: „Musimy pozbyć się pomysłu, że powinniśmy ewangelizować, umożliwiać innym dostęp do naszej prawdy, a jednocześnie musimy zaakceptować fakt, że w islamie może być także część prawdy, która nam umyka". Abp Vesco został więc nagrodzony, gdyż doskonale wpisuje się w linię programową obecnego pontyfikatu.

POLICZEK DLA SZEWCZUKA

Ogłaszając listę nowych kardynałów, Franciszek już po raz 10 pominął głowę Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego abp. Swiatosława Szewczuka. Obaj duchowni znają się jeszcze z czasów argentyńskich, ponieważ urodzony w Stryju dostojnik w latach 2009–2011 był biskupem pomocniczym eparchii w Buenos Aires, skupiającej ukraińskich emigrantów. Kiedy w 2013 r. Jorge Mario Bergoglio został papieżem, wydawało się, że abp Szewczuk, który od dwóch lat stał już wówczas na czele ukraińskich grekokatolików, szybko otrzyma kardynalski biret. Purpuratami byli przecież jego poprzednicy: Josyf Slipyj, Myrosław Lubaczywski i Lubomyr Huzar. Stało się jednak inaczej.

Abp Szewczuk nie okazał się faworytem Franciszka co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, jako teolog moralny specjalizował się w teologii ciała według Jana Pawła II. Jako wielki zwolennik myśli Karola Wojtyły zachowywał więc dystans wobec pomysłów zrewolucjonizowania katolickiej etyki seksualnej. Najbardziej wyrazistym tego przejawem było odrzucenie „Fiducia supplicans". W specjalnie opublikowanym oświadczeniu ukraiński dostojnik stwierdził, że błogosławieństwa związków homoseksualnych w żaden sposób nie da się pogodzić z dziedzictwem liturgicznym, teologicznym, kanonicznym i duchowym Kościołów Wschodnich.

Drugim powodem rozejścia się dróg obu duchownych był ich stosunek do Moskwy i wojny na Ukrainie. Już w 2016 r., gdy Franciszek z patriarchą Cyrylem wspólnie ogłosili deklarację hawańską, abp Szewczuk skrytykował watykańską dyplomację za zbytnie uleganie Kremlowi. Sytuacja zaostrzyła się po pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę. Duchowy przywódca grekokatolików musiał wielokrotnie publicznie dystansować się od stanowiska papieża, które nie raz wywoływało powszechne oburzenie na Ukrainie.

> Na poparcie Franciszka mogą liczyć zwolennicy rewolucji teologicznej w Kościele, o czym przekonuje wybór do Kolegium Kardynalskiego o. Timothy'ego Radcliffe'a, brytyjskiego dominikanina, który dał się poznać jako jeden z największych zwolenników LGBT+ w Kościele

Pominięcie abp. Szewczuka byłoby kolejnym afrontem wobec niego, do czego Franciszek zdążył nas już przyzwyczaić. Papież podjął jednak decyzję, którą wielu watykanistów odebrało wprost jako siarczysty policzek wymierzony wspomnianemu dostojnikowi. Papież kreował bowiem na kardynała 44-letniego Mykołę Byczoka, który zaledwie cztery lata temu został biskupem, a obecnie stoi na czele eparchii w Melbourne, gromadzącej ukraińskich emigrantów w Australii i Oceanii. Dla porównania: nowemu purpuratowi na Antypodach podlega zaledwie 17 parafii liczących łącznie ok. 30 tys. dusz, natomiast abp Szewczuk jako głowa Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego ma pod swą opieką 5 mln wiernych.

OSOBISTE SYMPATIE

Na poparcie Franciszka mogą liczyć zwolennicy rewolucji teologicznej w Kościele, o czym przekonuje wybór do Kolegium Kardynalskiego o. Timothy'ego Radcliffe'a, brytyjskiego dominikanina, który dał się poznać jako jeden z największych zwolenników LGBT+ w Kościele. Opowiada się on nie tylko za zmianą nauczania Kościoła w sprawie homoseksualizmu, lecz także nad przemyśleniem na nowo kwestii kapłaństwa kobiet. Nieprzypadkowo to właśnie jemu papież powierzył wygłoszenie rekolekcji otwierających watykański synod ds. synodalności.

Poza tym Franciszek kieruje się w swoich wyborach przede wszystkim osobistymi sympatiami lub antypatiami. Tym można tłumaczyć kilka jego innych nominacji. Jednym z kardynałów został np. ks. George Jacob Koovakad z Indii, 51-letni watykański urzędnik Sekretariatu Stanu, który odpowiada za organizację pielgrzymek apostolskich. Podczas wspólnych podróży papież bardzo go polubił i wynagrodził odzianiem w purpurę. Innym faworytem okazał się kolejny watykański urzędnik, 59-letni ks. Fabio Baggio z Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. Ten z kolei ujął Franciszka swym zaangażowaniem na rzecz nielegalnych imigrantów. Następnym z nieoczywistych wybrańców papieża jest 52-letni Litwin Rolandas Makrickas, który w ub.r. został wyświęcony na biskupa, a w marcu br. objął obowiązki archiprezbitera koadiutora bazyliki Santa Maria Maggiore w Rzymie. Jest to o tyle ważne, że Franciszek zażyczył sobie, aby pochować go właśnie w tej świątyni, a nie w bazylice św. Piotra. Oznacza to, że organizatorem uroczystości pogrzebowych będzie litewski duchowny w randze kardynała.

Poprzez ostatnie nominacje Franciszek po raz kolejny pokazał swój skrajny woluntaryzm. Znikły czytelne zasady wyboru, którymi kierowali się jego poprzednicy. Dziś liczy się tylko wola władcy.

eprasa.pl 4e935e4b41

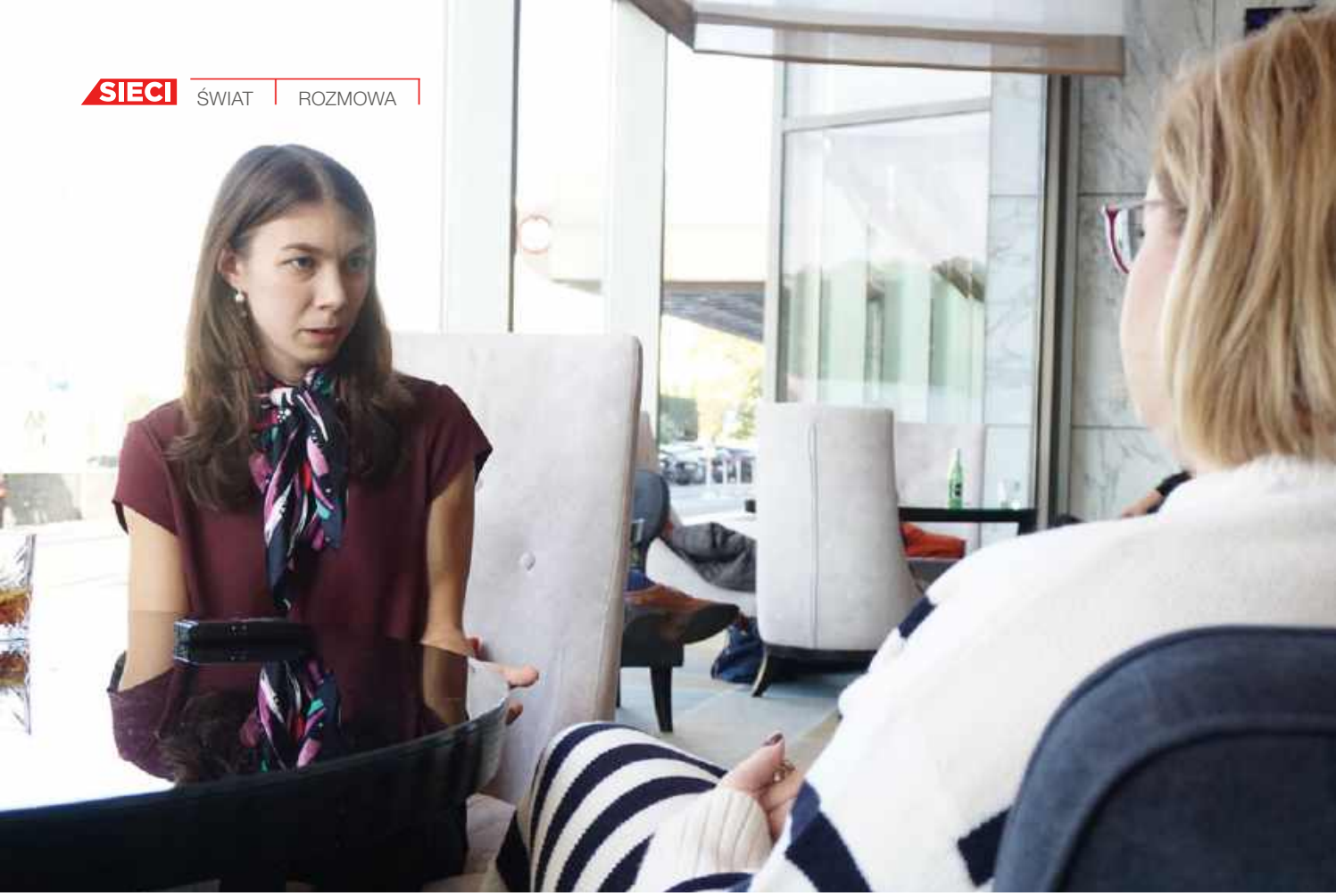

Wrogość wobec chrześcijan wzrasta

Polska znalazła się wśród trzech krajów w Europie z największą liczbą antychrześcijańskich ataków. Gdy politycy mówią o opiłowywaniu przywilejów katolików, niektórzy obywatele mogą się czuć zachęceni do tego, by przejść do czynów

Z Anją Hoffmann, dyrektor wykonawczą Obserwatorium przeciwko Nietolerancji i Dyskryminacji Chrześcijan w Europie (OIDAC), którego celem jest sygnalizowanie na forum Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie przestępstw motywowanych nienawiścią wobec chrześcijan, rozmawia Aleksandra Rybińska

„Jedyny kościół, który oświeca, to ten, który płonie" – było jednym z haseł przewodnich komunistów walczących w hiszpańskiej wojnie domowej w latach 30. XX w. Teraz ponownie wróciło do łask, m.in. w mediach społecznościowych. Wolność religijna maleje w Europie?

Anja Hoffmann: OIDAC działa od 12 lat i w tym okresie odnotowaliśmy wyraźny wzrost przemocy wobec chrześcijan. Z jednej strony wzrosła liczba przestępstw motywowanych nienawiścią, w tym brutalne, fizyczne ataki na wyznawców Chrystusa. Z drugiej strony mnożą się akty wandalizmu skierowane przeciwko kościołom i cmentarzom. A wszystko

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 4e935e4b41

to na tle ograniczania praw chrześcijan, włączając w to ustawy uchwalane w rożnych krajach Europy w celu walki z mową nienawiści. Nierzadko kończą się one postawieniem przed sądem chrześcijan, jak w przypadku byłej szefowej MSW Finlandii Päivi Räsänen, która skrytykowała poparcie miejscowego Kościoła luterańskiego dla ruchu LGBTQ+, okraszając swoje stanowisko cytatami z Biblii. Sprawa trafiła do Sądu Najwyższego. Ta presja prowadzi do autocenzury. Badania przeprowadzone na uczelniach w Wielkiej Brytanii wykazały, że studenci oraz wykładowcy o poglądach bardziej konserwatywnych wolą milczeć, niż wypowiadać się publicznie. Ze strachu przed konsekwencjami. Jak wykazało badanie Instytutu Allensbacha, w Niemczech już tylko 40 proc. obywateli uważa, że może się swobodnie wypowiadać. To rekordowo niski poziom.

Jednocześnie Kościół boi się zwracać uwagę na tę przemoc. We Francji episkopat woli milczeć na temat ponad tysiąca ataków na kościoły katolickie i obiekty chrześcijańskiego kultu religijnego odnotowanych w 2023 r. Dlaczego?

Bo nie spodziewa się pomocy, tylko więcej tego samego. Na Zachodzie obowiązuje narracja, że chrześcijanie są sprawcami, a nie ofiarami. Jeremy Hunt, były minister spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii, ujął to tak: fałszywie rozumiana poprawność polityczna zrobiła z nas kolonizatorów, a gdy zawracamy uwagę, że chrześcijanie są prześladowani, to zarzuca się nam kolonizatorską postawę. Dlatego księża często nie zgłaszają choćby wandalizmu na policji. Bo nie spodziewają się pomocy, nie chcą przyjmować roli ofiary. Czasami wynika to także ze strachu przed recydywą. Jeśli to zgłoszę, przyjdą ponownie i wtedy zniszczą jeszcze więcej. Historia Europy jest chrześcijańska. Jest różnica między antysemityzmem, islamofobią oraz nienawiścią do chrześcijan. W przypadku tej ostatniej elementem motywacji wydaje się być pragnienie odcięcia się od przeszłości, wiary, tradycji i przekonań rodziców oraz dziadków. Zniszczenie własnej tożsamości. Widać to także w sposobie, w jakim przemoc wobec chrześcijan relacjonują media na Zachodzie. Pobrzmiewa w tym nienawiść do samych siebie. Chęć odcięcia się od korzeni.

Jeden z francuskich publicystów określił to tak: nienawidzą Kościoła za jego dawną potęgę i gardzą nim z powodu jego obecnej słabości.

Szczególnie radykalni muzułmanie mają taki stosunek do Kościoła katolickiego i to rzeczywiście najwyraźniej widać we Francji. Niedawno pomazali tam 50 grobów islamskimi graffiti, pisząc m.in., że „Francja należy już do Allaha" i „Mahomet to ostatni prorok". Wydaje się, że Francja dotarła już do miejsca, z którego nie ma odwrotu.

Kim są sprawcy ataków na chrześcijan, na kościoły?

Często ustalenie tego jest trudne, a nawet niemożliwe. Dopiero tydzień temu mieliśmy w Polsce falę uszkodzeń figur Matki Boskiej. Nie wiadomo, kto to zrobił, i tak na ogół jest, że sprawcy nie są znani. W przypadkach, gdy udało się ustalić albo schwytać sprawców, są to na ogół przedstawiciele skrajnej lewicy. Ci najczęściej pozostawiają po sobie odpowiednie graffiti, choćby symbol Antify lub takie napisy, jak: „Bóg jest trans". Kolejna grupa sprawców to islamiści, a także sataniści. Czasami na murach kościołów znajdujemy także nazistowskie symbole, jak swastyki. Co się jednak rzuca, to różnica między liczbą aktów antychrześcijańskich, które odnotowujemy, tak jak inne NGO, a liczbą tych, które odnotowuje policja. OBWE co roku publikuje raport o przestępstwach na tle nienawiści w całym regionie, są to kumulowane dane pochodzące od rządów, a także od organizacji pozarządowych. Według raportu OBWE w Polsce w ub.r. doszło do 1,8 tys. aktów nienawiści. W 450 przypadkach udało się ustalić sprawców. Ponad 50 z nich OBWE uznała za skierowane przeciwko chrześcijanom i chrześcijańskim miejscom kultu. Niektóre organizacje pozarządowe doliczyły się nawet 70 czy 100. W tym samym czasie polska policja odnotowała 2 ataki na chrześcijan czy kościoły. Rozdźwięk jest więc ogromny. Policja woli klasyfikować takie czyny jako uszkodzenie mienia lub wandalizm. To zafałszowuje obraz.

Czy przemoc wobec chrześcijan w Polsce rośnie? Wzięła pani właśnie udział w konferencji OBWE w Warszawie, na której odbyła się także debata o wolności religijnej.

Polska jest jednym z tych krajów Europy, w którym dochodzi do największej liczby ataków antychrześcijańskich. W 2023 r. było ich ponad 70. To o ponad 20 więcej niż rok wcześniej. Przy czym i tak jesteśmy ostrożni, jeśli chodzi o zbieranie danych, np. często nie włączamy do naszych statystyk przypadków kradzieży w kościołach, bo nie znamy ich tła, czyli nie wiemy, jaka była motywacja: nienawiść czy zwykła chęć sprzedaży skradzionych przedmiotów.

Pytanie o przyczyny wzrostu tego typu incydentów. Czy są one częściej zgłaszane, czy zmienia się nastawienie do chrześcijan i Kościoła w Polsce? Sławomir Nitras, poseł rządzącej Platformy Obywatelskiej, mówił o „opiłowywaniu katolików z pewnych przywilejów".

Też zadaliśmy sobie to pytanie, bo rzeczywiście w ostatnich tygodniach udokumentowaliśmy w Polsce o wiele więcej takich incydentów niż we wcześniejszym okresie. Mówię o tygodniowej średniej, która jest zaskakująco wysoka. W ostatnich ośmiu tygodniach Polska znalazła się wśród trzech krajów w Europie z najwyższą liczbą ataków antychrześcijańskich. Zgłaszający te ataki w analizie tych incydentów przytaczali wypowiedź posła Nitrasa. Mówię tu o parafiach, o wspólnotach katolickich. Dla zgłaszających związek między chęcią „opiłowywania katolików" ze strony władzy a rzeczywistą przemocą wobec katolików bez wątpienia istnieje. I nie da się ukryć, że gdy politycy mówią takie rzeczy, niektórzy obywatele mogą się czuć zachęceni do tego, by przejść do czynów. Do tego dochodzi fakt, że nienawiść do chrześcijan, szczególnie w mediach społecznościowych, często

eprasa.pl 4e935e4b41

nie jest ścigana. Na platformie X wciąż widnieje hiszpański hasztag #FuegoAlClero (Spalmy kler), który stanowi bezpośrednie wezwanie do przemocy, ale nikt z tym nic nie robi. Podpalenia kościołów są fetowane w internecie. W samej Francji od początku roku było pięć takich podpaleń, do tego dochodzi zniszczenie dziesiątek przydrożnych krzyży. Od początku roku udokumentowaliśmy także 25 przypadków przemocy fizycznej, gróźb i prób zabójstwa chrześcijan w Wielkiej Brytanii, Francji, Hiszpanii, we Włoszech, w Niemczech, Austrii, Polsce i Serbii. Jeśli chodzi o podpalenia kościołów, to przez ostatnie lata ich liczba wzrosła o 75 proc.

Z jednej strony mamy ataki na chrześcijan, na kościoły. Z drugiej cukiernik, który nie chce upiec ciasta na ślub homoseksualnej pary, jest ścigany przed sądem.

Tym także się zajmujemy, czyli ograniczeniem wolności religijnej. W przeciwieństwie do aktów przemocy i wandalizmu odpowiedzialność za to ograniczanie ponoszą rządy. Tu też niestety odnotowaliśmy znaczne pogorszenie sytuacji. Oczywiście wolność religijna jest uznanym w Europie prawem człowieka. Ale dziś często jest przeciwstawiana nowym prawom przyznawanym innym grupom, choćby mniejszościom seksualnym. Chrześcijanie często przegrywają w tej rozgrywce, ich prawa są podporządkowywane innym. Bodaj w dziedzinie medycyny, tzw. klauzula sumienia w przypadku aborcji. W Szwecji zawód położnej może wykonywać tylko ten, kto zgadza się uczestniczyć w aborcjach. Ellinor Grimmark, która pracowała jako położna, nie chciała w nich uczestniczyć, powołując się na swoją wiarę, i poszła do sądu. Sprawa trafiła do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka. Grimmark przegrała. Trybunał nie uznał jej argumentu, że przecież w aborcjach może asystować kto inny zamiast niej, że w Szwecji jest mnóstwo położnych. W konsekwencji dziś Grimmark pracuje w Norwegii. To pokazuje ogromną presję, jakiej są poddawani chrześcijanie, również w miejscach pracy. W Szwecji nie było ani jednego szpitala, w którym Grimmark mogłaby pracować, zachowując przywiązanie do chrześcijańskich wartości. Chrześcijanie, a także wyznawcy innych religii, są wykluczani z niektórych zawodów, bo nie mogą ich pogodzić z własnym sumieniem. W Niemczech na studiach medycznych udział w kursach na temat aborcji ma się stać obowiązkowy, bez względu na wybraną specjalizację. Ma to dotyczyć też dentystów. To jest równoznaczne z wykluczeniem chrześcijan z tych zawodów. Oczywiście wciąż zdarza się, że sądy uznają wolność religijną i wolność sumienia. Ale sam fakt, że ktoś musi się sądzić latami, jest upokarzające. Zanim może nastąpi korzystny wyrok, kariera legnie w gruzach, a media zrobią z tej osoby np. homofoba. Sady niższej instancji w Finlandii uznały prawo Päivi Räsänen do wyrażenia swoich przekonań religijnych. Zobaczymy, co zrobi Sąd Najwyższy.

> Z naszych danych wynika, że Polska jest jednym z tych krajów Europy, w którym dochodzi do największej liczby antychrześcijańskich ataków. W 2023 r. było ich ponad 70. To o ponad 20 więcej niż rok wcześniej

Co to oznacza? Wycofanie się chrześcijan do sfery prywatnej? Lewica od dawna postuluje, że w przestrzeni publicznej nie ma miejsca dla wiary.

Argument, że religia to prywatna sprawa, jest często używany, by uciszyć chrześcijan. Możesz sobie wierzyć, w co chcesz, bylebyś nie próbował wpływać na społeczeństwo. Jest to wypychanie ludzi wierzących z przestrzeni publicznej. Szczególnie silnie atakowane i marginalizowane są organizacje chrześcijańskie, które próbują jakoś działać publicznie. Określa się je jako fundamentalistyczne, ekstremistyczne. Na podstawie danych, które zbieramy, widzimy, że to wycofanie się do sfery prywatnej rzeczywiście ma miejsce. Szczególnie wśród młodych. Dwa lata temu przeprowadziliśmy badanie, które wykazało, że choć młodzi chrześcijanie przyznają się do wiary, unikają wypowiadania się na kontrowersyjne tematy. Zachowują swoje opinie dla siebie. Jest to szczególnie widoczne na zachodnich uniwersytetach. To forma autocenzury, która ma pozwolić im przetrwać we wrogim otoczeniu.

Jakie są możliwe wyjścia z tej sytuacji? Tendencje są jasne, ale czy da się je odwrócić?

Jeśli w Niemczech ponad połowa obywateli boi się wyrażać swoje opinie, nietrudno się domyślić, jakie one są. Może nie jesteśmy więc w mniejszości, jak nam się często wydaje. W Europie jest mnóstwo ludzi, którzy chcą zachować, jeśli nie chrześcijańską wiarę, to co najmniej kulturę i tradycję. Widać to także na przykładzie nowych sił politycznych, które pojawiły się w ostatnich latach i wygrały wybory w niektórych krajach. Mamy wrażenie, że rozjeżdża nas walec i jesteśmy zmarginalizowani, bo media i kultura są zdominowane przez lewicę. Ale to, co jest w tych mediach i tej kulturze, często zupełnie odstaje od odczucia zwykłych ludzi. Musimy się bronić. Nie możemy bać się wyrażać naszych opinii i przekonań. Miejmy odwagę podejmować te kontrowersyjne debaty. W Wielkiej Brytanii zakazano blokerów hormonów dla dzieci i zamknięto największą klinikę zmiany płci, bo rodzice młodych ludzi, których poddano tam zabiegom, poszli do sądu. Nagle okazało się, że można jednak krytykować ideologię gender. To są małe zwycięstwa, ale dają nadzieję.

eprasa.pl 4e935e4b41

Dwie kinowe premiery i dwa spełnione filmowe marzenia. Na Dziki Zachód wyprawił się kojarzony z mitycznym Śródziemiem Viggo Mortensen. Zaś Krzysztof Skonieczny powrócił do lat 90., wpisując bohaterów w brawurowy portret Wrocławia

W jak western i Wrooklyn

Fot. Galapagos Films

eprasa.pl 4e935e4b41

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Dla większości widzów pozostanie przede wszystkim Aragornem, jednym z głównych bohaterów filmowej trylogii Petera Jacksona. Teraz polscy widzowie mogą poznać Viggo Mortensena jako aktora, reżysera, scenarzystę, producenta oraz autora muzyki westernu „The Dead Don't Hurt". Filmu, w którym jednorodny męski świat Dzikiego Zachodu został pokazany zarówno w szerszej, jak i kameralnej perspektywie. Bez producenckich szaleństw, które uziemiły wizję zbyt rozległego „Horyzontu" Kevina Costnera.

Z OBRAZU MATKI

W „The Dead Don't Hurt", drugim reżysersko-producenckim projekcie Mortensena, wśród bohaterów różnych nacji, spotykają się m.in. Duńczyk, Francuzka z Kanady i Meksykanin. Spora część filmowej narracji jest prowadzona z perspektywy bohaterki. Niezależna, młoda kobieta na Dzikim Zachodzie? Taką wizję miał twórca filmu i jeżeli udało mu się ją obronić, jest to zasługa urodzonej w Luksemburgu aktorki Vicky Krieps, której międzynarodowy rozgłos przyniosły role w takich filmach, jak „Nić widmo" (2017) z Danielem Day-Lewisem czy „W gorsecie" (2022), gdzie zagrała cesarzową Sissi.

Podobnie jak przy filmie „Jeszcze jest czas" (2020), w którym zadebiutował w roli reżysera i scenarzysty, także w najnowszym projekcie Mortensena inspirowała ta sama postać.

„Ta historia zrodziła się na podstawie obrazu mojej matki" – mówi. „Ilustrowałem książki z lat 30. XX w., które czytała, gdy była małą dziewczynką, opowieści o rycerzach, średniowieczne historie przygodowe. Wychowała się w pobliżu lasów klonowych w północno-wschodniej części Stanów Zjednoczonych, w pobliżu granicy z Kanadą, i miałem jej obraz jako dziecka biegającego po tych lasach, wyobrażając sobie, że występuje w jednej z historii, które przeczytała w tych starych książkach. Taki był punkt wyjścia, gdy siadałem, aby rozpocząć pisanie scenariusza do »The Dead Don't Hurt« podczas lockdownu związanego z pandemią wiosną 2020 r.

Potem przyszedł czas na wyobrażenie sobie, jaką kobietą stała się tamta mała dziewczynka. I w ten sposób narodziła się Vivienne Le Coudy [Vicky Krieps], francusko-kanadyjska imigrantka, niezależna kobieta, która zarabia na życie, sprzedając kwiaty w San Francisco, i która pod wpływem impulsu rusza w drogę z duńskim imigrantem Holgerem Olsenem [Viggo Mortensen]".

ŚWIADEK CZASU

Opowiadając historię Vivienne i Holgera, Mortensen zmierzył się z przeszłością – i tą szeroką, amerykańską, i tą prywatną. Podobnie jak jego bohaterowie często jest w drodze.

eprasa.pl 4e935e4b41

Fot. Galapagos Films

Urodził się w 1958 r. w Nowym Jorku. Ojciec był Duńczykiem, matka Amerykanką. Z Manhattanu, gdzie mieszkali, już w 1960 r. Mortensenowie przenieśli się do Wenezueli, następnie do Argentyny i Danii. Viggo wrócił do USA w 1969 r. Nie od początku planował aktorską karierę. Ukończył zarządzanie i marketing oraz filologię hiszpańską na Uniwersytecie St. Lawrence i z tym dyplomem w 1980 r. rozpoczął dwuletnie studia aktorskie.

Pierwsze kroki na scenie stawiał w Nowym Jorku, potem przeniósł się do Los Angeles. Krótko cieszył się z epizodu w filmie Woody'ego Allena „Purpurowa róża z Kairu" (1985, ostatecznie sceny z nim wycięto). W tym samym roku udało mu się zadebiutować w filmie Petera Weira „Świadek", gdzie wcielił się w młodego amisza.

W kolejnych latach można go było zobaczyć m.in. w „Życiu Carlita" (1993) Briana De Palmy, „Karmazynowym przypływie" (1995) Tony'ego Scotta, „Portrecie damy" (1996) Jane Campion, „G.I. Jane" Ridleya Scotta czy „Morderstwie doskonałym" (1997) Andrew Dawisa. Jednak spektakularny rozgłos i globalną popularność przyniosła mu dopiero rola Aragorna. Z perspektywie czasu wydaje się, że to właśnie filmowa trylogia „Władca pierścieni" (2001–2003) zwróciła na niego uwagę także amerykańskich akademików.

Po raz pierwszy nominowano go do Oscara w 2008 r. (za rolę w filmie „Wschodnie obietnice" Davida Cronenberga), potem miał szansę na statuetkę dzięki obrazom „Captain Fantastic" (2016) i „Green Book" (2018). W tym ostatnim, nagrodzonym trzema statuetkami (m.in. za najlepszy film i scenariusz), Mortensen, ze sporą nadwagą, zagrał drobnego cwaniaczka z Bronxu, który w 1962 r. zostaje szoferem ekstrawanckiego afroamerykańskiego muzyka. Dwa lata temu, już w dawnej fizycznej formie, aktor znów pojawił się w filmie Cronenberga („Zbrodnie przyszłości").

POZA GRANIEM

Viggo Mortensen spełnia się artystycznie, również fotografując, malując, pisząc wiersze i komponując. Wydał kilka zbiorów fotografii, prac malarskich i poezji. W 2000 r. zadebiutował wystawą zdjęć i obrazów „Errant Vine" w galerii Roberta Manna w Nowym Jorku. By promować niezależnych artystów, założył wydawnictwo Perceval Press.

Jest uzdolniony lingwistyczne. Poza językiem angielskim biegle włada duńskim i hiszpańskim, porozumiewa się po francusku, włosku, szwedzku i norwesku.

UCHYLONY PORTAL

Innym ekranowym domknięciem przeszłości, powrotem do przeżyć i doświadczeń sprzed lat, zaczepionym gdzieś o amerykański sen, stał się eksplodujący pomysłami film „Wrooklyn Zoo". Zrealizował go Krzysztof Skonieczny – twórca wielowymiarowy: reżyser filmowy i teatralny, scenarzysta, producent, autor teledysków i zdjęć, aktor, raper, autor głośnego serialu „Ślepnąc od świateł" i niezależnego debiutu fabularnego „Hardkor Disko" (2014). – „Wrooklyn" to wrocławski Brooklyn, a „Zoo" wynika ze skojarzenia Wrocławia z miejską dżunglą – tłumaczy założenia projektu. – „Wrooklyn Zoo" to również autentyczne, deskorolkowo-grafficiarsko-rapowe crew [ekipa – przyp. red.], które w drugiej połowie lat 90. i na początku następnej dekady nieformalnie zrzeszało ludzi kreatywnych, poszukujących, zbuntowanych i wyróżniających się na tle schyłku dekady transformacji – dodaje. – Było ono założone m.in. przeze mnie. Duża część mojego wysiłku w pracy nad „Wrooklyn Zoo" opiera się na założeniu, aby napisać i nakręcić ten film tak, jakby wyszedł z głowy siedemnastolatka, który znalazł się u progu dorosłości. Czuję, że to ostatnie momenty, kiedy jeszcze mam uchylony »portal« do tamtych czasów, doświadczeń, ludzi i emocji.

CZAS NA WROOKLYN

Skonieczny nazywa „Wrooklyn Zoo" najbardziej osobistym projektem fabularnym w dotychczasowej karierze. Mówi też, że to „szekspirowska wariacja na temat generacji Z, w której Romeo to skejt wywodzący się z subkultury punk-techno-rave, zaś Julia to romska dziewczyna, która próbuje wyrwać się ze swojego środowiska".

Odtwórcy głównych ról są debiutantami, a „życiorysy granych przez nich postaci są tożsame z ich własnymi". W lipcu br. Mateusz Okuła wywalczył złoty medal w jeździe na deskorolce. Natalia Szmidt tańczy w romskim zespole Don Vasyla.

Skonieczny dodaje: – Film, czerpiąc z moich młodzieńczych doświadczeń, jest przede wszystkim obserwacją i wypowiedzią na temat rzeczywistości, która otacza nas tu i teraz. Świat przedstawiony zmienia się na naszych oczach wraz ze światem głównych bohaterów oraz grup społecznych, z których się wywodzą. To moja przeszłość i obserwacja teraźniejszości, które próbuję zrozumieć. Dlatego przyszedł czas na ten film.

Fot. Kino Świat

eprasa.pl 4e935e4b41

3 MIŁOŚCI

Rzeź niewiniątek

ROBERT TEKIELI

„Uważam, że każdy lekarz i psycholog, który odegrał rolę w transseksualnej rzezi nieletnich dzieci, powinien zostać osadzony w więzieniu do końca życia za zbrodnie przeciwko ludzkości" – powiedział w programie Pierce'a Morgana „Bez cenzury" Jordan Peterson, kanadyjski psycholog kliniczny, profesor psychologii na Uniwersytecie w Toronto.

Jestem głęboko przekonany, że taki trybunał powstanie. Dominujący dziś na Zachodzie marksizm kulturowy upadnie, tak jak upadła ideologia komunistyczna, a wtedy trzeba będzie wymierzyć sprawiedliwość również krzywdzicielom dzieci.

W ciągu ostatniej dekady w Wielkiej Brytanii nastąpił ponad 20-krotny wzrost liczby małoletnich, u których zdiagnozowano dysforię płciową – w latach 2021–2022 takich diagnoz wystawiono ponad 5 tys., podczas gdy 10 lat wcześniej było ich mniej niż 250. Nie znaleziono żadnych środowiskowych ani biologicznych przyczyn tego szokującego zjawiska, co oznacza, że ma ono przyczyny kulturowe i ideologiczne.

Opublikowany wiosną 2024 r. raport dr Hilary Cass ujawnił, że tysiące dzieci w Wielkiej Brytanii mogły paść ofiarą złej diagnozy z powodu ideologicznej nagonki i presji wywieranej na lekarzy. Okazuje się, że poczucie niewłaściwej płci często nie jest związane z transseksualizmem, lecz może być wynikiem wielu problemów natury psychicznej czy neuroróżnorodności, może też być powiązane z trudną sytuacją rodzinną i doświadczaniem aktów przemocy. W raporcie wykazano, że ofiarami wczesnego, ale zbędnego transowania często padają dzieci cierpiące na różne lekkie zaburzenia oraz te rozwijające się niestandardowo. Ich problemy są mylone z transseksualizmem.

W raporcie podkreśla się, że „systematyczne przeglądy dowodów wykazały słabą jakość opublikowanych badań" i ostrzega przed próbami „zmiany płci" u młodych ludzi. Dokument został stworzony dla brytyjskiej służby zdrowia w celu stworzenia rekomendacji, jak zachowywać się w przypadku osób nieletnich, które nie identyfikują się ze swoją płcią i cierpią na dysforię, czyli niechęć wobec własnego ciała.

W Polsce już teraz dokonywane są nielegalne zabiegi chirurgicznego usuwania piersi nawet u 13-letnich dziewczynek czy podawania hormonów i blokerów hormonów od 14. roku życia. Tymczasem badania naukowe wykazują, że u 80 proc. dzieci, które czują nienawiść do swojego ciała, ta dysfunkcja mija. Według innych badań zaburzenia tożsamości płciowej u młodych ludzi w ok. 93 proc. przypadków mają charakter przejściowy i samoczynnie wygasają. Natomiast skutki okaleczających dzieci operacji i „terapii" hormonalnych są nieodwracalne.

Procedury chirurgiczne związane z tranzycją są brutalne i eksperymentalne. Podczas operacji usuwa się zdrowe piersi, macice, jajniki, jądra i penisy. Czy amputację zdrowych organów można nazwać inaczej niż okaleczaniem?

Barbarzyństwo rzeźników w białych kitlach szokuje, tym bardziej że te działania są bezcelowe. Istnieje przynajmniej 6,5 tys. różnic genetycznych pomiędzy kobietą i mężczyzną, co oznacza, że podawanie hormonów i operacje nie mogą tego zmienić. Tak samo nie można zmienić pierwszo- i drugorzędowych cech płciowych. Transkobiety nigdy nie będą miały jajników, a transmężczyźni prostaty.

Długofalowe badania ze Skandynawii mówią w dodatku o efekcie zanikania: jeżeli dziecko myśli, że bycie transseksualistą rozwiąże jego problemy, to zaraz po tranzycji czuje się lepiej. Jednak efekt ten zanika. Szczególny spadek zadowolenia z życia jako płeć przeciwna – lub raczej jej namiastka – jest obserwowany dekadę po „zmianie płci". Wtedy tendencje samobójcze niektórych transseksualistów wracają do stanu pierwotnego albo się zwiększają. Jak wynika z badań szwedzkiego uniwersytetu medycznego Instytut Karolinska, placówki, która przyznaje nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, odsetek samobójstw wśród osób po przejściu tranzycji okazał się 19 razy większy od odsetka samobójstw w całej populacji.

Tranzycja jest drastyczną ingerencją w ludzkie ciało. Konsekwencje podawania blokerów i hormonów płci przeciwnej oraz amputacji zdrowych części ciała przekreślają możliwość poczęcia własnych dzieci. Amerykańska Agencja Żywności i Leków (FDA) ostrzega: blokery hormonów podawane dzieciom mogą powodować u nich obrzęk mózgu i utratę wzroku. Do negatywnych skutków „terapii" hormonalnej i operacyjnej zalicza się też wyniszczenie kości i zwiększone ryzyko raka.

W Polsce środowiska gender/LGBT+ lobbują za tym, by „uzgadnianie płci" mogło odbywać się na zasadzie świadomej zgody, z pominięciem badań i opinii lekarzy. Wobec zjawiska „naddiagnozowania" transpłciowości i ideologicznych uwikłań debaty nad dysforią płciową i transpłciowością promocja postulatu uproszczenia procedury „uzgadniania płci" jest działaniem nieodpowiedzialnym. Tym, co rzeczywiście trzeba zaś zrobić, jest ustawowy zakaz tranzycji małoletnich w Polsce.

eprasa.pl 4e935e4b41

WOJNA CYWILIZACJI

POPKULTURA

Warte Wydanie debiutanckiej książki Christophera Paoliniego było swego czasu wydarzeniem literackim. Nie wiem, na ile przyczynił się do tego doskonale wykorzystany marketingowo wiek autora, który pierwotny zarys bestsellerowego „Eragona" napisał w wieku 15 lat, a na ile była to konsekwencja naiwności i „nastolatkowości" fabuły, języka i psychologii postaci. Niedawno wydana w Polsce powieść fantasy ***„Murtagh"*** to kolejna, piąta już historia osadzona w uniwersum Eragona i Saphiry Paoliniego. I ma zupełnie inne zalety. 42-letni dziś autor naturalną koleją rzeczy zabiera nas w podróż do głębszej i dojrzałej części Alagaësii. I mówi rzeczy zwyczajnie mądre: „Niektóre rany, niektóre blizny są zbyt wielkie, by mogły się zagoić i wcale nas nie wzmacniają. Wręcz przeciwnie. Prawdziwie ciężka rana pozostawia człowieka słabszym, niedoskonałym i nie da się tego naprawić". Paolini udowadnia też, że nader sprawnie włada obrazem i piórem: „Jego usta wykrzywiły się w grymasie. Ich rodzinna historia była równie splątana jak krzak dzikiej róży i równie boleśnie się przez nią brnęło".

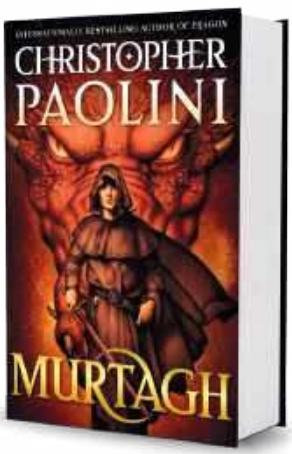

Smoki, czarownice, walki wręcz i pojedynki na czary, magia bez słów i pradawna mowa... Cała kraina jest w niebezpieczeństwie, więc odrzucony Jeździec Smoków rusza na ratunek... Wbrew temu sztampowemu instrumentarium Paolini stworzył naprawdę niezłą powieść, z wciągającą fabułą i nieoczywistą intrygą. Tytułowy bohater jest przepełniony goryczą, pragnie odkupienia i mierzy się z małym oraz wielkim złem, warto mu kibicować.

POPKULTURA

Warte O otwierającej trylogię „Krucze pierścienie" powieści „Dziecko Odyna" norweskiej pisarki fantasy Siri Pettersen pisałem kilka tygodni temu. Podobnie rewelacyjnie histeryczny rytm narracji mają dwie kolejne odsłony tego cyklu – ***„Zgnilizna"*** i ***„Evna"***. Tym razem akcja toczy się nie w świecie ogoniastych ætlingów, a głównie na XXI-wiecznej Ziemi i w świecie Dreyri, w którym panuje wręcz absurdalny kult siły – wojownicy np. nie używają broni, bo to oznaczałoby, że wątpią w swoje fizyczne przewagi. Główna bohaterka jest mieszańcem przedstawicieli rasy quasi-wampirów i ludzi. Rime, jej niepełniona/spełniona miłość, ætlingiem.

Wspólnym celem ich działań jest uniknięcie wojny i związanej z nią ponadrasowej masakry – holokaustu ogoniastych, niby-wampirów i ludzi. Autorka skąpo obdziela czytelnika wiedzą o aktorach tej opowieści, ich motywacjach i wręcz o strukturze przedstawianego uniwersum. W powieściach mamy motyw Kaina i Abla, chandlerowskiego łowcę nadludzi, nawiązania do nordyckich mitologii oraz standardowo: mrok, lęk, tajemnice, tragizm, bitwy, niepewne sojusze i zdrady.

Dokładnie tak samo, a może i mroczniej jest w ***„Żelaznym wilku"***, pierwszej książce z serii „Vardari", której akcja toczy się w uniwersum „Kruczych pierścieni". Mamy nową bohaterkę Juvę i zupełnie inne okoliczności. Z wcześniejszą trylogią łączy tę historię motyw niby wampiryczny, w ogóle krew jest osią tej fabuły. Mamy niby wróżbitki – „czytające z krwi", wiecznych – nadludzi żyjących setki lat dzięki spożywaniu krwi quasi-wampira, chorobę wilkowatości związaną z zepsutą krwią... Wszystkiego dowiadujemy się powoli. Tak samo jest w drugiej części nowego cyklu pt. ***„Srebrne gardło"***.

Siri Pettersen jest mistrzynią budowania napięcia na niewiedzy czytelnika. Rządzące powieściowym światem prawa i obyczaje odsłaniane są na tyle, na ile jest to niezbędne dla fabuły. Mamy tu elitę, która włada światem z ukrycia, trywialną politykę, dzikich sąsiadów próbujących zdobyć miasto za pomocą mistycznej dywersji, pełen kłamstw, oszustw, półprawd ustrój i codzienność Náklavu, mieszczańskiej republiki, która powoli okazuje się wyspą wolności na tle zewnętrznego świata. A wydarzenia poznajemy z perspektywy trzech postaci. Wspomnianej wyżej łowczyni wilków i zakażonych wilczą wścieklizną Juvy, godnego pogardy zdrajcy i seksoholika Rugena oraz wiecznego, żyjącego prawie tysiąc lat człowieka Nefreima, który stworzył zarówno jasną, jak i ciemną stronę Náklavu. To zróżnicowanie perspektyw świetnie służy opowieści.

Książki Siri Pettersen to bardzo przyzwoita literatura. Mogę ją bez cienia wahania polecić nie tylko młodzieży. Autorka ma zręczne pióro, a satysfakcję z lektury powiększa znajdowanie perełek choćby takich: „Rime usłyszał swój własny śmiech. Najpierw cichy. Potem głośniejszy. Ponury, jakby drwił ze wszystkich, którzy kiedykolwiek się śmiali".

Robert Tekieli,
Polskie Radio

eprasa.pl 4e935e4b41

Stary nowy dobry Gilmour

To dopiero piąty album Davida Gilmoura od czasu, gdy rozpoczął karierę solową w 1978 r. Podobno w trakcie jej nagrywania starano się uciec od ciężaru brzemienia Pink Floyd. Ale niedaleko, bo kto zna klasyczne płyty ze środkowego okresu działalności grupy, szybko się zorientuje, że w 2024 r. słyszy kolejne już echa „Wish You Were Here" i jej słynnej poprzedniczki, kolejne reinterpretacje tych samych aranżacji i bliźniaczych wręcz brzmień. Nie mówiąc już o nagraniach z przełomu lat 80. i 90., a więc okresu po rozstaniu z Watersem, gdy to właśnie Gilmour zdominował działalność słynnej grupy, zdaniem niektórych faktycznie podszywając się pod Pink Floyd i nagrywając wraz z żyjącymi jeszcze Nickiem Masonem i Richardem Wrightem swe autorskie pomysły. Ale to nie są jednak powody do narzekań, bo jeśli ktoś lubi taką muzykę i talent tego człowieka, będzie bardzo kontent.

Wszystkie utwory są zbudowane z dwóch części. Pierwsza to jedna z kilkunastu piosenek, którą w pewnej chwili rozbudowuje część druga, a więc długie, monumentalne solo gitary elektrycznej, nadającej każdemu z tych utworów atrakcyjności, liryzmu i dramatyzmu. Gilmour jako gitarzysta to postać wyjątkowa i natychmiast rozpoznawalna w swych opartych o bluesowe frazy, niekończących się popisach. Nie gra dla samej gry, ale grając, śpiewa, uwodząc wyczuciem melodyki. To artysta samowystarczalny, a prywatyzacja całego przedsięwzięcia jest tym większa, że jego żona Polly napisała teksty, głos syna słychać w chórkach towarzyszących w kilku utworach, a córka Romany śpiewa w bardzo pięknej piosence „Between Two Points". Do tego na basie gra zięć Wrighta – zresztą jego zarejestrowane lata temu partie klawiszowe także wybrzmiewają w tytułowym utworze. W marzycielskim „Sings", traktującym o niemożliwym w praktyce dążeniu do spowolnienia czasu, nostalgiczny śpiew Gilmoura w naprawdę urzekającej melodii jest wspierany przez orkiestrę. Wpadamy wówczas w zadumę nie tylko nad upływającym czasem, bowiem znamy artystyczne wzloty i upadki Floydów czy kuchnię politycznego konfliktu z popierającym Putina z Watersem, lecz także nad wielką siłą pieniądza. Bo tę „floydową" wojnę w lewicowym przecież obozie nieoczekiwanie złagodziła wspólna decyzja o sprzedaży praw do szyldu i całego katalogu grupy firmie Sony za, bagatela, 400 mln dol.

David Gilmour, „Luck and Strange", Sony Music 2024

Maciej Walaszczyk

Teatr absurdu gra dalej

Madness od 45 lat eksploatują barokową odmianę muzyki pop, łącząc rytmy ska, soul z elementami music-hallu. Ten właśnie rodzaj teatralnego, slapstickowego i ocierającego się o groteskę satyrycznego rocka wiele lat temu podbił brytyjską młodzież, nawiązując do tradycji miejskiego teatru dla mas. Suggsowi (wtedy chuliganowi Chelsea) i spółce z północnego Londynu udało się to mimo wielkiego tłoku, jaki zrobił się wówczas na scenie muzycznej. Pomysłowi, bezpretensjonalni, ale inteligentni i zabawni, nieustannie wcielający się w rolę komików kontynuujących oryginalne wzorce angielskiego humoru w rodzaju Spike'a Milligana, wciąż bawią. Ta bezceremonialna bezpośredniość kontrastowała, i tak jest do dziś, z aluzyjnym odwołaniem już w samej nazwie kapeli do różnych problemów trawiących wielkomiejskie społeczeństwa przemysłowe – depresji topionej używkach czy konfliktów rodzinnych.

Rok temu już nieco starsi panowie w melonikach po siedmiu latach przerwy powrócili z kolejną płytą, którą w czerwcu wydali jeszcze raz, uzupełniając o kilka piosenek i dodatków. Madness prezentują na niej naprawdę wyśmienitą formę artystyczną, grając wciąż porywające koncerty, a płyta jest po prostu zabójcza! Przywołana już na wstępie postać Samuela Becketta zaprasza na godzinny spektakl w teatrze absurdu, tym prawdziwszego, że spajającego nicią niepokoju i lęku piosenki powstałe w czasie lockdownów. W tym teatrze tragizmu i komizmu orkiestra gra piosenkę, której nikt nie potrafi zaśpiewać, aktorzy snują się po scenie, występując w komedii bez fabuły, bo spektakl zwany życiem rozgrywa się na scenie naszych domów, w pracy czy szkołach, a towarzyszy mu zgiełk popkultury i szaleńczej konsumpcji („Is There Anybody Out There?"). Wiezie nas niczym podmiejski pociąg, przynosząc strach, lęki i samotność. Nieprzypadkowo wplecione są tutaj historie ojca saksofonisty Lee Thompsona odsiadującego wyroki za włamania („Baby Burglar") lub nieco upiorny przeskok do „In My Street" – na podwórka angielskiego blokowiska, z którego szuka się możliwości ucieczki, zanim Bóg zaprowadzi tam porządek. Muzycy z londyńskiego Camden odnaleźli jednak wspólnotę, co puentuje koncertowy cover „Friday Night, Saturday Morning" nieżyjącego już Terry'ego Halla z The Specials. W swej czarnej komedii Madness grają więc dalej.

Madness, „Theatre Of The Absurd Presents C'est La Vie", BMG Entertainment 2024

eprasa.pl 4e935e4b41

Naukowo-techniczna mitologia

Nauki ścisłe stały się wyizolowaną imperialną potęgą toczącą wojnę z innymi dziedzinami myśli w celu ich zawładnięcia. Jednak większość znaczących dokonań intelektualnych do nich nie należy

Było sobie kiedyś dwóch naukowców. Pierwszy z nich to John Desmond Bernal, fizyk i futurolog, prekursor transhumanizmu, a drugi to genetyk John B.S. Haldane. W pewnym momencie wyspecjalizowali się w popularnych również dziś naukowych przepowiedniach głoszących ostateczne podbicie wszechświata przez człowieka, kreśląc rosnący wykres ewolucji, która wyniesie rasę ludzką do gwiazd. „Ludzie, uginając się pod ich chłodnym tonem, akceptowali te niedorzeczne wizje" – przyznaje Mary Midgley, nieżyjąca już profesor filozofii z Newcastle University. Obietnicę odległej, ale wspaniałej przyszłości formułowali pod wpływem marksizmu, przy użyciu którego nabrali wprawy do używania silnie redukcjonistycznej retoryki. Obaj byli bowiem wyznawcami materializmu dialektycznego zafascynowanymi sowietyzmem, a nawet – jak zauważała Midgley – przesyceni nienawiścią do człowieka.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

To ciekawa obserwacja, a książka jest o tyle interesująca, że demaskuje z lewej strony materialistyczny czy skrajnie racjonalistyczny absolutyzm, którego wciąż doświadczamy – choćby teraz, w czasie dyskusji wokół sztucznej inteligencji. Na jej kartach Midgley wiele razy daje wyraz swej tęsknocie za harmonijnym życiem z przyrodą, naturą, wręcz romantycznym przekonaniu o konieczności spowolnienia rozwoju cywilizacyjnego, konsumpcji. Przyznaje bowiem, że mit postępu naukowo-technicznego jako wiara w człowieka i jego dzieła jest po prostu zsekularyzowaną ideą wywiedzioną z chrześcijaństwa, wiary w Boga i życie wieczne, która nieopatrznie przywdziała kostium nauki. To dziedzictwo kartezjanizmu, które niestety umieściło fizykę na pozycji, w której została zmuszona do objęcia intelektualnego monopolu nad całością wiedzy.

Brytyjska filozof metodycznie szturmuje więc pozycje zajęte przez fizyków, poszukiwaczy jednej teorii wszystkiego. Midgley przypomina, że nasze codzienne doświadczenia wcale nie są ściśle podzielone na ducha i maszynę, umysł i materię, subiektywne i obiektywne, i obejmują jedną sferę. Że większość naszych, w pełni uprawionych i niezbędnych dokonań intelektualnych nie należy do nauk ścisłych. Niestety wiele zagadnień, z którymi stykamy się na co dzień, przebrało się za naukę tylko po to, by wzmocnić własne znaczenie. Takimi stały się mity umowy społecznej, postępu i wszechmocy nauki.

Praca ta jest więc interesującą wyprawą na jeden z odcinków frontu, na którym od dłuższego czasu toczy się spór między humanistyką, przede wszystkim filozofią, a atakującymi ją naukami ścisłymi, czyli wyznawcami „naukowego poglądu na świat", materializmu i ewolucjonistami wyznającymi pogląd, że wszystko we wszechświecie, w tym w nas samych, można ostatecznie zrozumieć poprzez właściwości fizyczne. Nauka została przez nich sprowadzona do jednego, matematyczno-fizycznego, modelu, choć antropologia, filozofia, historia, biologia, albo ekologia w ogóle nie są podobne do fizyki. Symbolika mechanizmów, która opanowała także zdominowaną przez ewolucjonizm biologię, spowodowała bowiem, że język konkurencji rynkowej, gier wojennych, „samolubnych genów" stał się mityczny. Modgley zarzucała takie fałszerstwo oświeceniu, które, wypierając mity i bajki, teologię i religijność, stworzyło swój własny zestaw mitów, których siła tkwiła w – jak pisze – powabie redukcji, przyjemności głoszenia, że rzeczy są znacznie prostsze, niż nam się wydaje. Np. że człowiek to tylko mieszkanka chemicznych związków, jego świadomość to reakcje neuronów, a mózg to tylko organiczny komputer. Nauka staje się jednak czymś o wiele ciekawszym, gdy umożliwia łączenie, rozumienie i interpretacje faktów przy użyciu metafory, uniwersalnych pojęć i obrazów, które, choć nie są ścisłe i sterylne, wyrastają z codziennych obserwacji i doświadczeń.

Książka Mary Midgley jest więc jedną z polemik z prorokami utopii wieszczącymi, że już niedługo nauka i technologia odpowiedzą na wszystkie nasze pytania i rozwiążą wszystkie nasze problemy A skoro autorka prowadziła walkę o obronę ludzkiej świadomości, jaźni, a może nawet duszy przed takimi ludźmi jak Richard Dawkins – jak o niej napisano – może to być wystarczającą zachętą do sięgnięcia po jej argumentację.

Mary Midgley, „Mity w naszym życiu", PIW 2024

eprasa.pl 4e935e4b41

ADAM PIETKIEWICZ*

Wrocław zawsze będzie w moim sercu

Wrocław jest sercem tego filmu. Już na etapie przygotowań do „Wrooklyn Zoo" wiedziałem, że dla Krzysztofa Skoniecznego (reżysera i autora scenariusza) to miasto będzie nie tylko znaczącym tłem [pokazanym w brawurowy, pulsujący, wielowymiarowy, wielobarwny, nieoczywisty i chwilami wręcz sensualny sposób – przyp. red.], lecz także kluczowym bohaterem. Tak jak Warszawa w serialu „Ślepnąc od świateł".

Bardzo ciekawe okazało się dla mnie to, że chociaż Wrocław był ze mną przez 19 lat (wyjechałem z niego po maturze), to szykując się do tego filmu, mogłem zobaczyć miejsca, których nie znałem, do których zwyczajny mieszkaniec nie ma dostępu.

Oczywiście z naszymi bohaterami trafialiśmy też w rozpoznawalne wrocławskie przestrzenie. Np. do Hali Targowej albo Hali Ludowej, znanej również jako Hala Stulecia, która w naszym filmie pojawiła się w bardzo szybkim teledyskowym montażu. Inaczej niż kamienica, w której mieszka główny bohater, deskorolkowiec Adam „Kosa" Kosiński (grany przez Mateusza Okułę) czy plac przed budynkiem Narodowego Forum Muzyki, bardzo charakterystycznym pod względem architektury.

Bardzo ważne było dla nas światło. W centrum Wrocławia są jeszcze latarnie sodowe ze specyficznym kolorem światła, który staraliśmy się odwzorować jak najwierniej.

Ciekawym punktem dokumentacji stała się „Panorama Racławicka" – oglądana z zupełnie nowej perspektywy, bo znaleźliśmy się właściwie pod nią, w podziemiach. Obiekt ten z wielu powodów, ale zwłaszcza jeśli chodzi o dramaturgię, nie pojawił się w końcu w filmie, za to znalazła się w nim hala dawnej fabryki Hutmen przy ul. Grabiszyńskiej. Trafiliśmy tam m.in. do schronów przygotowanych dla dawnych pracowników Hutmenu – bardzo inspirujących pod względem kolorów, faktur, zawiesiny w powietrzu, którą staraliśmy się utrzymać w postprodukcji.

Podczas realizacji zdjęć do „Wrooklyn Zoo" niezwykle istotne okazało się to, co we mnie we wrocławskiej przestrzeni dorastało, dojrzewało, co pozostało we wspomnieniach. Do tego chciał się odwołać, to chciał też wydobyć Krzysztof Skonieczny.

Wrocław pozostanie w moim sercu. To miasto, które mnie kształtowało od urodzenia. Wyjechałem z niego po liceum, najpierw do Katowic, by studiować w tamtejszej szkole filmowej, a potem – na kolejne studia filmowe – do Londynu. Teraz i filmowo, i prywatnie, dzielę życie między Polską i Wielką Brytanią.

Gdybym miał się dziś ustawić do zdjęcia na jakimś ważnym dla mnie wrocławskim tle, to wybrałbym oświetloną sodowymi latarniami ulicę Świdnicką, okolice Domu Handlowego Renoma albo Opery Wrocławskiej. To rejony, w których się wychowywałem, trasy, które często przemierzałem – z rodzicami, a potem sam, za dawnych czasów jeździłem też po nich na deskorolce. I lubiłem je szczególnie nocą. W naszym filmie też jest dużo nocy. Zależało mi, by te noce były wyraziste.

W Katowicach najchętniej zrobiłbym sobie zdjęcie na tle starego budynku Wydziału Radia i TV, ponieważ było to miejsce, w którym chciałem się znaleźć (i za drugim razem dostałem się do tej szkoły). Teraz budynek przy ul. Bytkowskiej jest w kiepskim stanie, a Szkoła Filmowa im. Krzysztofa Kieślowskiego Uniwersytetu Śląskiego ma nową lokalizację.

W stolicy Wielkiej Brytanii na miejsce fotografii wybrałbym londyńskie metro, bo chociaż nie lubię nim podróżować, to jego stacje – za sprawą światła, tekstur, twarzy – wizualnie mnie inspirują.

***Notowała** Jolanta Gajda-Zadworna*

**Operator filmowy, autor zdjęć do filmu „Wrooklyn Zoo"*

Fot. GlobokOFF/Kino Świat

eprasa.pl 4e935e4b41

SŁODKO-SŁONY

Ostatnie dni zieleni

ANNA MONICKA

Nie ma to jak wstać bladym świtem i kupić świeże, dopiero co zebrane z pola warzywa. Chociaż o tej porze roku coraz częściej nie chce mi się wyściubiać nosa spod ciepłej kołdry, na grzyby i do gospodarstwa Rysiny zrywam się bez szmerania. Zwłaszcza że to już ostatnie dni i od listopada co najmniej do marca – zależy od pogody – będę skazana na normalne sklepy. Oczywiście to nie koniec świata i wcale nie poprzewracało mi się w głowie. Istnieją przecież zieleniaki i warzywniaki, a także nie najgorsze lokalne bazarki, ale jeśli posmakowało się produktów uprawianych z wielkim zaangażowaniem i miłością, a do tego dostarczanych w skrzynkach zaraz po zebraniu, nawet mało wyrobione podniebienie czuje różnicę. Mnie takie zakupy robią dzień.

Gdy już zgromadziłam zapasy dyń i cukinii, przyszedł czas na pietruszki, marchewki, pory i selery, które porcjuję i zamrażam do zimowych zup. Mam zawsze płasko spakowane torebeczki z warzywami oraz ugotowane buliony. Dlatego później przygotowanie dowolnej zupy zajmuje mi tak mało czasu. Nakupowałam też buraków – piekę je, kroję lub ścieram na tarce i pakuję w zamrażarce. Wyjęłam z niej nawet półki i szuflady, żeby nie zajmowały miejsca.

Ostatnio moją uwagę zwróciły brokuły przecudnej urody – dorodne, większe od kalafiorów. Miałam problem z wpakowaniem jednego do garnka, a chciałam przyrządzić go na parze w całości, razem z listkami i grubymi łodygami, i podać z sosem miętowo-limonkowym, też zresztą podpatrzonym w gospodarstwie (oni dodają jeszcze werbenę i oczywiście oliwę).

Nie jestem jakąś fanatyczką brokułów, ale dziś, z perspektywy czasu, dochodzę do wniosku, że to dlatego, iż rzadko miałam okazję zjeść dobrze zrobione. Temu zielonemu prawie „kwiatkowi" wybitnie szkodzi rozgotowywanie. Powinien być jędrny i chrupki, inaczej jego czuprynka zamienia się w ciapowatą breję. A jeśli chodzi o łodygi, rzadko gdzie miałam okazję ich spróbować, bo zwykle są odcinane. Tymczasem to równie smaczna i zdrowa część warzywa. Podobnie jak liście, które zazwyczaj wyrzuca się do bioodpadów. Z lekkim miętowym sosem tworzą obłędnie smaczne połączenie, do tego są bogatsze w błonnik i witaminy niż sam kwiat. Trzeba się nimi objadać, a po sezonie koniecznie wysiewać brokuły na mikrogreens.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Zimowa rzeka

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Zima jeszcze nie nadeszła, ale trwające migracje ptaków w pewien sposób ją zapowiadają. A także zmianę, jaką przechodzą wówczas miejskie odcinki rzek, stające się jednymi z najciekawszych miejsc do obserwacji rzadkich gatunków.

Zasada jest prosta: im mroźniej, tym bliżej centrum przenoszą się ptaki, tym jest ich więcej i tym rzadsze gatunki zlatują się do miast. Zwłaszcza jeżeli na zimniejszych terenach za miastem rzeka zaczyna zamarzać.

Zimą skryte w niedostępnych komyszach, trudne do wytropienia ptaki zwykle skupiają się na miejskich odcinkach rzek. Część z nich to gatunki z dalekiej północy. Nie czują strachu przed człowiekiem, miasto jest dla nich atrakcyjnym miejscem do komfortowego spędzenia zimy. Inne, zwykle płochliwe, w zamian za korzyści oferowane przez miejskie rzeki skracają dystans ucieczki i bez problemu dają się obserwować. W mieście jest cieplej, a woda rzadko zamarza. To wystarcza ptakom. Niezamarznięta woda daje schronienie przed czworonożnymi drapieżnikami i umożliwia zdobycie pokarmu, zarówno rybożercom, jak i roślinożercom, nurkującym lub tylko zanurzającym długie szyje w poszukiwaniu podwodnej roślinności.

Są wśród nich zarówno gatunki krajowe, jak i ptaki z bardzo odległych rejonów: łabędzie krzykliwe przybywające z północnej tundry, nurogęsi, bielaczki zza koła polarnego. To tak, jakby wraz z obniżającą się temperaturą przenosiła się do nas cząstka dalekiej, zimnej północy. Rozmaitość ptaków wodnych przyciąga z kolei polujące na nie wielkie bieliki. Na miejskiej, zimowej, niezamarzniętej rzece skupia się to, co najciekawsze w całej okolicy – a czasem ta „okolica" rozciąga się na tysiące kilometrów.

Wyprawa wzdłuż brzegów zimowej rzeki jest niezmiernie interesująca dla ornitologów amatorów i zawodowców: to tam chwyta się i obrączkuje ptaki, określa liczebność poszczególnych gatunków, wypatruje wyjątkowych rzadkości.

Spędzenie kilku godzin na wypatrywaniu ptaków, pokonanie niespiesznym z konieczności krokiem wielu kilometrów, częste zamieranie w bezruchu przy temperaturze poniżej zera jest też fizycznym wyzwaniem. Niska temperatura sprawia, że człowiek nie tylko marznie, lecz także szybciej wyczerpuje energię. Wyjście nad zimową rzekę pozwala na odczucie tego aspektu bytowania zwierząt.

eprasa.pl 4e935e4b41

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Nicość

Rozpisywanie się na temat nowego terminu ideologicznego wprowadzonego przez Donalda Tuska, jakim jest tzw. demokracja walcząca, nie ma większego sensu. Coś musiał wymyślić, a raczej ktoś mu to podszepnął, aby uzasadnić ewidentne łamanie polskiego porządku prawnego przez koalicję 13 grudnia. Bo chodzi o coś znacznie ważniejszego niż powtórka prawniczego sformułowania użytego przez Karla Loewensteina, niemieckiego filozofa i prawnika szukającego prawnego uzasadnienia dla przeciwdziałania siłom antydemokratycznym reprezentowanym przez Hitlera. Szkopuł w tym, że Führer doszedł do władzy w sposób legalny i było za późno na jakiekolwiek przeciwdziałanie. Podobnie Tusk objął władzę w sposób legalny, a dzięki zawarciu koalicji rządowej z marionetkowymi, mniejszościowymi partiami postanowił demontować w Polsce prawo. To samo prawo i te same instytucje, które zalegalizowały jego władzę. I jeśli w naszym kraju miałaby się pojawić jakaś „demokracja walcząca", to tylko ze strony obecnej opozycji, ale ta nie ma takich zamiarów. I brakuje jej do tego sił oraz środków. Tym bardziej że konstytucja z 1997 r. nie przewiduje żadnych mechanizmów obrony przed nadużyciem prawa ze strony oficjalnej władzy, jeśli ta władza neguje cały porządek prawny w państwie.

Prezes PiS Jarosław Kaczyński zastanawia się nad wprowadzeniem w przyszłości jakiś nowych mechanizmów, aby zapobiec temu, co dziś wyprawia Donald Tusk, ale to bardzo spóźniona refleksja. Jednocześnie trudno było przewidzieć, że „kapłani prawa", jak nazywa sędziów i profesorów III RP prof. Jan Majchrowski, pogodzili się z tym, że prawo, „jak my je rozumiemy" – użyjmy tu zwrotu Tuska – za ich sprawą stało się zaprzeczeniem tego, czego jeszcze niedawno uczyli swoich studentów.

Konkluzja wywodu prof. Jana Majchrowskiego prowadzi do stwierdzenia, że realizowany jest „wielki projekt zwinięcia Polski". Tę diagnozę potwierdza były premier Mateusz Morawiecki, przypominając, że nowe koncepcje wykuwane w Brukseli to „rewolucja" mająca na celu zniszczenie polityki regionalnej UE. Jeżeli do tej pory środki unijne były rozdzielane w ramach 500 programów, na podstawie których lokalne władze swobodnie decydowały, na jakie cele będą wydawane fundusze, to zgodnie z nowymi planami Komisji Europejskiej pieniądze trafią do 27 państw członkowskich, które w uzgodnieniu z UE zadecydują o podziale i celach ich wydatkowania w terenie. Dodajmy do tego zapowiedź szefowej KE Ursuli von der Leyen o możliwości skorzystania z unijnych środków tylko po zaakceptowaniu unijnej polityki gender i tzw. Zielonego Ładu.

Nowe, rewolucyjne podejście do ustanowienia centralnego budżetu UE to nie jedyne zagrożenie dla harmonijnego, sprawiedliwego rozwoju regionów. Trzeba wiedzieć, że rok temu w rezolucji Parlamentu Europejskiego zapowiedziano nową reformę UE. I Tusk ma ją przeprowadzić w Polsce. Ułatwi mu to objęcie przez nasz kraj za trzy miesiące przewodnictwa w Unii. Zmianie ma ulec aż 267 poprawek do unijnych traktatów. Będą dotyczyły wprowadzenia nowych europejskich podatków, wydatków na zbrojenia, edukacji i całych gospodarek krajów członkowskich. Łatwo zrozumieć opieszałość rządu Tuska w kwestii finansowania polskiego przemysłu zbrojeniowego i wywiązywania się z umów zakupu sprzętu militarnego z krajów spoza Unii, gdy przyjrzymy się polityce nowego komisarza ds. obrony i przestrzeni kosmicznej Andriusa Kubiliusa z grupy Europejskiej Partii Ludowej. Kubilius jest Litwinem, ale beneficjentem nowej polityki obronnej i zbrojeniowej będzie oczywiście niemiecki Rheinmetall. Mamy potwierdzenie słów prawej ręki Tuska, dziś europosła Bartłomieja Sienkiewicza, że „Polska to wewnętrzna gospodarka Niemiec".

Zapowiedziane zmiany w funkcjonowaniu Unii nie powinny być dla nas zaskoczeniem. W preambule do wspomnianej rezolucji PE jest odwołanie do manifestu z Ventotene autorstwa zatwardziałego komunisty Altiera Spinellego. Celem jest likwidacja suwerennych państw europejskich, wewnętrznych granic narodowych, wspólna armia i polityka międzynarodowa oraz ograniczenia, o których wspomina niezależny prawniczy think tank Ordo Iuris. Są to działania z repertuaru komunistycznej ideologii wymierzonej we własność indywidualną, ograniczenia w dysponowaniu własnym majątkiem, a nawet zanegowanie obecnych form dziedziczenia. Dodajmy do tego wspólną politykę emigracyjną.

Pora na wnioski. Wspomniane rewolucyjne zmiany w funkcjonowaniu UE to dziś największe zagrożenie dla Polski ze strony Zachodu, równie groźne, jak potencjalna eskalacja wojny na naszych wschodnich granicach. Unia zmienia się w scentralizowane państwo o typowych cechach bizantyńskich, bliskich wschodniej centralistycznej despocji. Odbiera nam niezależność, niepodległość i suwerenność.

Na zakończenie warto zacytować prof. Feliksa Konecznego: „W dążeniu do syntezy cywilizacyjnej zachodnio-wschodniej kryje się dla Polski nicość kulturalna i nicość polityczna".

www.wojciechreszczynski.pl

OGNIEM NA WPROST

Amerykański mołodiec

Andrzej Rafał Potocki

W kwietniu br. kacapom udało się przejąć płonącego Leoparda 2A6, którego opuściła ukraińska załoga. Kijów otrzymał łącznie 21 egzemplarzy tego typu czołgu. Po naniesieniu nowego lakieru, by ukryć skutki pożaru, pokazywano go w ruskich materiałach propagandowych, po czym trafił na wystawę zdobycznego sprzętu przed Muzeum Zwycięstwa na Pokłonnej Górze. W 1995 r. w 50. rocznicę zakończenia II wojny światowej otwarto tam kompleks muzealno-wystawowy, którego głównym obiektem jest Centralne Muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej lat 1941–1945. To właśnie z Pokłonnej Góry Napoleon po raz pierwszy oglądał wrogą stolicę, zanim do niej wkroczył. Teraz zdobyczny Leopard 2A6 ma zostać gruntownie przebadany przez moskiewskich inżynierów, którzy najchętniej skopiowaliby kilka jego rozwiązań. Badania jednak będą utrudnione z powodu durnoty tamtejszych specjalistów. Aby obniżyć lufę czołgu, pokazywanego jakiś czas temu na wystawie zdobycznego sprzętu, wykorzystali metalowy obciążnik (klasyczna metoda młotka). Efekt został osiągnięty, ale przy okazji zniszczono stabilizator armaty wraz z innymi powiązanymi z nim elementami. Oprócz tego sam czołg posiada liczne uszkodzenia (kilkukrotnie przebita lufa działa), których część została ukryta przez Moskali na potrzeby wystawy. Wpuść chama do biura, to atrament wypije.

Ciąg dalszy podobnej historii. Kreml zawiesił produkcję myśliwców Su-57. Jak donosi ukraińska grupa analityczna Frontelligence Insight, decyzja ma związek z zachodnimi sankcjami, które uniemożliwiają pozyskanie niezbędnych do produkcji komponentów. Su-57 to najnowocześniejszy rosyjski myśliwiec. Po przejrzeniu dokumentów ukraińscy analitycy zidentyfikowali kilka kluczowych aspektów, które uniemożliwiają produkcję maszyn. Wśród nich wymieniają m.in. urządzenie elektroniczne zmniejszające amplitudę lub moc sygnału bez znacznego zniekształcania jego kształtu i zasilacze. Moskwa ma w służbie nieco ponad 30 Su-57, z czego jedna trzecia to wersje testowe, którym potencjalnie brakuje niektórych planowanych urządzeń elektronicznych. Pomyśleć, że przed lutym 2022 r. Kacapię uważano za trzecią siłę militarną na świecie. Śmiechu warte.

Trevor Reed, były żołnierz korpusu marines, w 2020 r. szwendał się niewiadomo po co po Moskwie. Ponieważ mało kto może wytrzymać pobyt w stolicy Kacapii na trzeźwo, nawet twardziel taki jak on musiał się nawalić. Próbowała go zwinąć z ulicy lokalna milicja, by zabrać Reeda na wytrzeźwiałkę. Ale zdaniem funkcjonariuszy marine zakasał rękawy i zamiast potulnie udać się na tamtejszą Kolską, zaczął „prać po głupich mordach" mundurowych. Ale w ich zeznaniach w sądzie musiało być coś nie tak, bo nawet ambasador USA wydał oświadczenie, w którym ocenił, że zarzuty i dowody przedstawione podczas procesu były tak nieprzekonujące, że „nawet sędzia się śmiał". Może i się śmiał, ale wlepił Reedowi dziewięć lat odsiadki. Ten „odkiwał" na szczęście tylko dwa lata i został wymieniony na ruskiego pilota Konstantina Jaroszenkę, który został skazany w USA za przemyt kokainy. Akurat jak nasz marines wychodził z „ancla", Moskal napadł na Ukrainę. Widać w więzieniu tak polubił Kacapię i jej obywateli, że od razu zaciągnął się do legionu cudzoziemskiego przy ukraińskiej armii. Walczył dzielnie, dopóki nie wlazł na minę. Stamtąd trafił do szpitala w Ramstein i obecnie „liże się z ran". Tymczasem w Moskwie sędziowie nie odpuścili Reedowi. Zaocznie zdecydowali, że za walkę w ukraińskiej armii powinien dostać wyrok 14,5 lat więzienia. Dodatkowo sąd zdecydował o wpisaniu jego nazwiska na międzynarodową listę poszukiwanych. Teoretycznie i praktycznie ruska kasta sędziowska może panu Reedowi skoczyć, a od siebie dodam w ich języku: „Wot, mołodiec" (zuch)!

Propagandowy bełkot Ruskich trwa w najlepsze. Najnowszym przykładem jest komunikat, według którego polscy „najemnicy" mieli brać udział w działaniach wojennych w regionie Kurska, walcząc po stronie Ukrainy, a nawet dokonać brutalnych zbrodni na rosyjskich cywilach. Rosjanie mieli „zneutralizować" polską grupę bojowników wspierających ukraińską armię. Jak podała agencja TASS, w przechwyconych komunikatach radiowych miały paść słowa w języku polskim, co miało sugerować, że to Polacy. „Podczas przechwytywania rozmów radiowych zidentyfikowaliśmy polskich najemników mówiących po polsku. W trakcie naszej obrony, kiedy przeciwnik nacierał, zlikwidowaliśmy grupę Polaków, w tym żołnierza z naszywką z flagą Francji" – powiedział bojec o pseudonimie Horyzont cytowany przez TASS. Superwiarygodne źródło, ale dla tzw. głubinki – wiejskich głupków zamieszkujących 80 proc. terytorium Federacji Moskiewskiej.

Współpraca: „Skipper"

eprasa.pl 4e935e4b41

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Panzerfaust

Aleksander Nalaskowski

Patrząc realnie, racjonalnie i obiektywnie, rządowa ekipa Donalda Tuska jest niezwykle skuteczna i kompetentna. Nie chodzi jednak o rządzenie jako takie, o działanie dla dobra Polski i Polaków, ale o cele postawione przez szefa, oberministra. A te są wszak widoczne gołym okiem. Główny – postawić Polskę w stan totalnego bałaganu, chaosu, bezprawia – pomału jest osiągany. Niestety Polacy zaczynają się przyzwyczajać do tego, że Tuskowi wolno wszystko, bo sam sobie ustanawia prawa w zależności od potrzeb. Konstytucja już dawno stała się nic nieznaczącym dokumentem, podobnie jak inne akty niegdyś prawne, a dzisiaj pusto brzmiące.

Tusk kompletnie przedefiniował znaczenie pojęcia „rząd". Otóż rząd nie ma rządzić, ale być rzędem stojących na baczność, posłusznie i ślepo wykonujących polecenia urzędników. I tu właśnie trzeba przyznać, że Tuskowi udało się dobrać najlepszych fachowców w tym zakresie. Hennig-Kloska, Bodnar, Leszczyna, Kosiniak-Kamysz, Nowacka to przykłady urzędników, których wybrano ze względu na ich niekompetencje. To tak, jakby mi powierzyć do naprawy zegarek albo traktor, a fakt, że po prostu nie potrafię tego zrobić, potraktować jako pozytywną przesłankę. Jedno jest pewne – zegarek by nie chodził, a traktor nie wyjechałby w pole.

Obecni ministrowie nie po to zostali tymi wysokimi urzędnikami, aby dbać o dobro wspólne, lecz aby walczyć z PiS. Ich wspólnym mianownikiem jest zemsta i wola zniszczenia partii opozycyjnej „raz na zawsze". W takiej sytuacji nikt nie będzie zawracał sobie głowy jakimś dobrem wspólnym, powodzią czy rolnictwem. Nie po to szedł do rządu.

Rząd i ogólnie cała ta strona politycznej sceny to w zamierzeniu panzerfaust, który, nie licząc się z kosztami i skutkami, ma wytrzebić opozycję u samych jej podstaw. To tak jakby spalić dom, w którym jest nieproszony gość. To nie ma nic wspólnego z logiką, ale o logikę idzie tu najmniej. Wendeta nie ma logiki – jedynie emocje i tego jesteśmy świadkami.

Trwa więc zwalnianie ze stanowisk ludzi kompetentnych i oddanych pracy (przykład Obajtka czy Sankowskiego), a lukratywne posady w spółkach skarbu państwa stały się łupem koalicji. Z jednej strony to wypychanie doświadczonych ekspertów, a z drugiej apanaże nie do pogardzenia.

Trwa próba delegalizacji partii opozycyjnej za pomocą pozbawiania jej należnych środków na działalność, a wreszcie mamy cały festiwal niby-afer, których rozdymaniu służą usłużne media.

Polowanie na pisiorów trwa w najlepsze, ale czasami wzbudza zdumienie. Otóż ostatnio minister Wieczorek, którego nominacja pobiła nawet kuriozum Kołodziejczaka (na tych dwóch przykładach widać, jak bardzo nieważne są tu jakiekolwiek kompetencje i rozumienie zarządzanej materii), zadarł z PAN i środowiskiem akademickim. To zdumiewa, bo z tych środowisk pochodzi najtwardszy elektorat Koalicji Obywatelskiej i Lewicy. Minister zadarł zatem ze swoimi, którzy bywają pamiętliwi. Ogromna większość uczelni to ośrodki ideologii liberalno-lewicowej, zatem próba „naprawiania" nauki to uderzenie w swoich. Takich się wszak dopieszcza, a nie bije. Powtórzmy: ten rząd nie ma niczym zarządzać, nie ma dbać o jakieś dobro wspólne. Nie po to został utworzony. Ma być wyłącznie cepem, którym bije się na prawo i lewo.

Małymi i większymi krokami przekonuje się Polaków, że nic nie jest trwałe, nic nie jest nienaruszalne i święte

Demolka jest doskonale widoczna na przykładzie szkoły. Moi znajomi, rodzice szóstoklasistki, są zrozpaczeni nieróbstwem córki. Wraca do domu, rzuca w kąt plecak i resztę dnia nic nie robi. Nie czyta, nie odrabia zadań (bo wszak nic nie wolno zadawać), dzwoni do koleżanek albo gapi się w smartfon. Propozycje „naukowe" ze strony rodziców odrzuca lub przyjmuje z niechęcią. Wiadomo, taki „pryszczaty wiek". Jednakowoż rośnie nieuk i leń. A zjawisko za sprawą Nowackiej przybierze rozmiar pokoleniowy. Za parę lat boleśnie się o tym przekonamy.

Tak działa skonstruowany przez Tuska panzerfaust. Uderzyć, rozbić, bezpowrotnie zniszczyć. Małymi i większymi krokami przekonuje się Polaków, że nic nie jest trwałe, nic nie jest nienaruszalne i święte. Panzerfaust można skierować i odpalić w dowolnym kierunku i nikt niczego nie może być pewny.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 4e935e4b41

Michał Korsun prezentuje:
Izrael ostrzelał siły pokojowe ONZ

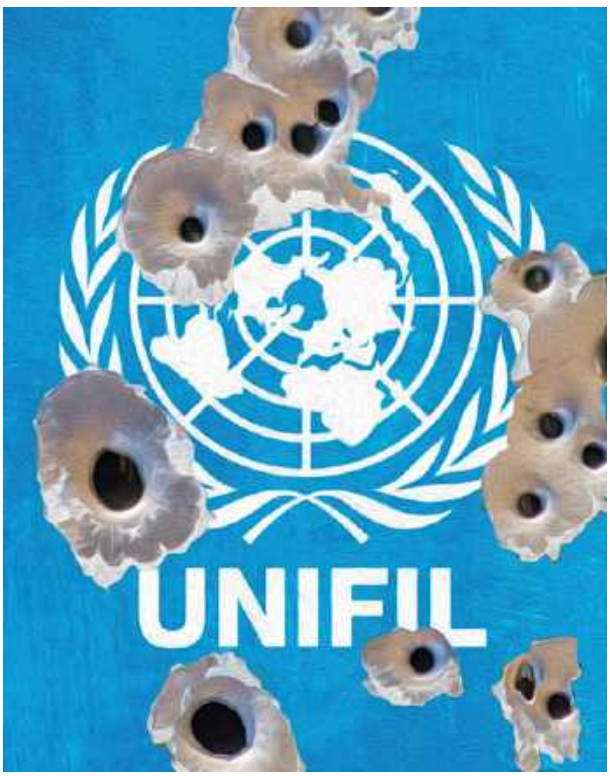

Wycinki z przeszłości

W październiku 1974 r. w jednej z peerelowskich gazet ukazała się zabawna notatka, dobrze obrazująca ówczesną konsumencką rzeczywistość. Czytamy: „Stanisław D. z Kłodzka kupił radio-magnetofon »Jola« nr 16969, który po miesiącu użytkowania okazał się niesprawny. Naprawy gwarancyjne trwały około 6 miesięcy, ale mimo to aparat nadal nie działał, jak należy. Wówczas klient odesłał go do wykonawcy, tj. do Zakładów Radiowych »Eltra« w Bydgoszczy. Po pewnym czasie otrzymał radio-magnetofon zdekompletowany i z wadami, których – jak pisze – uprzednio nie było. Wobec tego zwrócił się do sprzedawcy, to jest Zakładu Usług Radiotechnicznych i Telewizyjnych we Wrocławiu, z prośbą o zwrot gotówki za bezużyteczny bubel. Kiedy ostateczne załatwienie sprawy znów się przeciągało, poprosił redakcję o interwencję w jego sprawie. Dopiero to okazało się skuteczne. Szkoda jednak, że załatwienie tak prostej, zdawałoby się sprawy, trwało długie miesiące".

Cóż, na pocieszenie możemy dodać, że jak wtedy trafiło się na solidnie wykonany sprzęt, to pracował i przez dziesięciolecia. Dziś producenci zakładają, że co pięć lat musimy go wymienić. I kto był bardziej ekologiczny?

(mk)

Z WOLEJA

Więcej niż sport

Ryszard Czarnecki

Zawody, których znaczenie wykracza daleko poza sport. Tak było zawsze, gdy mecz piłkarski czy zawody bokserskie były fotografią emocji narodowych i wkraczały w sferę polityki międzynarodowej.

Na pewno było tak z mistrzostwami Europy w boksie w Warszawie osiem lat po zakończeniu II wojny światowej. Stolica Polski była jeszcze zrujnowana po okupacji niemieckiej, trwała okupacja sowiecka. Dopiero co umarł Stalin, a Polacy w ringu ku przerażeniu komunistów tłukli reprezentantów ZSRR! Na finałach sala pękała w szwach, a ludzie co chwilę śpiewali „Mazurka Dąbrowskiego", bo nasi wygrali pięć walk finałowych na dziesięć. W najlżejszej wadze Polak Henryk Kukier wygrał z reprezentantem Czechosłowacji, ale już w dwóch następnych Zenon Stefaniuk i Józef Kruża pokonali Sowietów, a tłum domagał się, aby „bić Ruska". Czwarte złoto wywalczył Leszek Drogosz, który pokonał Irlandczyka, ale w kolejnym finale Zygmunt Chychła, niesiony dopingiem 5 tys. kibiców w Hali Gwardii, pokonał Rosjanina Szczerbakowa i „Mazurka" odegrano po raz piąty. Na tych mistrzostwach Europy zdobyliśmy jeszcze dwa srebrne i dwa brązowe medale, pierwszy i ostatni raz w historii wygrywając klasyfikację medalową. Dla kibiców najważniejsze było jednak to, że w finałach pokonaliśmy trzech zawodników Związku Sowieckiego, a dodatkowo Kukier wygrał z pięściarzem ZSRR w półfinale, zaś Drogosz w eliminacjach. W nieoficjalnym meczu Polska–Sowiety znokautowaliśmy okupanta 7:2. Wśród polskich bohaterów – na 10 pięściarzy aż 9 zdobyło medale – szczególnym był Kruża, któremu przed finałowym pojedynkiem z Zasuchinem (ZSRR) zmarł malutki synek. Mimo to Polak stanął do walki, wygrał i kibice mogli trzeci raz z rzędu zaśpiewać polski hymn.

Po czterech latach od tych najlepszych w historii polskiego boksu mistrzostwach Europy odbył się mecz piłkarski – w ramach eliminacji do mistrzostw świata w 1958 r. w Szwecji. Na Stadionie Śląskim graliśmy z Sowietami. Na trybunach padł nieoficjalny rekord frekwencji w historii naszego futbolu: 120 tys. widzów (co o jedną piątą przekroczyło pojemność stadionu), a na boisku dzięki dwóm golom Gerarda Cieślika pokonaliśmy ZSRR 2:1. Ci, którzy byli na tym meczu, powtarzali, że po raz pierwszy za komuny poczuli się wolni, gdy nasi „skopali" tyłki „Ruskim".

Coś dużo więcej niż mecz...

Zamów prenumeratę! Według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	109 zł	189 zł	349 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl 4e935e4b41

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Mózg, internet i obywatel premier

Tak się składa – fakt przyrodniczy potwierdzony naukowo – że w ludzkich umysłach emocjonalne przetwarzanie informacji odbywa się znacznie szybciej niż procesy związane z krytycznym myśleniem. Oto dwa przykłady.

Kiedy słyszymy o katastrofie lub tragedii, nasz mózg raz-dwa wyzwala reakcję emocjonalną, np. smutek, strach lub zaskoczenie. Dopiero później, gdy zaczniemy więcej czytać o wydarzeniu, możemy racjonalnie pomyśleć o jego przyczynach i skutkach.

Widząc reklamę, nasz mózg szybko wyzwala emocje, np. pożądanie. Dopiero później, gdy zaczniemy więcej czytać o produkcie, możemy racjonalnie pomyśleć o jego zaletach i wadach. A co, jeśli w ogóle nie mamy nawyku czytania dłuższych tekstów? Wtedy...

...POZOSTAJEMY NA PASTWIE EMOCJI

I to jest właśnie przypadłość dzisiejszego świata. Internet wytworzył taką przestrzeń komunikacji międzyludzkiej, zarówno masowej (np. kanały YouTube), jak i indywidualnej (esemesy, maile), która ciągle przeciąża nasze głowy bodźcami emocjonalnymi, jednocześnie pozbawiając nas czasu niezbędnego do racjonalnej analizy informacji przynoszonych przez te bodźce.

Warto przypomnieć sobie, że za przetwarzanie emocji odpowiadają zwierzęce części naszych mózgów, zaś za bardziej ambitną analizę krytyczną te „ludzkie". Co to znaczy? W istocie coś bardzo prostego i przerażającego zarazem – stały kontakt z internetem bardziej nas „uzwierzęca", odczłowiecza, niż wynosi na wyżyny tego, co specyficznie ludzkie. Nader często skłania nas bowiem do bardziej prymitywnych, emocjonalnych reakcji, które są szybkie i automatyczne.

I to jest właściwy kontekst, w jakim możemy docenić wybitnego człowieka.

Stały kontakt z internetem bardziej nas „uzwierzęca", odczłowiecza, niż wynosi na wyżyny tego, co specyficznie ludzkie

WYBITNOŚĆ NASZYCH CZASÓW

Dawny bliski współpracownik Jan Maria Rokita tak mówi o jego wielkości: „Dzisiejszy premier jest, w moim przekonaniu, jedną z najwybitniejszych w całym świecie demokratycznych osobowości politycznych, potrafiących w sposób perfekcyjny mobilizować najniższe instynkty ludu. Czynić zbiorowość ludzką, w której istnieją jeszcze odruchy pozytywne – odruchy dobroci, szlachetności – gorszą. Tak, świadomie gorszą w nadziei, że to przysporzy powodzenia politycznego. Jest absolutnym fachowcem w tej dziedzinie i z tego punktu widzenia zasługuje na szacunek za swoje niezwykłe umiejętności. Sztuka współczesnego piaru polega na tym, jak zmobilizować najniższe namiętności, najgorsze namiętności tłumu, jak tłum przekształcić w motłoch, jednocześnie wprawiając go w przekonanie, że stoi po słusznej stronie."

Wybitność polega tu na tym, że polityk nasilił negatywne tendencje przyniesione przez nowe technologie komunikacyjne i związane z nimi podwyższone możliwości manipulacji ludźmi.

Jeśli chcemy dobrze zrozumieć charakter tej wybitności Donalda Tuska, to powinniśmy mieć przed oczami jego zdjęcie z Martą Lempart, czołową „wyp...rdalaczką" Rzeczypospolitej. Oboje są w maseczkach z błyskawicą. Marta na pierwszym planie, Donald na drugim.

Tusk odniósł sukces polityczny, robiąc z tysięcy ludzi marionetki (tak, dla wielu to bolesne określenie), których zachowanie bazuje właśnie na zwierzęcych odruchach. Czyż dla tysięcy Polaków impulsem do udziału w wielkim marszu, który wcale nie zasiał uśmiechu i miłości, nie było osiem gwiazdek? Czyniąc to, Tusk wykazał się sporą kreatywnością.

Zarazem jednak postawił się w roli myślącego człowieka, który swoje umiejętności wykorzystuje nie dla przeciwstawienia się chorym, uzwierzęcającym nas cyfrowym trendom, ale sam dodatkowo nasila to zło. Z tym że dziś, by wzbudzać niskie instynkty, nie trzeba się mocno wysilać.

MARIONETKA FAL HISTORII

Tusk odniósł polityczny sukces dzięki temu, że lepiej od swoich konkurentów odczytał niszczycielski potencjał technologicznych fal degenerujących cywilizacyjny dorobek ludzkości. Odczytał ich kierunek i posurfował na nich. To smutne.

Zarazem jednak wątpić można w to, czy już dostrzegł, że traktując swych wyborców jako marionetki swoich narracji, sam obsadził się w roli pacynki znacznie szerszych, większych, destrukcyjnych sił cyfrowej cywilizacji.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 7/1024/F

eprasa.pl 4e935e4b41

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	339	121
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	dekoder Mediabox	dekodery KAON i Horizon
					PLAY dawniej UPC	

eprasa.pl 4e935e4b41

Złoto Polaków
to już ponad

400 TON

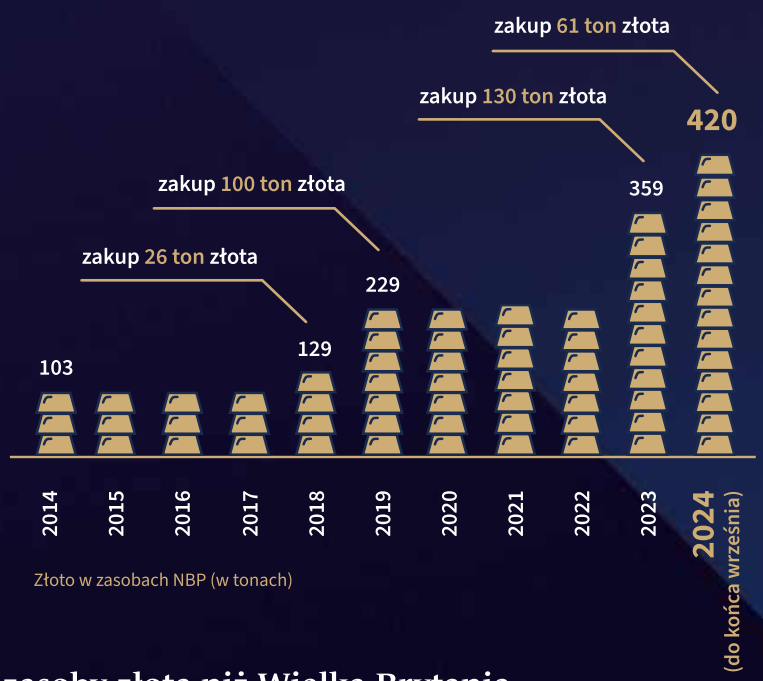

Polska ma już większe zasoby złota niż Wielka Brytania.
Ogółem wartość rezerw dewizowych NBP to już ponad 200 mld USD.

Dzięki konsekwentnej strategii zwiększania rezerw złota NBP zbliża się do światowej czołówki, w której znajdują się m.in. Stany Zjednoczone, Niemcy, Francja i Szwajcaria.

NARODOWY BANK POLSKI

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Dowiedz się więcej z bezpłatnej publikacji dostępnej w wersji cyfrowej i drukowanej. Wejdź na nbp.pl lub zeskanuj kod i zamów już dziś.